



W. Somerset Maugham

MALOWANY WELON

... MALOWANA ZASŁONA, KTÓRĄ ŻYCIEM ZOWIĄ.

I

Krzyknęła spłoszona.

- Co się stało? - zapytał.

Pomimo ciemności panujących w pokoju przy zamkniętych okiennicach spostrzegł, że twarz jej przybrała wyraz przestachu.

- Ktoś usiłował otworzyć drzwi. Pewnie *amah** albo któryś z boyów.

- Nigdy o tej porze nie przychodzą. Wiedzą, że odpoczywam zawsze po śniadaniu.

- Więc któż by to mógł być?

- Walter - szepnęła drżącymi wargami. Wskazała palcem buty. Usiłował je wciągnąć, ale udzielił mu się jej przestach i uczynił go niezręcznym; buty, co prawda, były przyciasne. Z nieznacznym odruchem zniecierpliwienia podała mu rożek. Zarzuciła na siebie kimono i boso podeszła do gotowalni. Przeciagnawszy naprędce grzebieniem po strzyżonych włosach, doprowadziła do porządku fryzurę, zanim zdążył zasznurować drugi trzewik. Podała mu surdut.

* *Amah* - chińska pokojowa.

- Ale jak się wydostać?

- Poczekaj lepiej trochę. Wyjrzę, czy można.

- Niepodobieństwo, żeby to był Walter. Przecież on nigdy nie opuszcza laboratorium przed piątą.

Mówiła teraz szeptem. Przyszło mu na myśl, że w potrzebie straciłaby zupełnie głowę. I nagle wezbrała w nim złość do niej. Jeśli nie była pewna bezpieczeństwa, po cóż u licha wmawiała mu, że nie ma żadnego ryzyka?

Nagle, wstrzymując oddech, chwyciła go za ramię. Skierował wzrok za jej spojrzeniem. Stali na wprost okien wychodzących na werandę. Okiennice były zamknięte i zaryglowane. Widzieli, że biała porcelanowa gałka klamki obraca się powoli. A jednak nie słyszeli kroków na werandzie. Było coś przerażającego w tym cichym poruszaniu się klamki. Minuta zupełnej ciszy. Po czym w ten sam niesamowity, widmowy sposób bezszelestnie, tajemniczo poruszyła się klamka drugiego okna. Kitty z przerażenia straciła głowę i otworzyła usta do krzyku. Na szczęście zauważył to i szybkim ruchem ręki ją powstrzymał.

Cisza. Kitty zawisła na jego ramieniu. Kolana jej drżały, zląkł się, że zemdleje. Ze zmarszczonym czołem i zaciętymi wargami przeniósł ją na łóżko. Była blada jak prześcieradło, a i jego twarz pomimo opalenizny pobladła. Stał przy niej, patrząc jak urzeczony na klamkę. Milczeli. I nagle spostrzegł, że Kitty płacze.

- Na litość boską, nie płacz - szeptał poirytowany. - Trudno, moja kochana. Jeśli wpadliśmy, tośmy wpadli. Trzeba będzie nadrobić tupetem i tyle.

Rozglądała się za chusteczką; domyśliwszy się, czego szuka, podał jej torebkę.

- Gdzie jest twój kapelusz?

- Zostawiłem go na dole.

- Bój się Boga!

- Moja kochana, zbierz zmysły. Sto szans na jedną, że to nie był Walter. Po cóż by miał przyjść o tej porze? Przecież nigdy nie wraca do domu w południe. Prawda?

- Nigdy!

- Założę się, o co chcesz, że to *amah*.

Cień uśmiechu przemknął po jej twarzy. Jego dźwięczny, pieszczotliwy głos uspokoił ją nieco, uścisnęła serdecznie jego rękę. Pozwolił jej przyjść do siebie, po czym powiedział:

- Słuchaj, nie możemy tu przecież pozostać na wieki. Czy mogłabyś zebrać na tyle siły, by wyjść na werandę i się rozejrzeć?

- Nie jestem pewna, czy zdołam.

- Czy nie masz tu gdzie jakiej wódki? Zaprzeczyła ruchem głowy. Zachmurzył się na chwilę. Zaczynał tracić cierpliwość i nie bardzo wiedział, co robić. Nagle chwyciła go konwulsyjnie za rękę.

- A jeśli on tam czeka?

Zmusił się do uśmiechu, a głos jego zachował łagodne, przekonywające brzmienie, którego niezawodne działanie znał tak dobrze.

- Trudno przypuścić coś podobnego. Miejże trochę odwagi, Kitty. Jakżeby to mógł być twój mąż. Przecież gdyby widział na dole obcy kapelusz, to wobec twoich zamkniętych drzwi narobiłby niemałego hałasu. To musiał być ktoś ze służby. Tylko Chińczyk może w tak niesamowity sposób obracać gałką klamki. Czuła się już nieco lepiej.

- Jeśli to nawet była *amah*, i tak nie jest to zbyt przyjemne.

- Można sobie będzie dać z nią radę. W najgorszym razie nastraszę ją. Stanowisko urzędnika państwowego niewiele na ogół przedstawia korzyści, ale od biedy można to przecież wyzyskać.

Przemówiło to jej do przekonania. Wstała i wyciągnęła do niego ramiona. Objął ją i przycisnął usta do jej ust. Doznała rozkoszy graniczącej z bólem. Uwielbiała go. Gdy ją uwolnił z uścisku, podeszła do oszklonych drzwi wiodących na werandę, odsunęła rygiel i odsłaniając nieco okiennicę, wyjrzała. Nie było żywej duszy. Wysunęła się na werandę, zajrzała do ubieralni męża, potem do swojego saloniku. Oba pokoje były puste. Wróciła do sypialni i kiwnęła na niego ręką.

- Nie ma nikogo.

- Zaczynam wierzyć, że cała ta historia była złudzeniem optycznym.

- Nie żartuj. Strasznie się przeleżałam. Wejdz na chwilę do saloniku i usiądź tam sobie. Włożę tylko pończochy i jakieś obuwie.

II

Uczynił, jak mu kazała. Po upływie pięciu minut była przy nim. Palił papierosa.

- Słuchaj no, czy nie mógłbym dostać trochę koniaku z wodą sodową?

- Owszem, zaraz zadzwonię.- Sądząc z wyglądu, i tobie by to nie zaszkodziło.

Czekali w milczeniu na boya. Kitty kazała przynieść napoje.

- Zatelefonuj do laboratorium i zapytaj, czy jest Walter. Nie przypuszczam, by poznali twój głos.

Zdjął słuchawkę i kazawszy się połączyć z laboratorium, zapytał, czy jest doktor Fane.

- Nie ma go. Wyszedł po śniadaniu - rzekł, zawieszając słuchawkę. - Zapytaj boya, czy był tutaj.

- Nie mam odwagi. Jeśli był, zdziwi się, że go nie widziałam.

Służący przyniósł napoje i Townsend napełnił szklanki. Kitty odmówiła.

- Co uczynimy, jeśli to był Walter? - zapytała.

- Może się tym tak nie przejmie.

- Walter?

Ton jej świadczył, że wątpi, by tak być mogło.

- Zauważyłem, że jest raczej nieśmiały. Niektórzy mężczyźni nie znoszą scen.

Ma zresztą chyba dość rozsądku, by zrozumieć, że nic by nie zyskał na skandalu. Nie przypuszczam, by to był Walter, ale gdyby nawet to był on, nie wierzę, by zareagował na to; myślę, że będzie udawał, że o niczym nie wie.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Jest we mnie bardzo zakochany.

- Tym lepiej, dasz sobie z nim łatwiej radę. Spojrzał na nią z tym czarującym

uśmiechem, któremu się nigdy oprzeć nie mogła. Był to powolny uśmiech, biorący początek w jasnoblękitnych oczach i spływający stopniowo ku foremnym ustom. Miał drobne, równe, bardzo białe zęby. Był to namiętnie zmysłowy uśmiech, od którego tajało w niej serce.

- Niewiele się tym martwię. Zresztą warto było.
- To moja wina.
- Dlaczego przyszedłeś? Zdziwiłam się ogromnie, widząc cię.
- Nie mogłem się oprzeć.
- Kochany!

Przechyliła się nieco ku niemu, topiąc w jego oczach namiętne spojrzenie swych ciemnych, błyszczących źrenic. Usta jej rozchyliły się z lekka. Gdy objął ją, ukryła się z westchnieniem rozkoszy w jego ramionach.

- Wiesz przecież, że możesz zawsze liczyć na mnie.
- Przy tobie jestem zawsze szczęśliwa. Chciałabym tylko i tobie móc dać takie szczęście.

- Już się nie boisz!
- Nienawidzę Waltera!

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, pocałował ją. Twarz jej była taka miła w dotknięciu.

Podniósł jej rękę i spojrział na mały złoty zegarek w bransoletce.

- A czy wiesz, co mi teraz wypada uczynić?
- Zmykać! - rzekła z uśmiechem.

Kiwnął głową, uścisnęła go mocniej, ale natychmiast odczuła, że pragnie odejść, i go uwolniła.

- Wstyd naprawdę, że tak zaniedbujesz swoją robotę. Uciekaj!

Nie umiał nigdy oprzeć się chęci poflirtowania.- Jakoś diabelnie ci pilno pozbyć się mnie -rzekł żartobliwie.

- Wiesz dobrze, że ciężko mi rozstać się z tobą. Odpowiedź jej była cicha,

głęboka i poważna.

Roześmiał się. Pochlebilo mu to.

- Nie zaprzataj sobie swojej ślicznej główki tym tajemniczym gościem. Jestem przekonany, że to była *amah*. A jeśli byś miała jakieś przykrości z tego powodu, możesz być pewna, że wyprowadzę cię z kłopotu.

- Czy miałaś tak dużo praktyki w tym kierunku? Uśmiechnął się chełpliwie.

- Nie, ale pochlebiam sobie, że mam głowę na karku.

III

Wyszła na werandę, by spojrzeć za odchodzącym. Skinął ku niej ręką. Patrząc nań, doznała ponownego wzruszenia. Pomimo skończonych lat czterdziestu zachował smukłą postać i sprężysty krok młodego chłopaka.

Na werandzie był cień. Kitty z sercem omdlewającym nasyconą miłością zatrzymała się leniwie w miłym chłodzie. Dom ich znajdował się w tak zwanej Przyjemnej Dolinie u stoku pagórka, gdyż nie stać ich było na wykwinną i kosztowną siedzibę na „Górze”. Ale jej roztargniony wzrok prawie nie spostrzegwał błękitu morza ani statków skupionych w przystani. Wszystkie jej myśli były przy kochanku. Oczywiście strasznie głupio postąpili dziś po południu, ale czyż mogła zdobyć się na roztropność, gdy Charlie jej zapragnął? Już ze dwa, trzy razy przychodził do niej po lunchu w sam żar południa, gdy nikomu na myśl nie przychodziło ruszać się z domu i nikt nie widział go, gdy się skradał, nawet boye. W ogóle w Tching-Yenie nie tak łatwo było urządzić schadzkę. Nie cierpiała chińskiego miasta i było jej strasznie przykro chodzić do brudnego domku przy ulicy Wiktorii, gdzie się często spotykali. Był to sklep handlarza antyków. Chińczycy wytrzeszczali na nią oczy w bardzo

nieprzyjemny sposób. Wstrętem przejmował obleśny uśmiech starego Chińczyka, eskortującego ją w głąb sklepu i po ciemnych schodach na pięterko. Pokój, do którego ją wprowadzano, był brudny, a szerokie drewniane łóżko przy ścianie budziło w niej odrazę.

- Strasznie to nędzne, nieprawdaż? - zauważyła, gdy spotkali się tam po raz pierwszy.

- Było nędzne, zanim ty tu weszłaś - odpowiedział Charlie.

W jego objęciach zapomniała oczywiście o wszystkim.

Jakież to okropne, że nie jest wolna, że oboje są spętani! Nie lubiła jego żony. Rozpierzchłe myśli Kitty przez chwilę zatrzymały się na Dorocie Townsend. I to nieszczęśliwe imię! Dorota! Cóż za staroświecczyzna! Ma już na pewno ze trzydzieści osiem lat. Charlie nigdy nie mówił z nią o żonie. Rozumie się, że nie dbał o nią; nudziła go śmiertelnie. Ale był przecież gentlemanem! Kitty uśmiechnęła się z pobłażliwą ironią. Kochany głuptasek! Mógł zdradzać żonę, ale nigdy nie pozwoliłby przejść przez swoje usta niczemu, co by jej w najłżejszym stopniu mogło ubliżyć. Pani Dorota była dość wysokiego wzrostu, nieco wyższa od Kitty, nie za tęga, nie za szczupła, miała bujne, jasnokasztanowe włosy i chyba nigdy nie mogła chlubić się inną pięknnością prócz zwykłego wdzięku młodości. Rysy twarzy, dość regularne, nie odznaczały się niczym szczególnym, a niebieskie oczy były zimne. Cera niewyraźna, kolorów żadnych. A ubiera się - no właśnie, odpowiednio do stanowiska męża. Kitty uśmiechnęła się, wzruszając z lekka ramionami.

Oczywiście nikt nie mógł odmówić Dorocie Townsend miłego głosu. Była przy tym wzorową matką. Charlie zawsze jej to przyznawał. Była w ogóle tym, co matka Kitty zwykła nazywać prawdziwą damą. Ale Kitty jej nie lubiła. Zwłaszcza raziło ją to lekceważące traktowanie ludzi. Konwencjonalna grzeczność, z jaką pani Dorota przyjmowała swoich gości na herbatkach i obiadach, wyprowadzała Kitty z równowagi, gdyż dawała jej poznać, jak mało w gruncie rzeczy się nią interesowano. Kitty miała wrażenie, że pani Dorocie w ogóle wszystko na świecie, prócz jej dzieci,

było zupełnie obojętne. Mieli dwóch chłopców w szkole w Anglii i trzeciego - sześciolatniego, którego pani Dorota miała zabrać do domu w roku następnym. Twarz jej była maską. Ona sama uśmiechała się uprzejmie i konwencjonalnie, wypowiadała rzeczy, których się po niej spodziewano; ale pomimo całej pozornej uprzejmości było w niej coś wyniosłego. Miała w kolonii paru zaufanych przyjaciół, którzy ją bardzo cenili. Kitty zastanowiła się przez chwilę nad tym, czy pani Townsend nie uważa jej czasem za zbyt pospolitą. Zarumieniła się. Ostatecznie pani Dorota nie miała znów tak wielkich powodów do wynoszenia się nad innych. Ojciec jej był wprawdzie gubernatorem kolonialnym, co, oczywiście, jest nie lada splendorem, dopóki trwa - każdy wstaje, gdy się wchodzi do pokoju, mężczyźni odkrywają głowy, gdy się przejeżdża ulicą - ale gubernator na emeryturze to przecież żadna figura. Ojciec Doroty Townsend żył z emerytury. Mieszkał w małym domku w Earls-Court. Matka Kitty na pewno zachnęłaby się, gdyby jej zaproponowano nawiązanie z nim stosunków towarzyskich. Ojciec Kitty, Bernard Garstin, był prawnikiem i miał wszelkie szanse otrzymania nominacji na sędziego. No i mieszkali w South Kensington, co, jak wiadomo, jest znacznie wyższą kategorią dzielnicy.

IV

Kitty, przybyłej do Tching-Yenu prawie bezpośrednio po ślubie, było bardzo trudno pogodzić się z myślą, że jej pozycja towarzyska jest uzależniona od stanowiska męża. Wprawdzie wszyscy byli dla niej uprzejmi i przez pierwsze parę miesięcy zapraszano ich co wieczór na różne przyjęcia, a na obiedzie w pałacu gubernatorskim sam gubernator prowadził do stołu świeżo upieczoną mężatkę, ale Kitty wkrótce zrozumiała, że małżonka bakteriologa gubernialnego nie odgrywa

wielkiej roli w towarzystwie. Rozgniewało ją to mocno.

- Doprawdy, to jest zupełnie głupie - mówiła mężowi - przecież w całym towarzystwie nie ma jednej osoby, na którą by u nas w domu ktoś raczył zwrócić uwagę. Mojej matce na pewno nie śniłoby się zaprosić którejs z nich na obiad.

- Nie warto się troszczyć o to, moja kochana - odpowiedział jej Walter - to nie ma żadnego znaczenia.

- Rozumie się, że to jest bez znaczenia, dowodzi tylko ich głupoty. Ale to przecież jest śmieszne. Przypomnij sobie tylko, jacy ludzie u nas w domu bywali! A tu traktują nas jak śmiecie.

- Tak, z punktu widzenia „towarzystwa” ludzie nauki nie liczą się wcale.

Wiedziała o tym już obecnie, ale idąc za męża, nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Nie mogę powiedzieć, by mi szczególnie pochlebiało, gdy mnie prowadzi do stołu jakiś marny agent towarzystwa okrętowego - zauważyła, śmiejąc się przy tym, by mąż nie posądził jej o snobizm.

Widocznie zrozumiał wymówkę pokrytą żartem, bo ucisnął nieśmiało jej rękę.

- Bardzo mi przykro, moja kochana, ale proszę cię, nie martw się tym.

- O, ja się tym nie przejmuję.

V

Nie, to w żaden sposób nie mógł być Walter. Na pewno ktoś ze służby. Mniejsza o nich. Chińska służba i tak przecież wie zawsze o wszystkim, ale umie trzymać język za zębami.

Serce jej zabiło nieco spieszniej na myśl o tej kłamce porcelanowej, poruszającej się tak niesamowicie. Nie powinni narażać się więcej na takie

niebezpieczeństwo. Lepiej już spotykać się w tym sklepie. Może przecież tam wchodzić bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi. No i nic im tam nie grozi. Właściciel sklepu wie dobrze, kim jest Charlie, i nie jest głupi, by narazić się tak wpływowemu urzędnikowi zarządu kolonialnego. A cóż znaczyło miejsce wobec miłości Karola?

Zawróciła z werandy i weszła do swego saloniku. Rzuciła się na kanapę i wyciągnęła rękę po papierosy, gdy nagle wpadł jej w oko liścik leżący na książce. Otworzyła kopertę; list był nakreślony widocznie naprędce ołówkiem:

Kochana Kitty!

Oto książka, o którą prosiłaś. Miałam ci ją właśnie przesać, gdy spotkałam doktora Fane'a. Powiedział, że sam ci ją zanieś, gdyż idzie w tamtą stronę.

V.H.

Zadzwoiła i gdy boy się zjawił, zapytała, kto przyniósł książkę i kiedy.

- Pan przyniósł, proszę pani, zaraz po *tiffin**.

* *Tiffin* - przeniesione z Indii wyrażenie oznaczające drugie śniadanie, lunch.

A więc to jednak był Walter. Zatelefonowała natychmiast do biura Karola i zakomunikowała mu świeżo otrzymaną wiadomość. Milczał przez chwilę.

- Jak mam postąpić? - zapytała.

- Mam teraz bardzo ważną naradę i w żaden sposób nie mogę z tobą rozmawiać. Radzę ci tymczasem siedzieć cicho.

Zawiesiła słuchawkę. Zrozumiała, że nie jest sam i zniecierpliwiło ją to.

Usiadła przy biurku i ukrywszy twarz w dłoniach, usiłowała skupić myśli, by rozpatrzeć się w sytuacji. Możliwe, że Walter sądził, iż zasnęła, mogła się przecież zamknąć, by jej nikt nie przeszkadzał. Próbowwała przypomnieć sobie, czy rozmawiali. W każdym razie nie mówili głośno. Ale kapelusz! Cóż to za szaleństwo ze strony Karola, żeby zostawiać kapelusz na dole! No, stało się, nie ma co teraz głowić się nad tym. Zresztą nie wiadomo wcale, czy Walter zauważył ten nieszczęsny ka-

pelusz. Prawdopodobnie śpieszył się, by zdążyć na umówione spotkanie z którymś ze swoich interesantów, i wpadł tylko na chwilę, by zostawić list i książkę. Dziwne tylko, że próbował otworzyć drzwi, a potem oba okna. Gdyby przypuszczał, że zasnęła, nie byłby jej chyba budził. To nie leżało w jego zwyczaju. Jakaż była nieopatrna!

Wzdrygnęła się i serce jej wezbrało słodkim bólem, który ją ogarniał, ile razy pomyślała o Karolu. Nie, nie żałuje tego, co się stało. Karol powiedział, że może liczyć na niego, a w ostateczności... dobrze, niech Walter zrobi awanturę. Ma Karola, cóż ją zresztą to może obchodzić? Byłoby chyba nawet lepiej, żeby Walter dowiedział się prawdy. Nigdy go nie kochała, a od czasu, gdy pokochała Charliego Townsenda, irytowało ją to i męczyło niewypowiedzianie, że musiała poddawać się pieszczotom męża. Pragnęła pozbyć się go raz na zawsze. Swoją drogą nie wierzyła, by mógł jej czegoś dowieść. Jeśli ją oskarży, będzie zaprzeczała. A jak już niepodobna będzie zaprzeczyć, to i owszem, rzuci mu w oczy całą prawdę i niech sobie robi, co chce.

VI

Już trzy miesiące po ślubie Kitty spostrzegła, że omyliła się fatalnie. Była to zresztą raczej pomyłka jej matki.

Strapione oczy Kitty zatrzymały się na stojącej na stoliku fotografii pani Garstin. Nie wiedziała właściwie sama, dlaczego umieściła tutaj tę podobiznę, nie miała bowiem szczególnego przywiązania do matki. Fotografia ojca stała na fortepianie w salonie na piętrze. Pan Garstin wyobrażony był na niej w todze i peruce, ale i ten uroczysty strój nie zdołał uczynić zeń postaci imponującej. Był to mały, zwiędły

jegomość o zmęczonych oczach, długiej górnej wardze i wąskich ustach. Dowcipny fotograf kazał mu uśmiechnąć się przyjemnie, ale w rezultacie udało mu się wywołać tylko groźną minę. Z tego to właśnie powodu pani Garstin spośród próbnych zdjęć wybrała właśnie tę pozę. Uważała, że jej mąż na tej fotografii ma wygląd „prawdziwie sędziowski”. Na co dzień bowiem opuszczone kąciki ust i pokorne spojrzenie oczu nadawały jego twarzy wyraz lekkiego przygnębienia. Jej własna fotografia ukazywała ją we wspaniałej sukni, w której paradowała na uroczystej „prezentacji”, gdy pan Garstin otrzymał prawo przywdziania jedwabnej togi. Wyglądała imponująco, wyprostowana, w aksamitnej sukni z rozpostartym pysznie trenem, piórami we włosach i kwiatami w ręku. Była kobietą pięćdziesięcioletnią o płaskiej piersi, wystających kościach policzkowych, dużym, kształtnym nosie. Miała bujne czarne, gładkie włosy. Kitty podejrzewała, że były nieco przyfarbowane. Jej piękne, czarne oczy były dziwnie ruchliwe. Zwracało to wyraźnie uwagę. Było coś niesamowitego w tych niespokojnych oczach, osadzonych w nieruchomej żółtej twarzy bez zmarszczek. Oczy te poruszały się nieustannie, obiegając osobę, z którą pani Garstin rozmawiała, potem przenosiły spojrzenie na inne osoby znajdujące się w pokoju, po czym znów wracały; czuło się, że pani Garstin ocenia, krytykuje, a jednocześnie jest czujna na wszystko, co się dzieje dookoła i że wyrazy wymawiane przez nią nie mają żadnego związku z jej myślami.

VII

Pani Garstin była twardą, bezlitosną, wyrachowaną, ambitną, oszczędną i głupią kobietą. Była jedną z pięciu córek liverpoolskiego notariusza, a Bernard Garstin poznał ją w czasie swej podróży po północnych okręgach. Wydawał się wtedy młodzieńcem bardzo obiecującym, jej ojciec wróżył mu, że zajdzie daleko. Nadzieje te jednak się nie spełniły. Bernard Garstin był staranny, pracowity, zdolny, ale zupełnie pozbawiony woli posuwania się naprzód. Pani Garstin miała męża w pogardzie. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że powodzenie może osiągnąć tylko za jego pośrednictwem. Jęła go więc popychać wytrwale po upragnionej drodze. Łajała bez miłosierdzia. Zauważyła, że jeśli chce go skłonić do jakiegoś czynu, przeciwko któremu buntuje się jego nadczołość, wystarczy dokuczać mu konsekwentnie, nie dając chwili spokoju, by w końcu, wyczerpany, się poddał. Ze swej strony zaś ubiegała się gorliwie o stosunki z ludźmi mogącymi się jej na coś przydać. Schlebiała notariuszom, którzy mogli powierzać sprawy mężowi, poufalała się z ich żonami. Była pełna uniżoności względem sędziów i ich małżonek. Wielce sobie ceniła młodych, obiecujących polityków.

W ciągu dwudziestu pięciu lat pani Garstin nie zaprosiła do siebie na obiad ani jednego człowieka z czystego upodobania lub przyjaźni. Wydawała wielkie obiadowe przyjęcia w regularnych odstępach. Ale jej skąpstwo równało się ambicji. Miała szczerą wstręt do wydawania pieniędzy. Pochlebiała sobie, że potrafi urządzić najbardziej wystawne przyjęcie o połowę taniej niż kto inny.

Obiady jej były długie i wymyślne, ale oszczędne, nie wierzyła bowiem, by ludzie, zjadając i gawędząc przy stole, mogli zwracać uwagę na to, co piją. Owijała musujący moselle w serwetę i była przekonana, że goście jej biorą go za szampana.

Bernard Garstin miał atrakcyjną, choć niezbyt liczną klientelę. Adwokaci,

znacznie później odeń mianowani, dawno go prześcignęli. Pani Garstin namówiła męża, by kandydował do parlamentu. Koszty kampanii wyborczej ponosiła partia, ale i w tym wypadku skąpstwo wypłatało figla jej ambicji; nie mogła zdobyć się na wydanie sumy potrzebnej do podtrzymania jego blasku w okręgu wyborczym. Ofiary Bernarda Garstina na różne cele filantropijne, jakich oczekuje się w takich razach od kandydatów, były zawsze nieco mniejsze, niż należało. Został pobity. Jakkolwiek pani Garstin byłaby rada zostać żoną posła, zносиła mężnie to rozczarowanie. Sam fakt kandydowania Garstina do parlamentu dał jego małżonce możliwość zbliżenia się z różnymi znacznymi osobami, a pani Garstin umiała ocenić ten wzrost pozycji towarzyskiej. Zresztą wiedziała dobrze, że Bernard nie dostąpiłby nigdy wielkiego znaczenia w Izbie. Jeśli chciała, by został posłem, to tylko dlatego, by miał prawo do wdzięczności swojej partii. Ostatecznie kilka przegranych walk o mandaty na pewno będzie tytułem do zasługi w oczach partii.

Garstin wciąż jednak jeszcze był juniorem, podczas gdy znacznie młodszy odeń przybrali już jedwabną togę. Trzeba było koniecznie przedsięwziąć jakieś starania, nie tylko dlatego, by otrzymać kiedyś posadę sędziego, ale także ze względu na żonę: ubliżało jej to, że musi ustępować kroku na przyjęciach kobietom o dziesięć lat młodszym od niej. Ale tutaj natrafiła na silny upór, do jakiego nie przyzwyczyły jej długoletnie bezkrwawe boje z wolą męża. Garstin obawiał się, że przenosząc się do sądu, utraci dotychczasowe sprawy, powierzone mu przez adwokatów sądowych. Lepszy wróbel w rękę niż gołąb na dachu, mówił żonie, na co ona odpowiadała, że przysłowia są ostatnią deską ratunku dla umysłów upośledzonych. Zwrócił jej uwagę na to, że dochody rodziny mogą się zmniejszyć o połowę, wiedział, że ten argument silniej do niej przemówi niż inne. Ale nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Nazwała go tchórzem. Dokuczała mu ciągle. W końcu, jak zwykle, poddał się. Złożył podanie i wkrótce otrzymał prawo noszenia jedwabnej togi. Obawy Garstina, jak się okazało, były słuszne. Jako samodzielny adwokat nie miał wielkiego powodzenia i spraw dostawało mu się niewiele. Nie okazywał jednak rozczarowania i jeśli miał żal

do żony za jej namowy, to ukrywał go w głębi serca. Przycichł może nieco, ale w domu i dawniej był zawsze milczący i nikt z rodziny nie zauważył w nim zmiany. Córki zawsze traktowały go jedynie jako źródło dochodów; uważały to za rzecz zupełnie naturalną, że ojciec wiódł ciężkie życie, by móc dostarczyć im mieszkania, utrzymania, ubrań, wywczasów i pieniędzy na różne drobiazgi. A teraz, gdy dochodów było mniej, obojętność córek względem ojca zabarwiła się pełną irytacji pogardą. Nie przyszło im nigdy na myśl zastanowić się nad tym, jakie są uczucia tego pokornego człowieka, który wychodził wczesnym rankiem i wracał do domu późnym wieczorem, w sam raz, by przebrać się do obiadu. Był dla nich zupełnie obcy, ale uważały, że jako ojciec winien im jest miłość i opiekę.

VIII

Pani Garstin miała pewien rodzaj hartu ducha, godny podziwu. Nie pozwoliła nikomu w swym kole, które było dla niej światem, domyślić się, jak bardzo była zmartwiona rozwianiem się ambitnych planów. Nie zaprowadziła żadnych zmian na skali swego życia. Dzięki oszczędnej zapobiegliwości mogła wydawać równie wystawne jak dawniej obiady, a przyjaciół przyjmowała z tą samą co poprzednio pogodną wesołością, od tak dawna uprawianą. Posiadała zapas niewyczerpanej, łatwej gadaniny, uważanej w towarzystwie, w którym się obracała, za konwersację. Była pożytecznym gościem dla ludzi, którym paplanina towarzyska sprawiała pewną trudność; nigdy nie zabrakło jej nowego tematu i umiała zawsze przerwać przykre milczenie rzuconą we właściwej chwili uwagą.

Nie było już widoków otrzymania dla Garstina nominacji na sędziego w stolicy, ale mógł jeszcze spodziewać się, że zostanie sędzią na prowincji, a w

najgorszym razie w koloniach. Tymczasem zaś pani Garstin doczekała się z małżonka choć tyle pociechy, że go mianowano registratorem jakiegoś miasta walijskiego. Swe nadzieje pokładała teraz w córkach. Liczyła na to, że uda się wykombinować dla nich korzystne partie, które będą jej odszkodowaniem za wszelkie rozczarowania nieudanej kariery. Miała dwie córki, Kitty i Doris. Doris, żadna piękność, miała nos za długi i postać ociężałą, matka mogła się więc spodziewać dla niej najwyżej jakiegoś zamożnego młodzieńca przyzwoitej profesji.

Ale Kitty była pięknością. Zapowiadały to już w dzieciństwie jej duże, ciemne żywe oczy, kasztanowate, o czerwonym odcieniu, falujące włosy, cudowne zęby i śliczna cera. Rysów nie miała zbyt regularnych, gdyż podbródek był kanciasty, a nos, choć nie tak długi jak siostry, jednak nieco za duży. Piękność jej w dużym stopniu polegała na młodości i pani Garstin zdawała sobie sprawę z tego, że musi ją wydać za mąż za młodu, w blasku wiosennego rozkwitu. Gdy weszła w świat, czyniła wrażenie wprost porywające. Wyjątkowo piękna cera stanowiła jej największą ozdobę, ale oczy o długich rzęsach były tak gwiazdziste i tak przy tym olśniewające, że chwytaly wprost za serce, gdy się w nie spoglądało. Była pełna wesołego wdzięku i chęci podobania się. Pani Garstin obdarzała ją całą miłością, na jaką było ją stać. Śniła na rachunek córki ambitne sny; marzyła dla niej nie tyle o dobrym zamążpójściu, ile o partii świetnej w znaczeniu towarzyskim.

Kitty, w którą od lat dziecinnych wpojono przekonanie, że będzie piękną kobietą, podzielała ambitne plany matki; zgadzały się one z jej własnymi pragnieniami. Gdy została wprowadzona w świat, pani Garstin dokazywała cudów, by otrzymać zaproszenia na bale, na których jej córka mogłaby spotkać odpowiednich epuzerów. Powodzenie Kitty było zupełne. Piękna i pełna życia, została wkrótce otoczona przez tuzin wielbicieli. Nie było jednak między nimi nikogo odpowiedniego, a Kitty, miła i uprzejma dla wszystkich, starannie unikała wyróżnienia któregokolwiek. Salon w South Kensington zapełniał się w każde niedzielne popołudnie zakochaną młodzieżą, ale pani Garstin skonstatowała ze

srogim uśmiechem, że i bez jej pomocy Kitty umiała trzymać swoich wielbicieli w przyzwoitej odległości. Panienska nie była od tego, żeby poflirtować trochę, i bawiło ją wywoływanie zazdrości w swych wielbicielach, ale gdy który się oświadczył, co czynili wszyscy po kolei, odmawiała taktownie, lecz stanowczo.

Pierwszy sezon przeminął, a odpowiedni kandydat się nie zjawił, drugi tak samo, ale Kitty była młoda i mogła czekać. Pani Garstin mówiła swoim przyjaciółom, że nie powinno się wydawać za mąż panien, póki nie skończą dwudziestu jeden lat. Ale minął trzeci rok i czwarty. Dwaj czy trzech dawni wielbiciele oświadczyli się ponownie, ale byli bez grosza; oświadczyło się paru chłopców młodszych od Kitty, wreszcie jakiś emeryt mający przeszło pięćdziesiąt lat. Kitty wciąż jeszcze tańczyła wiele, bywała w Wimbledonie, na wyścigach w Ascot i w Henley. Bawiła się wyśmienicie, ale nie zjawił się żaden pretendent do jej ręki, którego stanowisko i dochody byłyby zadowalające. Pani Garstin zaniepokoiła się. Zauważyła, że Kitty zaczyna pociągać starszych panów. Zwróciła uwagę córce, że za rok lub dwa nie będzie już taka ładna i że co rok nowe młodzietkie panny wstępują na targowisko. Pani Garstin w domowym kole nie przebierała w słowach i cierpko ostrzegała Kitty, że później może nie znaleźć amatorów.

Kitty wzruszała ramionami. Czowała się równie ładna jak dawniej, może nawet ładniejsza, gdyż w ciągu ostatnich czterech lat nauczyła się ubierać, no i miała przed sobą dość czasu. Jeśliby chciała wyjść za mąż tylko po to, żeby wyjść za mąż, to znalazłaby przecież z tuzin chłopców, którzy by skwapliwie z tej okazji skorzystali. Na pewno wcześniej czy później zjawi się odpowiedni kandydat. Pani Garstin oceniała stan rzeczy znacznie przenikliwiej; rozgniewana na piękną córkę, która nie umiała wykorzystać swych szans, obniżyła o cały stopień skalę wymagań, zwróciła się ku fachowcom, którymi w swej dawnej dumie gardziła, i zaczęła rozglądać się za jakimś młodym prawnikiem lub handlowcem o przyszłości budzącej zaufanie.

Kitty dosięgła lat dwudziestu pięciu i wciąż jeszcze była „na wydaniu”. Pani Garstin, rozjątrzona, od czasu do czasu dość niedelikatnie dawała córce do

zrozumienia, co o tym myśli. Pytała, jak długo jeszcze ojciec ma ją utrzymywać. Wydał więcej niż mógł, by stworzyć jej szanse, których nie umiała wykorzystać. I pani Garstin nie przyszło na myśl, że to może jej własna nadmierna uprzejmość odstraszała tych panów, synów bogatych ojców lub spadkobierców tytułów, których zbyt natrętnie zachęcała do odwiedzania swego domu. Przypisywała niepowodzenie głupocie Kitty.

Tymczasem Doris weszła w świat. Miała wciąż jeszcze długi nos i marną figurę i źle tańczyła. Ale zaraz w pierwszym sezonie zaręczyła się z Geoffreyem Dennisonem, jedynym synem zamożnego chirurga obdarzonego tytułem barona podczas wojny. Geoffrey miał odziedziczyć - co prawda nie jest to nic nadzwyczajnego - baronię medyczną, ale tytuł, dzięki Bogu, zawsze jest tytułem - i bardzo piękną fortunę.

Wtedy Kitty w przystępie paniki wyszła za Waltera Fane.

IX

Znała go od niedawna i dotychczas prawie wcale nie zwracała nań uwagi. Nie pamiętała nawet, gdzie i kiedy spotkali się po raz pierwszy: dopiero po zaręczynach przypomniał jej, że poznali się na wieczorku, na który wprowadzili go jego koledzy. Nie zajmowała się nim wtedy wcale, a jeśli tańczyła z nim, to tylko dlatego, że w ogóle tańczyła chętnie z każdym, kto ją zaprosił. Nie poznała go absolutnie, gdy w parę dni później na jakimś wieczorku podszedł do niej i rozpoczął rozmowę. Po niej jakim czasie spostrzegła, że spotyka go na wszystkich przyjęciach.

- Wie pan, że tańczyliśmy ze sobą na pewno już z tuzin razy, musi mi pan teraz nareszcie wyjawić swoje nazwisko - rzekła w końcu żartobliwie.

Uderzyło go to widocznie.

- Czy chce pani przez to powiedzieć, że nazwisko moje nie jest pani znane?

Przecież zostałem pani przedstawiony.

- O tak, ale ludzie zwykle tak niewyraźnie wymawiają nazwiska przy przedstawianiu. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby pan nie miał pojęcia, jak się nazywam!

Uśmiechnął się. Twarz jego była poważna, a nawet nieco posepna, ale uśmiech bardzo miły.

- Rozumie się, że wiem. - Milczał przez chwilę, a potem zapytał: - Czy pani wcale nie jest ciekawa?

- Owszem, tak samo jak i inne niewiasty.

- A nie przyszło pani na myśl zapytać kogoś ze znajomych o moje nazwisko?

Ubawiło ją to z lekka; bo z jakiej racji przypuszczał, że jego nazwisko mogłoby ją z jakiegokolwiek powodu interesować? Ale rada przypodobać się każdemu, spojrzała nań z jednym z tych swoich olśniewających uśmiechów, a jej piękne, głębokie oczy były pełne zachwycającej dobroci.

- A więc pan się nazywa?

- Walter Fane.

Prawdę powiedziawszy, nie rozumiała, po co ten pan przychodził na wieczorki tańcujące - tańczył nietęgo i mało kogo znał. Przelotnie musnęła ją myśl, że się w niej kochał. Ale odrzuciła ją natychmiast. Zawsze się przecież wyśmiewała z tych głupich panien, co to o każdym zbliżającym się mężczyźnie myślą, że się w nich kocha. Jednak zwracała już teraz więcej uwagi na Waltera. Co prawda nie zachowywał się wcale jak inni młodzieńcy, którzy się w niej kochali. Tamci szczerze wyznawali swoje uczucia i domagali się pocałunku, niektórym się to nawet udało. Ale Walter Fane nigdy nie mówił z nią o niej, a bardzo mało o sobie. W ogóle przeważnie milczał; nie raziło jej to, bo sama miała wiele do powiedzenia i radowało ją, gdy śmiał się z jej dowcipnych słówek, ale gdy się odezwał, przemawiał wcale niegłupio.

Widocznie był nieśmiały. Okazało się, że mieszka na Wschodzie i jest obecnie na urlopie.

W pewne niedzielne popołudnie zjawił się u nich w South Kensington. Było kilkanaście osób, posiedział jakiś czas, trochę nieswój, jakby onieśmielony i poszedł. Matka zapytała Kitty, kto to jest.

- Nie mam pojęcia; czy to mama go zaprosiła?

- Tak, poznałam go u Baddeleyów. Mówił mi, że spotykał cię na wieczorkach.

Powiedziałam mu, że jestem zawsze w domu w niedzielę.

- Nazywa się Fane i ma jakąś posiadłość na Wschodzie.

- Wiem, jest lekarzem. Czy on się kocha w tobie?

- Słowo daję, że nie wiem.

- Sądziłabym, że powinnaś już umieć poznać się na tym, czy młody człowiek jest zakochany w tobie, czy nie.

- Nie wyszłabym za niego, choćby i był zakochany - rzuciła lekko Kitty.

Pani Garstin nic na to nie odpowiedziała, ale jej milczenie było dość wymowne.

Kitty zarumieniła się; wiedziała, że matce było już obojętne, za kogo ona wyjdzie, byleby się jej pozbyć.

X

W ciągu następnego tygodnia spotkała go na trzech wieczorkach. Pozbywszy się nieco nieśmiałości, stał się bardziej rozmowny. Rzeczywiście był doktorem, ale nie praktykował, był bakteriologiem (Kitty miała bardzo mętne pojęcie o znaczeniu tego wyrazu), a miał posiadłość w Tching-Yenie. Jesienią miał tam wrócić. Opowiadał

wiele o Chinach. Kitty zawsze starała się okazywać zainteresowanie przedmiotem rozmowy, ale to, co opowiadał Fane o życiu w Tching-Yenie, brzmiało naprawdę dość zachęcająco; były tam kluby, tenis, wyścigi konne, polo i golf.

- Czy tam dużo tańczą?

- O tak, zdaje się, że tańczą. Zaciekawiało ją, czy opowiada jej wszystko z jakąś specjalną intencją. Zdawał się chętnie przebywać w jej towarzystwie, ale nigdy ani uściskiem ręki, ani spojrzeniem, ani słowem nie dał w najmniejszy nawet sposób poznać, by ją traktował inaczej niż zwykłą „tańczącą” znajomość. Następną niedzielę odwiedził ich ponownie. Ojciec Kitty przypadkowo był właśnie w domu, gdyż z powodu deszczu i nie mógł grać w golfa. Obaj panowie wdali się w pogawędkę. Kitty zapytała potem ojca, o czym tak długo rozmawiali.

- Okazuje się, że mieszka w Tching-Yenie. Naczelny sędzia tamtejszy jest moim starym przyjacielem i kolegą sądowym. Mam wrażenie, że ten Fane jest niezwykle inteligentnym młodzieńcem.

Wiedziała, że ojciec na ogół nudził się śmiertelnie w towarzystwie młodych ludzi, których musiał w ciągu tylu lat podejmować ze względu na córki.

- Nieczęsto się zdarza, by ojcu podobał się któryś z moich młodych znajomych - zauważyła.

Jego dobrotliwe, znużone oczy spoczęły na twarzy córki.

- Czy nie masz przypadkiem zamiaru wyjść za niego?

- Na pewno nie.

- Czy on się kocha w tobie?

- W każdym razie nie okazuje tego.

- Czy ci się podoba?

- Zdaje się, że nie bardzo. Irytuje mnie. Rzeczywiście nie był wcale jej typem.

Niskiego wzrostu, lecz nie krępy, raczej drobny i szczupły; miał ciemną cerę, gładko wygoloną twarz, o bardzo regularnych, wyrazistych rysach. Oczy jego, prawie czarne, ale niewielkie i mało ruchliwe, zatrzymywały się na przedmiotach ze

szczególnością wytrwałością: ciekawe, ale niezbyt przyjemne oczy. Pomimo prostego, delikatnego nosa, pięknego czoła i kształtnych ust, które powinny być się składać na pociągającą całość, nie był wcale przystojny. Kiedy Kitty zaczęła zwracać nań więcej uwagi, zdumiała się, spostrzegłszy, że rysy jego twarzy, wzięte pojedynczo, są regularne i ładne, gdyż na ogół czynił na niej wrażenie człowieka raczej brzydkiego. Twarz jego była zimna, ton z lekka sarkastyczny, a teraz, poznawszy go bliżej, Kitty zauważyła, że w jego towarzystwie nie czuje się zupełnie swobodna. Brak mu było wesołości.

Sezon miał się ku końcowi; spotykali się przez ten czas często, ale Fane wydawał się jej wciąż równie daleki i nieprzenikniony. Właściwie nie był wobec niej nieśmiały, raczej jakby zakłopotany; rozmowa z nim była zawsze dziwnie nieosobista. Kitty doszła do wniosku, że nie jest w niej zakochany. Widocznie lubił ją i było mu przyjemnie z nią rozmawiać, ale gdy w listopadzie wróci do Tching-Yenu, zapewne nie wspomni jej nawet. Uważała za wielce prawdopodobne, że był zaręczony z jakąś pielęgniarzką w Tching-Yenie, córką duchownego, nudną, pospolitą, płaskonogą i gorliwą; byłaby to w sam raz żona dla niego.

Zaręczyny Doris z Geoffreyem Dennisonem zostały ogłoszone. Doris, mając dopiero osiemnaście lat, robi dobrą partię, a ona ma już dwadzieścia pięć i dotąd jest niezamężna! A co będzie, jeśli wcale nie wyjdzie za mąż? W tym sezonie jedynym pretendencem do jej ręki był dwudziestoletni młodzieniec, który jeszcze nie ukończył studiów w Oksfordzie; nie mogła przecież poślubić chłopca młodszego od siebie o pięć lat! Słowem - kłapa zupełna! Przed rokiem odrzuciła oświadczyzny wdowca z trojgiem dzieci. Obecnie żałowała nawet tej odmowy. Matka będzie dokuczała, a Doris zawsze traktowana gorzej niż Kitty, po której spodziewano się świetnej partii, tak, Doris też będzie teraz porządnie nad nią krakała. Kitty była strasznie przygnębiona.

XI

Ale pewnego popołudnia, wracając do domu, spotkała przypadkowo na Brompton Road Waltera Fane'a. Zatrzymał się i rozmawiał z nią. Potem jakby mimochodem zapytał, czy nie zechciałaby przejść się z nim po parku. Nie ciągnęło jej nic do domu; w tej chwili nie spodziewała się tam niczego miłego. Przechadzali się więc, gawędząc jak zwykle o rzeczach przypadkowych, i Fane zapytał, dokąd Kitty wybiera się tego lata.

- O, zagrzebiemy się jak zwykle gdzieś na wsi. Ojciec, wie pan, jest bardzo wyczerpany pracą i zawsze podczas ferii sądowych szukamy najbardziej spokojnego kąta.

Kitty blagowała oczywiście, wiedziała przecież dobrze, że ojciec nie miał wcale tylu spraw, by się mógł zmęczyć, a zresztą gdyby nawet tak było, nikt by się na niego nie oglądał przy wybieraniu miejscowości na letnie wywczasy. Ale letniska mniej uczęszczane są tanie.

- Czy nie uważa pani, że te krzesła są zachęcające? - zapytał nagle Walter.

Spojrzała na wskazane przezeń dwa zielone krzesła, ustawione pod drzewami na murawie.- A więc usiadźmy na nich - odpowiedziała.

Ale gdy usiedli, zamyślił się. Dziwne zeń stworzenie. Gawędziła więc w dalszym ciągu wesoło, głowiąc się jednocześnie nad tym, w jakim celu właściwie namówił ją na tę przechadzkę. Może miał zamiar zwierzyć się ze swego sentymentu do owej płaskonogiej pielęgniarce w Tching-Yenie? Nagle zwrócił się do niej, przerywając w pół zdania. Było widoczne, że wcale nie słyszał tego, co mówiła. Twarz jego zbielała jak kreda.

- Pragnę pani coś powiedzieć.

Spojrzała na niego i spostrzegła, że jego oczy były pełne bolesnego lęku. Głos,

wysilony i cichy, drżał nieco. Zanim zdążyła zadać pytanie, co by jego wzruszenie mogło oznaczać, przemówił znowu:

- Chciałbym zapytać, czy pani zgodziłaby się zostać moją żoną?

- Omal nie zemdlalam z powodu tej niespodzianki - odrzekła zdziwiona i spojrzała nań prawie nieprzytomnie.

- Czy pani nie wiedziała, że jestem w pani zakochany do szaleństwa?

- Nigdy pan tego nie okazywał.

- Bo jestem bardzo nieśmiały i niezręczny. Jest mi zawsze trudniej mówić o tym, co czuję naprawdę, niż o tym, co mi jest obojętne.

Serce jej zabiło w nieco przyspieszonym tempie. Oświadczano jej się już nieraz to wesoło, to sentymentalnie, odpowiadała również w ten sam sposób. Nikt jednak nie prosił dotąd o jej rękę tak porywczo, a zarazem tak dziwnie tragicznie.- Pan bardzo łaskaw - rzekła zmieszana.

- Pokochałem panią od pierwszej chwili, gdy panią ujrzałem. Już dawno chciałem się oświadczyć, ale nie mogłem się na to zdobyć.

- Nie wiem, czy to mi pochlebia. - Roześmiała się.

Z zadowoleniem przyjęła sposobność pośmiania się, gdyż wydało jej się, że w powietrzu tego pięknego dnia nagle zawisła jakaś ciężka przepowiednia. Walter się zachmurzył.

- Pani wie bardzo dobrze, co chciałem powiedzieć. Obawiałem się utracić nadzieję. A teraz pani wyjeżdża na wieś, a ja jesienią muszę wrócić do Chin.

- Doprawdy, nigdy nie patrzyłam dotąd na pana w tym świetle.

Nic już więcej nie powiedział. Popatrzył posepnie w dół, na trawę. Dziwny człowiek. Ale teraz, gdy już wypowiedział te słowa, czuła instynktownie, że jego miłość jest czymś, czego dotąd nie zaznała. Była trochę przerażona, ale wbijało ją to także w dumę. Jego obojętny spokój imponował jej z lekka.

- Musi mi pan zostawić czas do namysłu.

Nie odezwał się wcale. Nie poruszył się. Czy myśli trzymać ją tutaj, dopóki

ona się nie zdecyduje? Co za nonsens! Musi pomówić o tym z matką. Powinna była wstać z krzesła bezpośrednio po wypowiedzeniu tych słów, ale czekała, sądząc, że odpowie, a nie wiadomo dlaczego trudno jej się było na to zdobyć. Nie patrzyła na niego w tej chwili, ale zdawała sobie sprawę z jego wyglądu. Doprawdy, nigdy nie wyobrażała sobie, by mogła wyjść za mąż za człowieka, który był prawie jednego z nią wzrostu. Siedząc tak blisko, rozróżniała dokładnie regularne rysy i zimny wyraz jego twarzy, kontrastujący tak dziwnie z niedawno wypowiedzianym uczuciem.

- Nie znam pana przecież. Nie znam pana przecież wcale - mówiła z drżeniem.

Spojrzał na nią i nagle poczuła, jak pociągają ją jego oczy. Była w nich tkliwość, której nigdy dotąd nie widziała, ale było też coś błagalnego jak w oczach obitego psa, co ją z lekka podrażniło.

- Myślę, że może zyskam przy bliższej znajomości.

- Pan jest nieśmiały, prawda?

Doprawdy, były to najdziwniejsze oświadczenia, niepodobne zgoła do tych, które jej się kiedykolwiek zdarzyło słyszeć. Miała teraz wrażenie, że mówią do siebie rzeczy, których w takich okazjach nikt by się nie spodziewał. Nie kochała go przecież ani trochę. Sama nie rozumiała, dlaczego nie dała mu od razu odmownej odpowiedzi.

- Jestem strasznie niemądry - rzekł Walter - pragnę pani powiedzieć, że kocham ją nad wszystko w świecie, a tak mi trudno to wymówić.

Najdziwniejsze, że te słowa w jakiś zupełnie niepojęty dla niej sposób wzruszyły ją; nie, on nie był właściwie zimny, tylko jego zachowanie było takie niefortunne. W tej chwili podobał się jej nawet bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Ślub Doris miał odbyć się w listopadzie. O tej porze Walter będzie w drodze do Chin, a ona z nim, jeśli przyjmie jego oświadczenia. Perspektywa druźbowania siostrze niezbyt jej się uśmiechała. Wolałaby uniknąć tej parady. Doris zameżna, a ona wciąż jeszcze „do wzięcia”. Wszyscy wiedzą, ile Doris jest od niej młodsza. Przylepią jej niechybnie etykietę starej panny. Oczywiście Fane nie jest szczególnie dobrą partią, ale zawsze to partia, a wyjazd do Chin doda temu zamążpójściu pewnego blasku.

Strasznie się lękała ostrego języka matki. Wszak wszystkie dziewczyny, które jednocześnie z nią weszły w świat, dawno powychodziły za mąż. Większość miała nawet dzieci. Już się jej sprzykrzyło odwiedzanie zameżnych przyjaciółek i zachwywanie się ich pociechami. Walter Fane ofiarowywał jej nowe życie. Zwróciła się doń z tym swoim czarującym uśmiechem, którego efektu była pewna.

- Gdybym była tak nieopatrna, że powiedziałabym, iż wyjdę za pana, kiedy by pan pragnął, by odbył się ślub?

Zachłysnęła się z nagłego zachwytu, a jego blade policzki pokryły się rumieńcem.

- Teraz. Natychmiast! Jak tylko można najprędzej! Pojechalibyśmy do Włoch w podróż poślubną na sierpień i wrzesień!

Uwolniłoby ją to przynajmniej od spędzenia lata z rodzicami na jakimś zapadłym, wiejskim probostwie, wynajętym za marne pięć gwinei tygodniowo. Błyskawicznie wyobraziła sobie notatkę w „Morning Post”, że z powodu konieczności wyjazdu pana młodego na Wschód ślub odbędzie się niezwłocznie. Znała dobrze matkę i wiedziała, że postara się ona, by wszystko odbyło się z należytą paradą i rozgłosem. Chwilowo przynajmniej Doris ustąpi na drugi plan, a gdy przyjdzie pora na wspaniały ślub siostry, ona już będzie daleko.

Podawała mu rękę.

- Zdaje mi się, że bardzo pana lubię. Trzeba mi jednak trochę czasu, bym się do pana przyzwyczaiła.

- A więc „tak”?

- Przypuszczam.

XII

Znała go wtedy bardzo mało, a i teraz, mimo że byli już małżeństwem od dwóch lat, niewiele więcej. Z początku wzruszała ją jego dobroć i pochlebiała jej, choć nieco dziwiła, jego namiętna miłość. Był pełen nadzwyczajnych względów dla żony. Ogromnie dbał o jej wygodę; wystarczyło, by wyraziła najmniejsze życzenie, a natychmiast spieszył je spełniać. Nieustannie obsypywał ją drobnymi podarkami. Gdy czasami czuła się niezdrowa, był niezwykle usłużny i troskliwy. Zdawało się, że okazuje mu najwyższą łaskę, dając sposobność wykonywania dla niej rzeczy trudnych i męczących. A przy tym był zawsze nadzwyczaj uprzejmy. Wstawał, ilekroć wchodziła do pokoju, podawał jej rękę przy wsiadaniu i wysiadaniu z auta, uchylał kapelusza, spotykając ją na ulicy, spieszył otworzyć drzwi, gdy opuszczała pokój, nigdy nie wchodził do jej sypialni lub saloniku bez pukania. W ogóle zachowywał się wobec niej zgoła inaczej niż wszyscy znani Kitty mężowie w stosunku do swoich żon. Zupełnie, jakby była gościem w jakiejś wiejskiej siedzibie. Było to bardzo przyjemne, choć nieco śmieszne. Czułaby się może znacznie lepiej w jego towarzystwie, gdyby się zachowywał mniej ceremonialnie. Stosunki małżeńskie nie przyczyniały się też wcale do większego zbliżenia. Bywał wtedy namiętny, dziki, nieomal histeryczny, a przy tym sentymentalny.

Była wprost zdumiona, gdy zauważyła, do jakiego stopnia poddawał się wzruszeniom. Nie wiedziała, czy opanowanie, okazywane w codziennym życiu, zawdzięczał nieśmiałości czy wprawie; nieraz nie mogła wstrzymać się od lekkiej pogardy, bo Walter, który na ogół nie umiał rozmawiać wesoło ani żartować, obawiając się narazić na śmieszność, przemawiał do leżącej w jego objęciach Kitty jakimś dziecięcym szczebiotem. Obraził się kiedyś na nią, gdy ze śmiechem powiedziała, że plecie niestworzone nedorzeczności. Poczula, że ramiona

obejmujące ją opadły; milczał przez chwilę, a potem bez słowa zostawił ją i wyszedł do swego pokoju.

- Głuptasek z ciebie, mój kochany, możesz mówić mi, jakie chcesz nonsensy.

Roześmiał się zawstydzony. Bardzo prędko spostrzegła, że Walter jest zupełnie pozbawiony daru zatracania się. Był zawsze skrępowany i nieśmiały; gdy w towarzystwie śpiewano, nigdy nie miał odwagi przyłączyć się do chóru. Siedział i uśmiechał się, by okazać, że mu to sprawia przyjemność, ale uśmiech jego był wymuszony, raczej sarkastyczny, i nietrudno było zrozumieć, że uważa to całe rozbawione towarzystwo za bandę idiotów. Nie mógł się zdobyć na udział w grach towarzyskich, w których Kitty ze swą wrodzoną wesołością tak gustowała. W czasie podróży do Chin odmówił kategorycznie wdziania kostiumu maskaradowego, choć wszyscy się poprzebierali. Myśl, że w jego oczach wszystko to jest głupie i nudne, psuła Kitty całą zabawę.

A Kitty była bardzo żywa. Chętnie rozmawiała przez cały dzień i łatwo ją było pobudzić do śmiechu. Jego milczenie ją drażniło. Wyprowadzał ją zwłaszcza z równowagi zwyczaj nieodpowiadania na rzucone przez nią pobieżne uwagi. Właściwie nie wymagały one żadnej odpowiedzi, ale zawsze miło by było usłyszeć cokolwiek, na przykład, gdy padał deszcz, a ona zauważyła, że „leje jak z cebra”, mógłby przecież odrzec „rzeczywiście” lub coś w tym rodzaju. Ale on milczał. Czasami brała ją chęć, by nim potrząsnąć .

- Powiedziałaś, że leje jak z cebra - powtórzyła.

- Słyszałem - odpowiedział z przyjaznym uśmiechem.

Dowodziło to, że nie miał zamiaru urażenia jej. Nie mówił, ponieważ nie miał nic do powiedzenia. Ale gdyby wszyscy tylko wtedy się odzywali, kiedy naprawdę mają coś do powiedzenia - rozmyślała Kitty i uśmiechnęła się - ród ludzki wkrótce utraciłby chyba zupełnie zdolność mówienia.

Walter był rzeczywiście zupełnie pozbawiony wdzięku. Oto dlaczego nie cieszył się popularnością.

Kitty zauważyła to bardzo prędko po przybyciu do Tching-Yenu. O właściwym zajęciu męża miała bardzo niewyraźne pojęcie. Zmiarkowała jednak od razu, że posada państwowego bakteriologa należy do mniej znaczących w towarzystwie. Walter nie okazywał chęci omawiania z żoną tej strony życia. Pragnąc okazać mu zainteresowanie we wszystkim, co go dotyczyło, zapytała go w pierwszych dniach o to. Zbył ją żartem.

- To jest bardzo nudne i techniczne - rzekł przy innej sposobności. - I bardzo licho płatne.

W ogóle był powściągliwy. Wszystko, co wiedziała o jego przodkach, pochodzeniu, wykształceniu i dotychczasowym życiu, wydobyła zeń za pomocą bezpośrednich pytań. Najwyraźniej nie lubił indagowania, była to jedyna rzecz, która zdawała się irytować go naprawdę: a gdy w łatwej do zrozumienia ciekawości obsypywała go gradem swych znaków zapytania, odpowiedzi jego stawały się coraz bardziej porywcze. Była na tyle rozsądna, by pojąć, że nie dlatego odpowiada niechętnie, by coś przed nią ukryć; wypływało to po prostu z jego wrodzonej skrytości. Nie lubił mówić o sobie. Czuł się wtedy zawstydzony i nieswój. Nie umiał być szczery.

Miał zamiłowanie do czytania, ale czytał książki, które Kitty uważała za nudne. Jeśli nie zagłębiał się w jakimś traktacie naukowym, to czytał książki o Chinach albo dzieła historyczne. Pracował bez chwili wytchnienia. Zdawało jej się, że nie umiał odpoczywać. Lubiał gry: grał w tenisa i w brydża.

Właściwie nie rozumiała, dlaczego się w niej zakochał. Nie mogła sobie

wyobrazić osoby mniej od niej odpowiadającej temu powściągliwemu, zimnemu i opanowanemu człowiekowi. A jednak nie ulegało wątpliwości, że kochał ją do szaleństwa. Gotów był uczynić wszystko na świecie, by się przypodobać. Był jak wosk w jej rękach. Gdy myślała o tej stronie jego jestestwa, która jej jednej tylko była znana, zdejmowała ją lekka pogarda. Zastanawiała się nad tym, czy jego sarkastyczne zachowanie i pogardliwa tolerancja, z jaką odnosił się do wielu osób, były tylko pozorem mającym pokryć wewnętrzną słabość. Przypuszczała, że jest zdolny - wszyscy zdawali się być o nim tego zdania - ale tylko w wyjątkowych chwilach dobrego humoru, w rozmowie z dwiema czy trzema osobami, które mu się podobały, stawał się jako tako zajmujący. Na ogół Kitty nigdy nie bawiła się w jego towarzystwie. Nie dlatego, żeby ją nudził, był jej po prostu obojętny.

XIV

Kitty zawarła znajomość z Karolem Townsendem dopiero po kilku tygodniach pobytu w Tching-Yenie, jakkolwiek z żoną jego spotykała się już dawniej na rozmaitych herbatkach. Został jej przedstawiony, dopiero gdy przybyła z mężem na obiad proszony do jego domu. Kitty zawczasu uzbroiła się w pewną odporność. Karol Townsend był wicesekretarzem kolonii, nie miała najmniejszego zamiaru dopuścić, by pozwolił sobie traktować ją z góry, jak to pomimo dobrych manier czyniła jego małżonka. Pokój, w którym odbywało się przyjęcie, był obszerny, urządzone, wzorem wszystkich widzianych przez nią salonów w Tching-Yenie, skromnie i celowo. Było dużo osób. Kitty i jej mąż przybyli ostatni i w chwili ich wejścia służba chińska w liberii roznosiła koktajle i oliwki. Pani Townsend powitała ich zdawkowo i pośpiesznie i zajrzawszy do swej listy, zawiadomiła Waltera, kogo ma prowadzić do stołu. W tej chwili zbliżył się do nich wysoki i bardzo przystojny mężczyzna.

- Oto mój małżonek.

- Przypadł mi w udziale przywilej zajęcia miejsca obok pani - rzekł.

Od razu poczuła się zupełnie swobodna i wrogie usposobienie momentalnie ją opuściło. Chociaż jego oczy były uśmiechnięte, od razu zauważyła w nich zdziwienie. Zrozumiała to doskonale i miała ochotę się roześmiać.

- Doprawdy nie będę dziś mógł wcale jeść - rzekł - a o ile znam Dorotę, obiad jest na pewno wspaniały.

- Dlaczego nie będzie pan mógł jeść?

- Ależ powinni mi byli powiedzieć. Ktoś powinien mnie ostrzec, doprawdy.

- Przed czym?- Nikt mi ani słówka o tym nie pisał. Skądże miałem wiedzieć, że zobaczę taką zwycięską piękność?

- No i co pan chce, żeby na to odpowiedziała?

- Nic zupełnie. Niech pani mnie pozostawi głos. Będę to powtarzał niezmordowanie.

Kitty, niewzruszona, rozmyślała, co też właściwie jego żona powiedziała mu o niej. Musiał się chyba o nią pytać. A Townsend, patrząc śmiejącymi się oczyma, przypominał sobie właśnie tę rozmowę.

- Jaka ona jest - zapytał żonę, gdy mu opowiadała, że spotkała w towarzystwie małżonkę Waltera Fane'a.

- Dość miłe stworzonko, wygląda trochę na aktorkę.

- Czy występowała na scenie?

- Przypuszczam, że nie. Jej ojciec był lekarzem czy prawnikiem lub czymś w tym rodzaju. Sądzę, że będziemy musieli zaprosić ich na obiad.

- Ale to chyba nic pilnego?

Gdy podczas obiadu siedzieli obok siebie, powiedział jej, że zna się z Walterem od czasu przybycia do kolonii.

- Grywamy razem w brydża. On jest najlepszym graczem w klubie.

Powiedziała o tym Walterowi, gdy wracali do domu.

- No, to niewiele, moja droga.

- A jak on gra?

- Nieźle. Gdy ma dobrą kartę, gra bardzo dobrze, ale jeżeli mu karta nie dopisze, rozsypuje się zupełnie.- Czy gra tak dobrze jak ty?

- Nie mam żadnych złudzeń co do swojej gry. Określiłbym siebie jako dobrego gracza drugiego rzędu. Townsend wmawia w siebie, że jest graczem pierwszorzędnym. Ale nim nie jest.

- Czy go nie lubisz?

- Ani go lubię, ani nie lubię. Sądzę, że jest zdolnym urzędnikiem, wszyscy mówią, że jest dobrym sportsmenem. Na ogół mało się nim interesuję.

Nie po raz pierwszy powściągliwość Waltera ją zirytowała. Zadawała sobie pytanie, jaki sens ma taka ostrożność w wypowiedaniu opinii. Albo się ktoś podoba, albo nie. Jej Karol Townsend podobał się bardzo. A nie spodziewała się tego. Był prawdopodobnie najbardziej lubianym człowiekiem w całej kolonii. Przepowiadano ogólnie, że wkrótce sekretarz generalny przejdzie w stan spoczynku i wszyscy spodziewali się, że Townsend będzie jego następcą. Grał w polo, tenisa i golfa. Trzymał kuce wyścigowe. Był zawsze gotów wyświadczyć komuś przysługę. Nigdy nie kierował się formalizmem urzędniczym. Nie robił z siebie „wielkiego człowieka”, Kitty nie rozumiała teraz, dlaczego właściwie gniewała ją z początku ta pochlebna opinia. Zdawało jej się, że musi być zarozumiała. Jakież to było głupie! Doprawdy była to ostatnia rzecz, o jaką by go można było posądzić.

Doskonale się bawiła tego wieczoru. Rozmawiali o teatrach londyńskich, o Ascot i Cowes, słowem o rzeczach dobrze jej znanych, tak jak rozmawia się z kimś spotkanym w jakimś miłym towarzystwie w lepszych dzielnicach wielkowiejskich; a później, gdy panowie po obiedzie wrócili do salonu, usiadł przy niej znowu. Chociaż nie opowiadał nic szczególnie zabawnego, zdołał ją rozśmieszyć; widocznie polegało to na sposobie wypowiedania niektórych rzeczy. Był jakiś pieszczotliwy ton w jego głębokim, bogatym głosie i zachwycający wyraz w miłych, świecących błękitnych

oczach, które sprawiały, że czuła się tak dobrze w jego obecności. Oczywiście był pełen wdzięku. Dlatego towarzystwo jego było tak przyjemne. Wysoki - chyba ze sześć stóp - myślała - i postawny; najwidoczniej wygimnastykowany, nie miał uncji zbytecznego tłuszczu. Był bardzo dobrze ubrany, chyba najlepiej z obecnych mężczyzn, umiał też nosić wytworny garnitur. Lubiła szyk u mężczyzny. Mimo woli oczy jej przeniosły się na Waltera. Doprawdy, mógłby się lepiej ubierać. Zauważyła spinki u mankietów i guziki u kamizelki Townsenda; widziała takie same u Cartiera. Rozumie się, że Townsendowie mieli własny majątek. Twarz Karola była silnie opalona, ale słońce nie wyssało zdrowych kolorów z jego policzków. Podobał jej się mały, zgrabnie przycięty wąs, niezakrywający pełnych, czerwonych warg. Townsend miał czarne, krótkie i bardzo gładko przyczesane włosy. Ale oczywiście najpiękniejsze były oczy pod gęstymi, krzaczastymi brwiami; bardzo błękitne, pełne takiej uśmiechniętej czułości, dawały świadectwo słodczy usposobienia. Niepodobna, by człowiek o takich oczach mógł kogokolwiek skrzywdzić. Nie mogła nie zauważyć wrażenia, jakie na nim zrobiła. Gdyby nawet nie powiedział jej tylu miłych słówek, pełne zachwyty oczy by go zdradziły. Rozkoszne były te oczy. Kitty, przyzwyczajona od dawna do takich sytuacji, podziwiała zręczność, z jaką Townsend pośród lekkiej żartobliwej paplaniny, z której składała się ich rozmowa, umiał umieścić od czasu do czasu pochlebne dla niej zdanie. Gdy żegnali się, uściskał jej rękę w sposób, co do którego znaczenia nie mogła się pomylić.

- Spodziewam się, że wkrótce będziemy mieli znowu sposobność ujżenia pani - rzucił od niechcienia, ale jego oczy nadały tym słowom znaczenie, którego niepodobna było nie zauważyć.

- Tching-Yen jest przecież niewielkie, nieprawdaż? - odpowiedziała.

Któż by wtedy pomyślał, że w niespełna trzy miesiące dojdą do takiej zażyłości? Powiedział jej kiedyś, że zaraz pierwszego wieczoru zakochał się w niej do szaleństwa. Uważał ją za najpiękniejszą istotę, jaką kiedykolwiek zdarzyło mu się spotkać. Pamiętał dokładnie suknię, którą miała na sobie owego wieczoru (była to jej ślubna suknia); powiedział, że wyglądała jak lilia. Wiedziała, że się w niej kochał, jeszcze wcześniej, zanim jej to powiedział i, nieco przestraszona, starała się trzymać go w pewnym oddaleniu. Niełatwe to było wobec jego natarczywości. Lękała się pozwolić mu na pocałunek, gdyż czuła, że sama myśl o jego uścisku przyspiesza bicie jej serca. Nigdy dotychczas nie kochała. Było to coś cudownego. Teraz, gdy rozumiała, co to jest miłość, pojęła w całej pełni głębię uczucia, jakie Walter żywił dla niej. Dokuczała Karolowi żartobliwie i widziała, że mu to sprawia przyjemność. Z początku może się go nieco bała, ale teraz się ośmieliła. Drwiła zeń i bawił ją powolny uśmiech, z którym początkowo przyjmował jej żarty. Był zdziwiony. Myślała sobie, że wkrótce staną się przyjaciółmi. Teraz, gdy wiedziała coś niecoś o namiętności, znajdowała rozrywkę w tym lekkim igraniu z jego uczuciem jak harfiarka lekkimi palcami trącająca struny instrumentu. Śmiała się, widząc, jak go jej zachowanie dziwiło i mieszało.

A gdy Charlie został jej kochankiem, sytuacja z Walterem stała się przedziwnie absurdalna. Po prostu nie mogła patrzeć bez śmiechu na męża, tak poważnego i opanowanego. Była zbyt szczęśliwa, by móc żywić nieprzyjazne względem Waltera uczucia. Przecież gdyby nie on, nigdy by nie poznała Karola. Wahala się czas jakiś przed ostatecznym krokiem, nie dlatego żeby nie chciała poddać się namiętności Karola - jej własna była równie silna - ale dlatego, że powstrzymywało ją wychowanie wyniesione z domu i konwencjonalność całego jej życia. Później była

po prostu zdumiona, widząc, że nic się nie zmieniło ani w niej, ani w jej uczuciach. (Akt końcowy nastąpił dzięki przypadkowi, żadne z nich nie spostrzegło, gdy nadarzyła się odpowiednia chwila). Sądziła, że nastąpi wtedy jakaś, sama nie wiedziała jaka, fantastyczna przemiana w niej, że będzie się czuła jakby inną osobą; była niepomernie zdziwiona, ujrawszy w lustrze tę samą, widzianą w przeddzień kobietę.

- Czy gniewasz się na mnie? - zapytał.

- Uwielbiam cię - szepnęła.

- Czy nie uważasz, że byłaś bardzo niemądra, tracąc tak wiele czasu?

- Strasznie niemądra.

XVI

Szczęście, chwilami większe, niż znieść mogła, odnowiło jej piękność. Przed samym zamążpójściem zaczęła już tracić pierwotną świeżość i znać było po niej pewne znużenie, jakby zaćmienie. Złośliwi utrzymywali, że więdnie. Ale jest wielka różnica między panną dwudziestopięcioletnią a mężatką w tym samym wieku. Była jak pączek róży, którego płatki zaczynają więdnąć po brzegach, a potem nagle rozkwitła jak róża w pełni. Jej gwiazdziste oczy nabrały bardziej znaczącego wyrazu, cera, która zawsze była jej największą dumą i troską, stała się olśniewająca, tak że brzoskwinia i najpiękniejsze kwiaty pozazdrościłyby jej teraz blasku. Wyglądała najwyżej na osiemnaście lat. Była u szczytu swej płomiennej piękności. Niepodobna było nie zauważyć tego i przyjaciółki wypytywały ją poufnie, czy nie spodziewa się dziecka. Obojętni, którzy dotychczas uważali ją za zaledwie przystojną kobietę z nieco przydługim nosem, przyznawali, że pomylili się w osądzie jej urody. Stała się

teraz naprawdę „zwycięską pięknoscia”, jak to powiedział Charlie pierwszego wieczoru.

Prowadzili swoją intrygę bardzo zręcznie.

- Mam szerokie plecy - powiedział jej (Proszę nie blagować na temat swej figury - rzuciła mu żartobliwie). Nic mi się nie stanie, ale - ze względu na nią dodał - trzeba unikać najmniejszego nawet ryzyka. Nie mogą się widywać sam na sam zbyt często, w każdym razie nie tak często, jak by pragnął; przede wszystkim musi myśleć o jej bezpieczeństwie. Niekiedy spotykali się w owym składzie antyków, od czasu do czasu po lunchu u niej, gdy nikogo nie było w domu, ale widywała go często tu i ówdzie. Bawiło ją to wtedy, że przemawiał do niej owym światowym, jowialnym tonem, jaki miał dla wszystkich. Któż by pomyślał, słysząc, jak żartował z nią, wesoło i z właściwym sobie wdziękiem, że tak niedawno trzymał ją w namiętym uścisku?

Uwielbiała go. Był wspaniały w tych zgrabnych wysokich butach i białych bryczesach do gry w polo. W ubraniu tenisowym wyglądał na młodego chłopaka. Nic dziwnego, że pysznił się swoją figurą; nigdy nie widziała równie pięknej. Starał się też ją zachować. Nie jadał ani chleba, ani kartofli, ani masła. Używał dużo ruchu. Podobało się jej staranne utrzymanie jego rąk, manicurowanych co tydzień. Był dobrym lekkoatletą, a przed rokiem wygrał miejscowy championat tenisowy. Był też najlepszym ze znanych jej tancerzy; taniec z nim to wprost marzenie. Nikt by nie uwierzył, że ma czterdzieści lat. Powiedziała mu, że sama temu nie wierzy.

- Myślę, że to blaga. Masz chyba zaledwie jakieś dwadzieścia pięć.

- Moja droga, mam piętnastoletniego syna. Jestem jegomościem w średnim wieku. Za jakieś dwa, trzy lata będę tłustym starszym panem.

- Będiesz zachwycający, mając nawet sto lat.

Lubiła jego czarne, krzaczaste brwi. Była ciekawa, czy to one nadają jego błękitnym oczom ten niepokojący wyraz.

Był pełen talentów. Grał dobrze na fortepianie, oczywiście modne tańce, z

wielkim humorem śpiewał pięknym głosem komiczne piosenki. Nie wierzyła by było coś, czego by nie potrafił. Był też bardzo sprawny w pracy związanej z własnym stanowiskiem; podzielała jego zadowolenie, gdy opowiadał, że gubernator specjalnie mu wieszował zrzeczności, z jaką załatwił jakąś trudną sprawę.

- Chociaż to mówię - rzekł, śmiejąc się oczyma pełnymi miłości - zapewniam cię, że nie ma ani jednego człowieka w urzędzie, który by potrafił to lepiej zrobić ode mnie.

Jakże pragnęłaby być raczej jego żoną niż Waltera!

XVII

Oczywiście nie wiadomo jeszcze, czy Walter zna prawdę, a jeśli nie, byłoby może lepiej nie poruszać tej sprawy. Ale jeśli zna, to w końcu byłoby to może najkorzystniej dla wszystkich. Z początku, jakkolwiek nie bardzo jej to było miłe, zadowalała się tym, że widuje Karola tylko ukradkiem, ale z czasem namiętność jej wzrosła i przeszkody, niepozwalające im być stale razem, niecierpliwiły ją coraz bardziej. Mówił jej tak często, że przeklinał swoje stanowisko, zmuszające go do dyskrecji, i więzy, które go pętały; mówił o tym nieraz, jak cudnie by to było, gdyby oboje byli wolni! Uznawała ten punkt widzenia; dla nikogo skandal nie jest miły i oczywiście trzeba się dobrze namyślić, zanim się zmieni bieg swego życia; ale gdyby im zwrócono wolność, jakżeby wszystko stało się łatwe i proste?

Zresztą nikt by przecież na tym tak bardzo nie ucierpiał. Wiedziała dokładnie, jakie były jego stosunki z żoną. Dorota była zimną kobietą i od dawna nie było między nimi miłości. Trzymały ich razem przyzwyczajenie, konwenanse i oczywiście dzieci. Dla Karola sprawa przedstawiała się znacznie łatwiej niż dla niej. Walter ją

kocha, ale przecież jest tak oddany pracy, a zresztą mężczyzna ma zawsze swój klub. Na razie byłby może nieco wytrącony z równowagi, ale przyszedłby prędko do siebie, mógłby się przecież potem ożenić ponownie. Charlie nieraz mówił, że nie rozumie, w jaki sposób się to stać mogło, że wyszła za kogoś tak nieodpowiedniego dla niej jak Walter Fane. Uśmiechnęła się teraz, sama się sobie dziwiąc, że przed chwilą była nieco przerażona na myśl, iż Walter złapał ich na gorącym uczynku. Oczywiście, że to niesamowite poruszenie się klamki mogło wstrząsnąć każdym. Ale ostatecznie zdawali sobie sprawę z najgorszego, co ich mogło spotkać ze strony Waltera, i byli oboje na to przygotowani. Charlie tak samo dozna ulgi jak ona, gdy to, czego oboje najbardziej w świecie pragnęli, zostanie im w ten sposób narzucone.

Walter jest gentlemanem, musi mu oddać tę sprawiedliwość, i kocha ją; na pewno postąpi jak należy i pozwoli na rozwód. Pomylili się oboje; całe szczęście, że przekonali się o tym jeszcze dość wcześnie. Ułożyła sobie dokładnie, co mu powie i jak się zachowa wobec niego. Będzie uprzejma, uśmiechnięta, ale stanowcza. Nie ma potrzeby kłócić się. Z czasem będzie jej nawet miło spotkać się z nim. Spodziewała się zupełnie szczerze, że te dwa lata wspólnego życia pozostaną dla niego bezcennym wspomnieniem.

Nie przypuszczam, by dla Doroty Townsend rozwód był przykry - myślała. Teraz, gdy najmłodszy syn wraca do Anglii, o wiele przyjemniej jej będzie również tam zamieszkać. Nie ma po co siedzieć w Tching-Yenie. Będzie mogła spędzić wakacje ze swymi chłopcami. A zresztą ma przecież rodziców w Anglii.

Wszystko jest zupełnie proste i da się załatwić bez skandalu i gniewu. A wtedy ona i Charlie będą się mogli pobrać. Kitty westchnęła głęboko. Będą bardzo szczęśliwi. Warto narazić się na pewną dozę przykrości dla osiągnięcia takiego celu. Niewyraźnie, w płaczących się ze sobą obrazach, myślała o życiu, jakie będą wspólnie prowadzić, o tym, jak im będzie wesoło, o podróżach, które przedsięwzma, o domu, w którym zamieszkają, o stanowiskach, które osiągnie Charlie, o pomocy, jaką w niej znajdzie. Będzie z niej dumny, a ona, ona go uwielbiała.

Lecz przez wszystkie te sny na jawie przewijała się nić jakiegoś lęku. Tak dziwnie: jak gdyby struny orkiestry grały melodie arkadyjskie, a kotły i bębny z cicha, lecz groźnie, wybijały ponure takty. Wcześniej czy później Walter musi wrócić do domu i serce jej biło przyspieszonym rytmem na myśl o tym spotkaniu. Zastanawiało ją, że wyszedł dziś po południu, nie przemówiwszy do niej ani jednego słówka. Raz jeszcze powtórzyła sobie, co mu powie. Na co się przyda robić sceny? Jest jej bardzo przykro, Bóg wie, że nie chciała go zmartwić, ale cóż może poradzić na to, że go nie kocha? Udawanie na nic się nie przyda, zawsze lepiej powiedzieć prawdę. Ma nadzieję, że nie będzie się czuł nieszczęśliwy. Po prostu popełnili omyłkę i jedynym rozsądnym wyjściem było przyznać się do tego. Będzie zawsze przyjaźnie o nim myślała.

Ale właśnie, gdy tak mówiła sama do siebie, nagły przyływ lęku wystąpił kroplami na jej splecionych dłoniach. Wezbrał w niej gwałtowny gniew na Waltera. Jeśli chce zrobić awanturę, owszem, niech sobie dogodzi i niech się nie dziwi potem, że usłyszy więcej, niż się spodziewał. Powie mu, że nigdy ani trochę go nie kochała, że nie było dnia od czasu ślubu, w którym by gorzko nie żałowała, że wyszła za niego. Jest ponury. Jakże ją nudził, nudził i zanudzał! Uważa się za o wiele wyższego od innych - jakie to śmieszne; jest pozbawiony zupełnie humoru; nienawiścią ją napęnia jego buta, jego chłód, jego opanowanie. Nietrudno być opanowanym, gdy człowiek nie interesuje się nikim prócz siebie samego. Jest jej wstrętny. Jego pocałunki napęniają ją odrazą. Jakież ma dane do tak wysokiego mniemania o sobie? Tańczy obrzydliwie, na każde towarzystwo działa jak mokre prześcieradło, nie umie grać ani śpiewać, nie umie grać w polo, a w tenisie też niczym szczególnym się nie odznacza. Brydź? Kogo obchodzi brydź?

Kitty doprowadziła się tymi rozważaniami do wścieklej pasji. Niech spróbuje czynić jej wymówki! Wszystko, co się stało, jest jego winą. Dzięki Bogu, że on już wie prawdę. Nienawidzi go i będzie szczęśliwa, jeśli go już nigdy nie zobaczy. Tak, będzie szczęśliwa, że się to wszystko nareszcie skończyło. Po co się przyczepił do

niej? Zameczał ją, żeby wyszła za niego, a teraz ma już tego dosyć.

- Mam go już powyżej uszu! - powtórzyła głośno, drżąc z nagromadzonego gniewu. -Po gardło! Po gardło!

Usłyszała auto podjeżdżające do bramy ogrodu. Walter szedł na górę.

XVIII

Wszedł do pokoju. Serce jej biło wściekle, ręce się trzęsły; całe szczęście, że leżała na kanapie. Trzymała otwartą książkę, jak gdyby czytała. Stał przez chwilę w progu i oczy ich się spotkały. Serce jej zamarło; nagły dreszcz przeszył jej członki i wzdrygnęła się. Miała to uczucie, o którym się mówi: jakby ktoś przeszedł po moim grobie. Twarz jego była śmiertelnie blada; widziała go już raz takim wówczas, gdy w parku prosił o jej rękę. Jego ciemne oczy, nieruchome i niezbadane, wydawały się nadnaturalnie duże. Wiedział o wszystkim.

- Wcześniej dziś wróciłeś - zauważyła. Wargi jej drżały tak, że z trudnością wymawiała wyrazy. Była przerażona. Lękała się, że zemdleje.

- Zdaje mi się, że to zwykła pora.

Głos jego brzmiał dziwnie. Podniesiony na ostatnim słowie, jakby dla nadania lekkiego tonu tej uwadze, dźwięczał jednak wymuszenie. Nie wiedziała, czy zauważył, że drżała na całym ciele. Z wielkim wysiłkiem wstrzymała się od krzyku. Spuścił oczy.

- Idę się ubrać

Wyszedł z pokoju. Była zupełnie zdruzgotana. Przez dwie, trzy minuty nie mogła się poruszyć, w końcu podniosła się z wysiłkiem z kanapy, jak gdyby osłabiona po przebyciu jakiejś ciężkiej choroby odzyskiwała władzę w nogach. Nie

była pewna, czy ją uniosą. Trzymając się to krzesła, to stołu, przeszła na werandę, a stamtąd, opierając się ręką o ścianę, do swego pokoju i włożyła na siebie luźny strój domowy, a gdy stanęła w drzwiach buduaru (salon był używany tylko wtedy, gdy mieli goście), Walter stał przy stoliku, przeglądając ilustracje w „Sketchu”. Zmusiła się do wejścia.

- Czy zejdziemy na dół? Obiad jest już gotowy.

- Czy dałem ci czekać na siebie? W żaden sposób nie mogła powstrzymać drżenia warg.

Kiedyż nareszcie przemówi?

Usiedli i na chwilę zapanowało między nimi milczenie. Potem Walter rzucił jakąś uwagę, której powszedniość czyniła właśnie w tej chwili ponure wrażenie.

- Cesarzowa nie przyjechała dzisiaj - rzekł - ciekawa rzecz, czy opóźniła się z powodu burzy.

- Czy dzisiaj miała przyjechać?

Spojrzała na niego i spostrzegła, że utkwiał oczy w talerzu. Rzucił inną uwagę, równie powszednią, o zawodach tenisowych, które wkrótce miały być rozegrane i omówił to szerzej. Jego głos był zwykle przyjemny, o bardzo urozmaiconej tonacji; obecnie mówił monotonna. Było w tym coś dziwnie nienaturalnego. Na Kitty czyniło to wrażenie, jak gdyby mówił gdzieś z daleka. I przez cały czas jego oczy były skierowane na talerz, na stół lub na jakiś obraz na ścianie. Nie chciał się spotkać z jej oczyma. Zrozumiała, że nie może znieść jej spojrzenia.

- Czy pójdziemy na górę - zapytał, gdy skończyli obiad.

- Jak chcesz.

Podniosła się, Walter otworzył jej drzwi. Gdy przechodziła, miał oczy spuszczone. Gdy weszli do bawialni, wziął ponownie do ręki „Sketch”.

- Czy to nowy? Zdaje się, że go jeszcze nie widziałam.

- Nie wiem, nie zauważyłem.

Numer ten leżał na stole od dwóch tygodni i wiedziała, że przejrzał go od deski

do deski. Usiadł z pismem w ręku. Kitty położyła się na kanapie z książką. Zwykle wieczorami grywali w karty albo układali pasjanse. Rozparł się wygodnie w fotelu; cała jego uwaga zdawała się skierowana na ilustrację. Nie odwrócił kartki. Kitty próbowała czytać, ale nie mogła rozróżnić druku, gdyż mgła zasłaniała jej litery. Bardzo rozboleła ją głowa.

Kiedyż on nareszcie przemówi?

Siedzieli godzinę w milczeniu. Przestała udawać, że czyta. Opuściwszy powieść na kolana, zapatrzyła się w przestrzeń. Lękała się uczynić najmniejszy gest lub wydać najłżejszy dźwięk. A on siedział wciąż w tej wygodnej pozycji, utkwivszy wielkie, nieruchome oczy w ilustrację. Jego milczenie było niesamowicie groźne. Na Kitty czynił wrażenie dzikiej bestii, przygotowującej się do skoku.

Gdy nagle wstał, Kitty drgnęła. Zaciśnęła ręce i poczuła, że blednie. Teraz!

- Mam trochę roboty - rzekł tym samym spokojnym bezdźwięcznym głosem z odwróconymi oczyma. - Jeśli ci to nie robi różnicy, pójdę do swego gabinetu. Przypuszczam, że będziesz już spała, kiedy skończę.

- Jestem dzisiaj rzeczywiście trochę zmęczona.

- A więc dobranoc.

- Dobranoc.

Opuścił pokój.

XIX

Nazajutrz, jak tylko mogła najwcześniej, zatelefonowała do Townsenda, do biura.

- Co się stało?

- Muszę się widzieć z tobą.

- Moja droga, jestem strasznie zajęty, Nie zapominaj, że jestem człowiekiem pracy.

- Chodzi o coś bardzo ważnego. Czy mogę przyjść do biura?

- O nie. Nie uczyniłbym tego, będąc na twoim miejscu.

- Dobrze, więc przyjdź do mnie.

- W żaden sposób nie mogę teraz odejść. Może po południu. Czy nie sądzisz, że byłoby lepiej, żebym nie zachodził do was?

- Muszę się koniecznie widzieć z tobą, jak najprędzej.

Nastąpiła pauza; przelekła się, sądząc, że ich rozłączono.

- Czy jesteś jeszcze? - zapytała bojaźliwie.

- Jestem, rozmyślam. Czy coś zaszło?

- Nie mogę powiedzieć przez telefon. Nastąpiło znów milczenie, zanim się odezwał.

- Posłuchaj, mogę ci poświęcić dziesięć minut o pierwszej, jeśli ci to wystarczy. Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz do Ku-Chou, a ja przyjdę tam, jak tylko będę mógł się uwolnić.

- Do tego sklepu? - zapytała przygnębiona.

- Nie możemy chyba spotykać się w holu w hotelu Tching-Yen - odpowiedział.

Zauważyła cień irytacji w jego głosie.

- Bardzo dobrze. Przyjdę do Ku-Chou.

Wysiadła z rikszy na Victoria Road i pieszo wspięła się stromą, wąską uliczką, wiodącą do sklepu. Zatrzymała się na chwilę, jakby przyglądając się wystawionym przedmiotom. Ale chłopiec czatujący przed sklepem na klientów, poznawszy ją od razu, uśmiechnął się porozumiewawczo. Powiedział coś po chińsku do kogoś wewnątrz sklepu i właściciel, mały człowieczek o tłustej twarzy, w czarnej szacie, wyszedł i powitał ją. Weszła szybko.

- Pana Townsenda jeszcze nie ma. Pani pójść na górę, tak?

Przeszła w głąb sklepu i weszła na górę po chwiejnych ciemnych schodach. Chińczyk szedł za nią i otworzył drzwi prowadzące do sypialni. Była duszna i pełna cierpkiego zapachu opium. Kitty usiadła na skrzyni z drzewa sandałowego.

Za chwilę usłyszała ciężkie kroki na skrzypiących schodach. Townsend wszedł i zamknął drzwi za sobą. Twarz jego miała wyraz posepny, ale gdy ujrzał Kitty, rozpogodził się i uśmiechnął w swój zwykły czarujący sposób. Objął ją szybko i ucałował w usta.

- No, jakież to mamy zmartwienie?

- Zaraz mi lepiej, gdy cię widzę - uśmiechnęła się.

Usiadł na łóżku i zapalił papierosa.

- Wyglądasz dzisiaj trochę blado.

- Nic dziwnego - odpowiedziała. - Nie zmrużyłam ani na chwilę oka tej nocy.

Spojrzał na nią. Uśmiechnął się jeszcze, ale uśmiech był nieco wymuszony i nienaturalny. Zdawało jej się, że widzi cień niepokoju w jego oczach.

- On już wie - rzekła.

Upłynęła chwila, zanim odpowiedział.

- Co powiedział?

- Nic nie mówił.
- Co? - Spojrzał na nią ostro. - Więc po czym poznałaś, że wie?
- Po wszystkim. Po spojrzeniu. Po sposobie, w jaki rozmawiał podczas obiadu.
- Czy był szorstki?
- Przeciwnie, był wyszukanie grzeczny, ale po raz pierwszy od ślubu nie

pocałował mnie na dobranoc.

Spuściła oczy. Nie była pewna, czy Charlie zrozumiał. Zwykle Walter obejmował ją, przyciskał usta do jej ust, nie odrywając się od nich. Odczuwała w tym pocałunku całą jego miłość.

- Jak ci się zdaje, dlaczego nic nie powiedział?
- Nie mam pojęcia.

Nastąpiło milczenie. Kitty siedziała cichutko na sandałowej skrzyni, wpatrując się z pełnym niepokojem natężeniem w Townsenda. Jego twarz była znowu posepną i zmarszczka przedzieliła brwi. Kąty ust nieco opadły. Nagle podniósł głowę i błysk złośliwego rozbawienia zajaśniał w jego oczach.

- Ciekaw jestem, czy rzeczywiście coś powie. Nie odpowiedziała na to. Nie rozumiała, co miał na myśli.

- Ostatecznie nie byłby pierwszym mężem zamykającym oczy w takim wypadku. Cóż by zyskał na awanturze? Zresztą gdyby chciał zrobić awanturę, żądałby kategorycznie wypuszczenia go do pokoju. - Mrugnął oczyma, a usta rozszerzył mu uśmiech. - Ładnie byśmy wyglądali.

- Chciałabym, żebyś mógł widzieć wyraz jego twarzy wczoraj wieczorem.

- Oczywiście, że był wytrącony z równowagi. To niemały cios. Przecież to jest diablo upokarzająca sytuacja dla mężczyzny. Mam wrażenie, że Walter nie należy do kategorii ludzi, którzy by prali publicznie swoją brudną bieliznę.

- I ja tak myślę - odpowiedziała z namysłem. - Jest bardzo wrażliwy, zauważyłam to nieraz.

- Tym lepiej dla nas. Wiesz, trzeba sobie wyobrazić, że się jest na miejscu

danej osoby i pomyśleć, jak by się w danym wypadku postąpiło. Jest tylko jeden sposób uratowania pozorów w tego rodzaju incydentach: trzeba udawać, że się nic nie wie. Założę się z tobą, o co chcesz, że tak właśnie postąpi Walter.

Pod wpływem własnych słów Townsend nabierał coraz większego animuszu. Oczy jego skrzyły się i był znowu pełen swej zwykłej jowialnej wesołości. Promieniała zeń budząca otuchę pewność siebie.

- Bóg świadkiem, że nie mam zamiaru wyrażania się źle o Walterze, ale gdzie chodzi o tupet -z bakteriologa niewielka pociecha. Wszystko przemawia za tym, że gdy Simons przejdzie na emeryturę, Generalny Sekretariat kolonii mnie się dostanie, nie leży więc w interesie Waltera kłócić się ze mną. Musi tak samo jak my wszyscy troszczyć się o swój chleb z masłem; czy sądzisz, że Urząd Kolonialny zechce protegować człowieka, który wywołał skandal? Wierz mi, że może wiele zyskać na trzymaniu języka za zębami, a jeszcze więcej stracić na zrobieniu głośnej awantury.

Kitty poruszyła się niespokojnie. Wiedziała, że Walter jest nieśmiały, i rozumiała, że obawa wywołania awantury i zwrócenia na siebie ogólnej uwagi może mieć pewien wpływ na jego postępowanie; ale trudno jej było uwierzyć, by jakiegokolwiek względy materialne mogły kierować jego czynami. Możliwe, że nie знаła go dokładnie, ale Charlie nie znał go wcale.

- A czy pomyślałeś o tym, że Walter kocha mnie do szaleństwa?

Nie odpowiedział na to, ale spojrzał na nią z tym swoim szelmowskim uśmiechem. Znała to rozkoszne spojrzenie i lubiła je bardzo.

- No i co? Czuję, że chcesz powiedzieć jakąś okropność.

- No tak, wiadomo przecież, że niewiasty często wmawiają w siebie, że mężczyzna jest w nich szalenie zakochany, a rzeczywistość nieraz zadaje kłam ich mniemaniu.

Roześmiała się po raz pierwszy. Jego pewność siebie była zaraźliwa.

- Co za monstrualna sentencja!

- Przypuszczam, że w ogóle w ostatnich czasach mało się zajmowałaś

małżonkiem. Może już nie jest tak zakochany, jak kiedyś.

- W każdym razie nigdy nie będę się łudziła, że ty jesteś szalenie zakochany we mnie - odparła.

- Właśnie w tym wypadku nie będziesz miała racji. Jakże słodko było to słyszeć. Wiedziała o tym i wiara w jego namiętną miłość rozgorzała w jej sercu. Wstał z łóżka, usiadł przy niej na sandałowej skrzyni i otoczył jej kibić ramieniem.

- Nie zaprzataj sobie głupiej główki ani chwilę dłużej tą sprawą - rzekł. - Zapewniam cię, że nie ma powodu do obaw. Jestem najpewniejszy w świecie, że w takich rzeczach jest niezmiernie trudno dowieść czegokolwiek. Utrzymujesz, że jest bardzo zakochany: może w takim razie nie zechce stracić całkiem. Przysięgam, że gdybyś była moją żoną, wolałbym raczej nie wiem co, niż stracić ciebie.

Pochyliła się ku niemu. Ciało jej zawisło uległe na jego ramieniu. Miłość, która ją przejmowała w tej chwili, była prawie torturą. Ostatnie jego słowa uderzyły ją; może rzeczywiście Walter kocha tak namiętnie, że gotów jest poddać się wszelkim upokorzeniom, byle pozwoliła mu się czasami kochać. Przemawiało to do jej przekonania; takie właśnie było jej uczucie dla Karola. Wezbrała w niej duma, ale zarazem i pewna pogarda dla człowieka zdolnego do tak niewolniczej miłości.

Zarzuciła miłośniczo ręce na szyję Karola.

- Jesteś po prostu zdumiewający. Drżałam jak listek, idąc tutaj, a ty zdołałeś doprowadzić mnie do zupełnej równowagi.

Ujął jej twarz w ręce i ucałował usta.

- Kochana!

- Jesteś taką pociechą dla mnie - westchnęła.

- Zapewniam cię, że nie masz się o co niepokoić. Zresztą wiesz, że możesz liczyć na mnie. Nie dam cię skrzywdzić. Pozbyła się swych obaw, ale przez chwilę żałowała nierozsądnie, że plany przyszłości zostały rozbite. Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, niemal pragnęła, by Walter koniecznie zażądał rozwodu.

- Wiedziałam, że mogę liczyć na ciebie - powiedziała.

- Spodziewam się.
- Czy nie pora na twoje śniadanie?
- Do licha ze śniadaniem!

Przyciągnął ją bliżej do siebie i trzymał mocno w uścisku. Usta jego szukały jej ust.

- Charlie, musisz mnie puścić teraz.
- Nigdy w życiu!

Zaśmiała się lekko, śmiechem szczęścia i triumfu: jego oczy gorzały pożądaniem. Podniósł ją ze skrzyni i przytrzymując jedną ręką w uścisku, drugą zamknął drzwi na klucz.

XXI

Przez całe popołudnie rozmyślała nad tym, co Karol powiedział o Walterze, mieli tego wieczoru być na proszonym obiedzie i gdy Walter wrócił z klubu, Kitty się ubierała. Zapukał.

- Proszę.
- Nie otworzył drzwi.
- Idę przebrać się. Jak długo potrwa twoja toaleta?
- Dziesięć minut.

Nic więcej nie powiedział, tylko poszedł do swego pokoju. Głos jego miał ten sam wymuszony dźwięk, który zauważyła poprzedniej nocy. Była zupełnie pewna siebie. Ubrała się wcześniej od niego, a gdy zszedł na dół, zastał ją już w samochodzie.

- Przykro mi, że musiałaś czekać na mnie - rzekł.

- Przeżyję to jakoś - odpowiedziała i zdołała się zdobyć przy tym na uśmiech.

Rzuciła parę uwag w czasie jazdy. Walter odpowiadał krótko. Wzruszyła ramionami i zaczynała już tracić cierpliwość; jeśli chce się dąsać, dobrze, mniejsza o to. Dojechali w milczeniu do miejsca przeznaczenia. Było to duże przyjęcie. Za wiele osób i za wiele dań. Kitty, rozmawiając wesoło ze swymi sąsiadami, obserwowała spod oka Waltera. Był śmiertelnie blady, twarz miał jakby ściągniętą.

- Mąż pani musi być wyczerpany. Sądziłem, że dobrze znosi upały. Czy bardzo ciężko pracował?

- On zawsze ciężko pracuje.

- Przypuszczam, że pani wkrótce wyjedzie?

- O, tak. Myślę, że pojedę do Japonii, tak samo jak w zeszłym roku -

odpowiedziała. - Doktor utrzymuje, że muszę koniecznie wyjechać do jakiejś chłodniejszej miejscowości, jeśli nie chcę się rozchorować.

Walter, który w towarzystwie zwykle spoglądał od czasu do czasu z uśmiechem na żonę, nie spojrzał na nią ani razu. Zauważyła, że gdy zszedł na dół do samochodu, starał się na nią nie patrzeć, to samo powtórzyło się, gdy ze zwykłą uprzejmością podał jej rękę przy wysiadaniu. Teraz, rozmawiając z siedzącymi po obu stronach paniami, nie uśmiechał się, patrzył na nie nieruchomymi, niemrużącymi się oczyma; oczy jego rzeczywiście wydawały się olbrzymie i w bladej twarzy przybrały czerń węgla. Twarz była zwarta i ponura.

Miły zeń musi być towarzysz - myślała ironicznie Kitty.

Myśl o nieszczęsnych damach, usiłujących nawiązać konwersację z tą ponurą maską, bawiła ją.

Oczywiście wiedział; nie ulegało wątpliwości i była na niego wściekła.

Dlaczego nic nie powiedział? Czy rzeczywiście dlatego, że chociaż już rozgniewany i obrażony kocha ją tak bardzo, iż lęka się, by go nie porzuciła? Myśl ta napęłała ją lekką, a dość dobroduszną pogardą; ostatecznie był przecież jej mężem, karmił ją i odziewał. O ile nie będzie się do niej wtrącał i pozwoli jej robić, co zechce, jest

gotowa okazywać mu życzliwość. Możliwe także, że jego milczenie wynikało jedynie z chorobliwej nieśmiałości. Charlie miał rację, utrzymując, że trudno znaleźć człowieka bardziej lękającego się rozgłosu niż Walter. Nigdy nie wygłaszał mowy, chyba że nie dało się tego uniknąć. Opowiadał jej raz, że gdy go powołano kiedyś na świadka w jakiejś sprawie, gdzie miał złożyć zeznanie jako ekspert, przez cały tydzień nie mógł spać. Jego nieśmiałość była wprost chorobliwa.

Trzeba także wziąć pod uwagę jeszcze jedną rzecz: mężczyźni są strasznie próżni i dopóki nikt nie wie, co się stało, możliwe, że Walter zechce ignorować wszystko. Potem zaczęła zastanawiać się nad tym, czy możliwe, żeby Charlie miał rację, mówiąc, że Walter dobrze wie, z której strony jego kromka jest posmarowana masłem. Karol był najbardziej znanym i lubianym człowiekiem w kolonii i na pewno wkrótce zostanie sekretarzem generalnym. Może na tym stanowisku być bardzo użyteczny dla Waltera, jednocześnie zaś może go narazić na wiele przykrości, jeśli pójdzie z nim na udry. Serce w niej rosło na myśl o sile i determinacji kochanka; czuła się tak rozkosznie bezbronna w jego męskich ramionach. Mężczyźni są tacy dziwni: nigdy by jej nie przyszło na myśl, żeby Walter mógł być tak niski, ale tego nie można było przewidzieć. Może jego powaga była tylko maską pokrywającą pospolity i drobiazgowy charakter. Im dłużej nad tym rozmyślała, tym bardziej zdawało jej się, że Charlie ma rację; rzuciła jeszcze raz spojrzenie na małżonka; nie było w nim pobłażliwości.

Zdarzyło się, że właśnie w tej chwili obie damy były zajęte rozmową ze swymi sąsiadami i Walter pozostał sam. Zapatrzył się wprost przed siebie, a jego oczy były pełne śmiertelnego smutku. Kitty była wstrząśnięta.

Następnego dnia leżała, drzemiąc po śniadaniu, gdy zbudziło ją pukanie do drzwi.

- Kto tam - zapytała zirytowana. Nie przywykła, by o tej godzinie ktoś jej przeszkadzał.

- To ja. Poznała głos męża i zerwała się.

- Proszę, wejdź.

- Czy obudziłem cię? - zapytał w drzwiach.

- Rzeczywiście, obudziłeś mnie - odpowiedziała naturalnym tonem, który przyjęła w rozmowie z nim od dwóch dni.

- Czy nie zechciałabyś pójść ze mną do przyległego pokoju? Mam ci coś do powiedzenia.

Serce jej nagle zaczęło mocniej bić.

- Włożę zaraz szlafroczek.

Wyszedł. Wsunęła bose stopy w pantofelki i otuliła się w kimono. Spojrzała w lustro: była bardzo blada, nałożyła odrobinę różu. Przez chwilę zatrzymała się w drzwiach, nabierając odwagi do spotkania, po czym ze śmiałą twarzą weszła.

- W jaki sposób udało ci się wyjść z laboratorium o tej porze? - zapytała. - Nieczęsto cię widuję o tej godzinie.

- Czy nie zechciałabyś usiąść?

Nie patrzył na nią. Mówił poważnie. Rada była usiąść: kolana drżały jej nieco. Niezdolna do podtrzymania w dalszym ciągu żartobliwego tonu, milczała. Walter usiadł również i zapalił papierosa. Oczy jego okrążyły niespokojnie pokój. Zdawało się, że trudno mu rozpocząć rozmowę.

Nagle spojrział wprost na nią; tak długo odwracał od niej oczy, że to

skierowane bezpośrednio na nią spojrzenie tak przeraziło Kitty, iż ledwie stłumiła okrzyk.

- Czy słyszałaś, kiedy coś o Mei-tan-fu? - zapytał. - Pisano o tym ostatnio sporo w dziennikach.

Wlepiała weń wzrok, zdziwiona. Zawahała się.- Czy to ta miejscowość, w której wybuchła cholera? Pan Arbuthnet opowiadał o tym wczoraj wieczorem.

- Tak, jest tam epidemia. Od wielu lat nie było tak silnej. Był tam lekarz misyjny. Umarł na cholere trzy dni temu. Jest tam klasztor francuski, no i oczywiście urzędnik celny. Reszta uciekła.

Patrzył na nią uparcie i nie mogła spuścić oczu. Usiłowała odczytać wyraz jego twarzy, ale była zdenerwowana i mogła rozróżnić tylko dziwną czujność. Jak mógł tak uparcie wlepić w nią wzrok? Nie mrugnął nawet okiem.

- Zakonnice francuskie robią co mogą. Zamieniły sierociniec w szpital. Ale ludzie mrą jak muchy. Ofiarowałem się pojechać tam i objąć posadę.

-Ty?

Drgnęła gwałtownie. Pierwszą jej myślą było, że gdy Walter pojedzie, ona będzie zupełnie wolna i bez przeszkody będzie mogła widywać się z Karolem. Ale myśl ta ją zawstydziła. Czowała, że oblewa się rumieńcem. Dlaczego tak ją obserwuje? Odwróciła oczy, zmieszana.

- Czy to potrzebne? - wyjąkała.

- Nie ma ani jednego obcego lekarza na miejscu.

- Ale przecież ty nie jesteś lekarzem, tylko bakteriologiem.

- Jestem doktorem medycyny, jak wiesz, i zanim się specjalizowałem w bakteriologii, pracowałem długo w szpitalu jako lekarz. A fakt, że jestem głównie bakteriologiem, w tym wypadku jest pomyślną okolicznością. Nie zabraknie mi tam okazji do badań bakteriologicznych. Mówił prawie lekko, a gdy spojrzała na niego, spostrzegła w jego oczach błysk sarkazmu. Nie mogła zrozumieć.

- Ale czyż to nie będzie strasznie niebezpieczne?

- Strasznie.

Uśmiechnął się. Było to sarkastyczne skrzywienie ust. Oparła czoło na rękę. Samobójstwo. Nic innego. Okropność! Nie przypuszczała, że tak tę sprawę przyjmie. Nie może pozwolić na to. To byłoby okrucieństwo. To nie jej wina, że go nie kocha. Nie mogła znieść myśli, że Walter może sobie odebrać dla niej życie. Łzy spływały jej po policzkach.

- Dlaczego płaczesz? - Głos jego był zimny.

- Nie jesteś obowiązany jechać, nieprawdaż?

- Nie, jadę z własnej nieprzymuszonej woli.

- Proszę cię, Walterze, nie jedź. Byłoby okropne, gdyby ci się tam coś stało. A gdybyś tam umarł?

Pomimo że jego twarz pozostała niewzruszona, cień uśmiechu ponownie przemknął mu przez oczy. Nie odpowiedział.

- Gdzie jest ta miejscowość? - zapytała po chwili.

- Mei-tan-fu? W prowincji hołdowniczej. Western River. Płynęlibyśmy w górę rzeki, a potem lektyką.

- Kto to my?

- Ty i ja.

Spojrzała nań żywo. Zdawało jej się, że się przesłyszała. Ale teraz uśmiech jego z oczu spłynął na usta. Ciemne oczy wpatrywały się w nią. - Czy spodziewasz się, że i ja pojedę?

- Sądziłem, że zechcesz.

Oddech jej był przyspieszony. Przeszył ją dreszcz.

- Ależ to nie jest miejsce dla kobiety. Przedstawiciel misji odesłał już przed kilkoma tygodniami żonę i dzieci, a agent towarzystwa okrętowego i jego żona też już wrócili. Spotkałam ją na herbacie u znajomych. W tej chwili właśnie przypomniałam sobie, że opowiadała, iż musieli opuścić tę miejscowość z powodu cholery.

- Jest tam pięć zakonnic francuskich. Zdjęła ją panika.

- Nie rozumiem, co zamierzasz. Byłoby szaleństwem, żebym tam pojechała. Wiesz, jak jestem wątpa. Doktor Hayward mówi, że muszę wyjechać z Tching-Yenu z powodu upałów. Nie wytrzymałabym tam gorąca. I jeszcze do tego cholera, zwariowałabym ze strachu. Jakże można umyślnie narażać się na takie niebezpieczeństwo? Nie widzę powodu do tego. Umarłabym.

Nie odpowiedział nic. Spojrzała na niego w swej rozpaczycy i zaledwie zdołała powstrzymać krzyk. Twarz jego powlekła się jakąś szarą bladością, która napełniła ją przerażeniem. Była w jego spojrzeniu nienawiść. Czyż jest możliwe, by pragnął jej śmierci? - zastanawiała się, odpowiadając na własną obelżywą myśl.

- To jest zupełny absurd. Jeśli uważasz, że powinieneś jechać, to twoja rzecz. Ale nie możesz oczekiwać, bym ci towarzyszyła. Nienawidzę choroby. Epidemia cholery! Nie udaję bohaterki i wcale się nie wstydzę przyznać, że nie mam dosyć odwagi do czegoś podobnego. Pozostanę tutaj, dopóki nie nadejdzie pora wyjazdu do Japonii.

- Sądziłem, że zapragniesz mi towarzyszyć w związku z tym, że wybieram się na tak niebezpieczną wyprawę.

Wyraźnie się z niej teraz naigrawał. Była zmieszana. Nie wiedziała, czy Walter mówi to wszystko na serio, czy też chce ją tylko nastraszyć.

- Nie sądzę, by ktokolwiek mógł mi mieć za złe, że odmawiam udania się do niebezpiecznej miejscowości, gdzie nie mam żadnych zadań do spełnienia i gdzie na nic bym się nie mogła przydać.

- Owszem, mogłabyś być bardzo użyteczna, mogłabyś pokrzepiać męża i dodawać mu otuchy.

Pobladła jeszcze bardziej.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Nie sądzę, by potrzeba było na to więcej niż przeciętnej inteligencji.

- Nie pojedę, Walterze. To potworne żądać czegoś podobnego!

- W takim razie i ja nie pojedę i bezzwłocznie wniosę swoją skargę.

Spojrzała nań bezmyślnie. To, co powiedział, było tak niespodziewane, że w pierwszej chwili niezupełnie zrozumiała, o co chodzi.- Na litość boską, o czym ty mówisz? - wyjąkała.

Nawet w jej uszach pytanie to brzmiało fałszywie i spostrzegła pogardę, jaką wywołało na ponurej twarzy Waltera.

- Obawiam się, że miałaś mnie za większego durnia, niż jestem.

Nie bardzo wiedziała, co na to odpowiedzieć. Nie była pewna, czy ma z oburzeniem zapewniać o swej niewinności, czy raczej wybuchnąć gorzkimi wyrzutami. Zdawał się czytać w jej myślach.

- Mam wszelkie potrzebne dowody. Zaczęła płakać. Łzy spływały po twarzy bez

szczególnego wysiłku i nie ocierała ich: płacz pozwolił jej opamiętać się trochę. Ale umysł był wyzuty z myśli. Obserwował ją bez wzruszenia, a jego spokój napełniał lękiem. Zniecierpliwiał się.

- Niewiele zyskasz płaczem.

Głos jego, zimny i twardy, podniecił jej oburzenie. Zaczęła wracać do równowagi.

- Wszystko mi jedno. Przypuszczam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, bym podała skargę o rozwód, i winę weźmiesz na siebie. Mężczyźnie to nie zaszkodzi.

- Pozwolisz, że zapytam, z jakiej racji miałbym dla ciebie narazić się na najmniejszą nawet przykrość?

- Przecież tobie to nie sprawi żadnej różnicy. Czyż to za wiele żądać od ciebie, byś się zachował jak gentelman?

- Chodzi mi tylko o twoje dobro. Wyprostowała się i otarła oczy.

- Townsend tylko w takim razie ożeniłby się z tobą, gdyby sąd uznał go za współwinowajcę i gdyby sprawa przybrała tak skandaliczny bieg, że jego żona byłaby zmuszona rozwieść się z nim.

- Nie wiesz sam, co mówisz! - krzyknęła.

- Ach, ty głupia i bezmyślna istoto!

Ton jego był tak pogardliwy, że oblał ją rumieniec gniewu. A gniew jej był może tym większy, iż nigdy dotąd z ust jego nie słyszała nic prócz słodkich, pochlebnych rzeczy. Przyzwyczała się do tego, że poddawał się bez zastrzeżeń jej kaprysom.

- Jeśli chcesz znać całą prawdę, to, owszem, mogę cię zapewnić, że Townsend serdecznie pragnie mnie poślubić. Pani Dorota zgadza się na rozwód i pobierzemy się, jak tylko będziemy wolni.

- Czy on ci to powiedział wyraźnie, tymi słowami, czy też jest to tylko wniosek wyciągnięty przez ciebie z jego zachowania?

W oczach Waltera czytała gorzką ironię. Zmieszało to nieco Kitty. Nie była zupełnie pewna, czy Charlie kiedykolwiek dokładnie to wszystko wypowiedział.

- Powtarzał to wielokrotnie.

- To kłamstwo i wiesz sama dobrze, że to kłamstwo.

- Charlie kocha mnie całym sercem i całą duszą. Kocha mnie tak samo namiętnie, jak ja kocham jego. Odkryłeś to? Nie mam zamiaru zaprzeczać. Dlaczegoż bym miała wypierać się? Jesteśmy kochankami od roku i jestem dumna z tego. Jest dla mnie wszystkim i jestem rada, że wiesz już o tym. Sprzykrzyła się nam już śmiertelnie ta konieczność ukrywania się, te kompromisy i to wszystko. Źle postąpiłam, wychodząc za ciebie. Nie powinnam była tego robić, byłam szalona. Nigdy cię nie kochałam. Nigdy nie mieliśmy nic wspólnego. Nie lubię ludzi, którzy się tobie podobają, nudzą mnie rzeczy, które ciebie interesują. Dzięki Bogu, że się to skończyło.

Obserwował ją bez gestu, bez poruszenia twarzy. Słuchał uważnie i najlżejsza zmiana wyrazu twarzy nie okazywała, że jej słowa go dotykają.

- Czy wiesz, dlaczego wyszłam za ciebie?

- Dlatego, że chciałaś koniecznie wyjść za mąż przed siostrą.

Tak było rzeczywiście, ale dziwnie ją poruszył fakt, że Walter zdawał sobie z tego sprawę. Nadspodziewanie do lęku i gniewu w tej chwili przyłączyło się współczucie dla niego. Uśmiechnął się blado.

- Nie miałem żadnych złudzeń co do ciebie - powiedział. - Wiedziałem, że jesteś lekkomyślna, głupia i uparta. Ale kochałem cię. Śmiech mnie bierze, gdy pomyślę teraz, jak usilnie starałem się bawić się tym, co ciebie bawiło, i jak wysilałem się, by ukryć przed tobą, że nie jestem ciemnym, gminnym i plotkującym głupcem. Wiedziałem, jak dalece obawiasz się wszelkiej inteligencji i czyniłem wszystko, co było w mojej mocy, by wydać ci się takim pustakiem jak ci panowie, z którymi obcowałeś. Wiedziałem, że poślubiłaś mnie jedynie z braku czegoś odpowiedniejszego. Kochałem cię tak bardzo, że nie dbałem o to. O ile wiem, ludzie, którzy kochają bez wzajemności, czują się przeważnie pokrzywdzeni. Wzbiera w nich gniew i gorycz. Ale ja byłem inny. Nigdy nie spodziewałem się, byś mnie mogła pokochać, nie uważałem tego za możliwe, wiedziałem, że nie mogę się tak bardzo podobać. Byłem wdzięczny, że dozwolone mi było kochać ciebie, i byłem wniebowzięty, gdy od czasu do czasu zdawało mi się, że jesteś ze mnie zadowolona, albo gdy zauważyłem w twych oczach błysk szczerzej życzliwości. Starałem się nie nudzić cię swoją miłością. Wiedziałem, że nie mogę sobie na to pozwolić i pilnowałem się, by uchwycić pierwszy cień twego zniecierpliwienia wobec oznak mego uczucia. Byłem gotów przyjąć jako łaskę to, co inni mężowie uważają za swoje prawo.

Do Kitty, przyzwyczajonej przez całe życie do pochlebstw, nikt jeszcze nie przemawiał w ten sposób. Ślepy gniew wyparł lęk z jej serca. Zdawało jej się, że ją zadławi, czuła, jak krew wzbiera w niej i tętni w skroniach. Zraniona próżność może

uczynić kobietę bardziej mściwą od lwicy broniącej swych małych. Podbródek Kitty, zawsze nieco kanciasty, wysunął się szkaradnie jak u małpy, a jej piękne oczy poczerniały ze złości. Ale trzymała swój temperament na wodzy.

- Jeżeli mężczyzna nie umie wzbudzać miłości w kobiecie, to jego wina, nie jej.

- Oczywiście.

Jego sarkastyczny ton powiększał jej irytację. Czowała, że zrani go bardziej, zachowując spokój.

- Nie jestem bardzo wykształcona ani bardzo zdolna, jestem zwykłą młodą kobietą. Lubię rzeczy, które podobają się ludziom, wśród których spędziłam całe życie, lubię taniec, tenis, teatr; lubię ludzi uprawiających gry i sporty. Przyznaję, że zawsze byłam znudzona i tobą, i rzeczami, które ty lubisz. Nie przemawiają do mnie i nie są mi potrzebne. Ciągnąłeś mnie za sobą po tych niezmiernych galeriach obrazów w Wenecji. Daleko lepiej bym się bawiła, grając w golfa w Sandwich.

- Wiem o tym.

- Przykro mi, że nie dałam ci tego, czego się spodziewałeś po mnie. Na nieszczęście byłeś mi zawsze wstrętny fizycznie. I trudno, byś mnie winił o to.

- Nie mam pretensji.

Gdyby Walter się uniósł, gdyby krzyczał i groził, Kitty byłoby znacznie łatwiej stawić mu czoło, mogłaby gwałtownością odpowiedzieć na gwałtowność. Jego zimna krew miała w sobie coś nieludzkiego. Nienawidziła go w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek.

- Nie jesteś wcale mężczyzną. Dlaczego nie wszedłeś gwałtem do pokoju, wiedząc, że jestem tam z Karolem? Mogłeś przynajmniej próbować obić go. Bałeś się?

Zaledwie wypowiedziała te słowa, gdy rumieniec wstydu oblał jej twarz. Walter nie odpowiedział, ale w jego oczach wyczytała zimną pogardę. Cień uśmiechu zadrgał na jego ustach.

- Może, jak pewna znana osobistość historyczna, jestem zbyt dumny, by się bić.

Kitty, nie mogąc się zdobyć na stosowną odpowiedź, wzruszyła ramionami. Przez chwilę trzymał ją jeszcze w promieniu swego upartego spojrzenia.- Myślę, że powiedziałem wszystko, co było do powiedzenia; jeśli odmówisz towarzyszenia mi do Mei-tan-fu, podam skargę rozwodową.

- Dlaczego nie chcesz się zgodzić na to, bym ja ją podała?

Nareszcie odwrócił od niej oczy. Rozparł się w fotelu i zapalił papierosa. W milczeniu wypalił go do końca, po czym, odrzucając niedopałek, spojrzał na nią ponownie z lekkim uśmiechem.

- Dobrze, jeśli pani Townsend zapewni mnie, że się rozwiedzie z mężem, i jeśli on mi da pisemne zapewnienie, że cię poślubi w tydzień po uprawomocnieniu się obu dekretów, zgodzę się na to.

Ton, którym Walter wymówił te słowa, zmieszał nieco Kitty, ale miłość własna kazała jej przyjąć jego propozycję z należytą godnością.

- To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony. Ku jej zdziwieniu Walter wybuchnął głośnym śmiechem. Zarumieniła się z gniewu.

- Z czego się śmiejesz? Nie widzę żadnego powodu do śmiechu.

- Przepraszam cię. Widocznie moje poczucie śmieszności jest nieco inne.

Patrzyła nań, marszcząc czoło. Rada by była powiedzieć coś gorzkiego i zjadliwego, ale nic jej nie przychodziło na myśl. Spojrzał na zegarek.

- Jeśli chcesz zastać Townsenda w biurze, musisz się śpieszyć. Jeśli zdecydujesz się towarzyszyć mi do Mei-tan-fu, wypadnie nam wyruszyć pojutrze.

- Czy chcesz, żebym to dziś powiedziała?

- Zawsze lepiej dziś niż jutro. Serce jej zabiło nieco szybciej. Nie czuła właściwie niepokoju, ale było jej jakoś dziwnie, sama nie wiedziała jak. Pragnęłaby mieć nieco więcej czasu, by móc trochę przygotować Karola. Miała pełne zaufanie do niego. Kochał ją tak samo jak ona jego i doprawdy zdradą było pomyśleć nawet przez

chwilę, że nie będzie rad narzuconej konieczności. Zwróciła się z powagą do Waltera.

- Widzę, że nie wiesz, co to jest miłość. Nie możesz wcale sobie wyobrazić, jak gorąco się kochamy. To jedno ma znaczenie w naszych oczach i wszelka ofiara, jakiej miłość ta zażąda, lekka nam będzie i z radością ją spełnimy.

Skłonił się w milczeniu, a spojrzenie jego szło za nią, gdy mierzonymi krokami opuszczała pokój.

XXIV

Posłała Karolowi karteczkę, na której nakreśliła: „Muszę się z tobą natychmiast widzieć. Bardzo pilna sprawa”. Chiński boy poprosił ją, by poczekała i przyniosł odpowiedź, że pan Townsend przyjmie ją za chwilę. Była strasznie zdenerwowana. Gdy została wreszcie wprowadzona do gabinetu, Charlie podszedł, by uścisnąć jej rękę, ale bezpośrednio po wyjściu boy'a i zamknięciu drzwi porzucił uprzejme pozory.

- Moja kochana, pod żadnym pozorem nie powinnaś przychodzić tutaj w godzinach urzędowych. Mam masę roboty i nie możemy ludziom dawać powodu do plotek. Spojrzała nań przeciągle pięknymi oczyma, usiłując się uśmiechnąć, ale wargi jej stężały.

- Nie przyszedłbym, gdyby to nie było konieczne. Uśmiechnął się i ujął ją pod ramię.

- Skoro już jesteś tutaj, chodź, usiądź.

Był to długi, prawie pusty pokój, wąski, z wysokim sufitem. Ściany były pomalowane w dwóch odcieniach koloru palonej gliny. Całe umeblowanie składało się z dużego, ruchomego krzesła dla Townsenda i skórzanego fotela dla interesantów. Kitty usiadła nieśmiało na fotelu. Charlie usiadł przy biurku. Nie widziała go dotąd w

okularach, nie wiedziała, że się nimi posługiwał. Gdy zauważył, że przygląda się okularom, zdjął je.

- Zakładam je tylko do czytania - rzekł. Kitty nietrudno było o łzy i teraz, nie wiedząc nawet właściwie dlaczego, zaczęła płakać, powodowana może raczej nieświadomą chęcią wzruszenia kochanka niż wyrachowaniem. Patrzył na nią zdziwiony.

- Czy się coś stało? Moja kochana, proszę cię, nie płacz!

Wyjęła chusteczkę i usiłowała stłumić łkanie. Zadzwoił i gdy boy zapukał, wyszedł do niego.

- Gdyby ktoś pytał o mnie, powiedz, że wyszedłem.

- Dobrze, proszę pana.

Boy zamknął drzwi. Charlie przysiadł na poręczy fotela i objął ramieniem plecy Kitty.

- A teraz, kochana, powiedz mi.

- Walter żąda rozwodu - powiedziała. Poczuła, że uścisk jego ramienia się rozluźnił. Charlie wyprostował się. Nastąpiło chwilowe milczenie, po czym Townsend wstał z fotela i usiadł na swoim krześle.

- Co właściwie chcesz przez to powiedzieć? -zapytał.

Głos jego był ochrypły, a twarz okryła się ciemnym rumieńcem.

- Była między nami rozmowa. Przychodzę bezpośrednio po niej. Utrzymuje, że ma wszelkie potrzebne dowody.

- Spodziewam się, że nie zdradziłaś się z niczym? Nie przyznałaś się?

Serce w niej zamarło.

- Nie - rzekła.

- Czy jesteś tego zupełnie pewna? - zapytał, patrząc na nią ostro.

- Zupełnie pewna - kłamała.

Zagłębił się w fotelu i wpatrzył się bezmyślnie w mapę Chin, zawieszoną na przeciwległej ścianie. Kitty obserwowała go z niepokojem. Sposób, w jaki przyjął

nowinę, zbił ją z tropu. Wyobrażała sobie, że weźmie ją w objęcia i oświadczy, że jest uszczęśliwiony z obrotu rzeczy, bo teraz już będą mogli być zawsze razem; ale mężczyźni są tak dziwni. Płakała cichutko, nie myśląc już tym razem o wzbudzeniu jego współczucia.

- Tak, wdepnęliśmy porządnie - rzekł w końcu. - Ale nie ma co tracić głowy. A płacz też nam nie pomoże, moja kochana.

Zauważyła jego roztargnienie i otarła oczy.

- To nie moja wina, Karolu. Doprawdy nie mogę nic na to poradzić.

- Rozumie się, że nie twoja wina. Teraz chodzi o to, jak wydostać się z matni.

Przypuszczam, że tak samo jak i ja nie kwapisz się do rozwodu.

Stłumiła konwulsyjne westchnienie i spojrzała badawczo na Karola. Nie, on nie myślał wcale o niej.

- Ciekaw jestem, jakie on ma dowody. Nie wierzę, by mógł dowieść rzeczowo, że byliśmy razem w tym pokoju. Na ogół byliśmy dość ostrożni. Jestem pewny, że ten stary ze składu starożytności nie zdradziłby nas. Jeśli Walter widział, jak tam wchodziliśmy, to przecież mogliśmy wspólnie polować na antyki - mówił raczej do siebie niż do niej. - Oczywiście łatwo jest wnieść skargę, ale dowieść słuszności posądzenia jest niezmiernie trudno; każdy adwokat ci to powie. Jediną drogą dla nas jest zaprzeczanie wszystkiemu, a jeśli Walter zagrozi wytoczeniem sprawy, pošlemy go do diabła i będziemy się bronić.

- Nie mogę przecież stawać przed sądem.

- A to dlaczego? Obawiam się, że będziesz zmuszona do tego. Bóg wie, że nie pragnę awantury. Ale przecież nie możemy się tak dać zgnębić.

- Po cóż mamy się bronić?

- A wiesz, to niezłe pytanie! Nie zapominaj, że tu nie tylko o ciebie chodzi, moja kochana, przecież i mnie to dotyka. Zresztą myślę, że nie przyjdzie do tej ostateczności. Jestem pewny, że tak czy inaczej damy sobie radę z twoim mężem. Głowią się tylko nad tym, w jaki sposób najlepiej będzie wziąć się do tego.

Widocznie wpadł na jakiś pomysł, gdyż zwrócił się do niej ze swym zwykłym czarującym uśmiechem, a ton jego, dotąd tak rzeczowy i surowy, stał się znowu pieszczotliwy.

- Przeleżało się bardzo moje biedactwo. - Ujął ją za rękę. - Wpadliśmy w tarapaty, ale wybrniemy z tego. Przecież to nie... - Urwał, a Kitty mocno podejrzewała, że omal nie powiedział: „to nie pierwszy raz mi się zdarza”. - Główna rzecz nie tracić głowy. Wiesz przecież, że cię nie opuszczę.

- Nie boję się wcale. Jest mi zupełnie obojętne, co zrobi Walter.

Uśmiechał się jeszcze, ale uśmiech jego był nieco wymuszony.

- Jeśli nie uda się ułagodzić Waltera, będę musiał powiedzieć prawdę gubernatorowi. Będzie kłął diabelnie, ale to jest dobry chłop i człowiek światowy. On to już jakoś załatwi. Dla niego przecież skandal też nie byłby przyjemny.

- Cóż on może zrobić? - zapytała Kitty.

- Może użyć swego wpływu na Waltera. Jeśli nie zdoła przemówić do jego ambicji, to odwoła się do jego poczucia obowiązku.

Śmiertelny chłód przeniknął Kitty. Czowała, że Charlie nie zdaje sobie sprawy z rozpaczliwej powagi położenia. Jego lekkomyślność niecierpliwiła ją. Żałowała, że przyszła do biura. Otoczenie ją onieśmiało. Znacznie łatwiej byłoby wypowiedzieć wszystko w uścisku kochanka.

- Nie znasz Waltera - rzekła.

- Wiem, że w ten czy inny sposób każdego człowieka można kupić.

Kochała Karola całym sercem, ale ta odpowiedź wyprowadziła ją z równowagi; doprawdy taki inteligentny człowiek nie powinien pleść takich głupstw.

- Widzę, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak dalece Walter jest rozgniewany. Nie widziałeś jego twarzy i spojrzenia.

Milczał przez chwilę i patrzył na nią z lekkim uśmiechem. Wiedziała, co myślał. Walter jest bakteriologiem i zajmuje stanowisko podrzędne; nie będzie chyba miał odwagi narazić się wyższym urzędnikom kolonialnym.

- Nie łudź się, Karolu - rzekła z naciskiem. - Jeśli Walter postanowił podać skargę, nikt i nic nie zdoła nań wpłynąć w najmniejszym stopniu.

Twarz jego znów się zasepiła:

- Czy on chce mnie podać jako współwinowajcę?

- Z początku tak było. W końcu udało mi się go namówić, by pozwolił mnie podać skargę rozwodową.

- No, to nie jest takie straszne. Rozpogodził się nieco, znać było, że doznał ulgi.

- Uważam to za bardzo dobre rozwiązanie sprawy. Ostatecznie jest to jedyne przyzwoite wyjście dla Waltera.

- Ale on stawia warunek.

Spojrzał na nią badawczo i zdawał się przez chwilę namyślać.

- Oczywiście nie jestem bardzo bogaty, ale gotów jestem uczynić wszystko, co będzie w mojej mocy.

Kitty milczała. Charlie wypowiadał rzeczy, których nie spodziewałaby się po nim nigdy. Utrudniało jej to bardzo dalsze wyznania. Wyobrażała sobie, że wypowie wszystko jednym tchem w jego ramionach, kryjąc zarumienioną twarz na jego piersi.

- Walter zgodzi się na przyjęcie winy na siebie, jeśli twoja żona zapewni go, że ze swej strony poda o rozwód.

- I co jeszcze?

Kitty zaledwie mogła mówić.

- I - doprawdy to tak przykro powiedzieć; Charlie, to tak strasznie brzmi - jeśli ty przyrzekniesz, że poślubisz mnie w tydzień po uprawomocnieniu się obu dekretów.

XXV

Przez chwilę milczał, po czym ujął jej rękę i uścisnął delikatnie.

- Posłuchaj, kochana, cokolwiek by się stało, nie możemy mieszać w to Doroty.

Spojrzała nań bezmyślnie.

- Nie rozumiem. Jakże to jest możliwe?

- Moja kochana, nie możemy przecież myśleć jedynie o sobie. Wiesz dobrze, że przy sprzyjających okolicznościach byłbym najszcześniejszy w świecie, gdybym mógł cię poślubić. Ale to jest zupełnie wykluczone. Znam dobrze Dorotę: nic na świecie nie skłoni jej do rozwodu.

Kitty była coraz bardziej przerażona. Zaczęła znowu płakać. Podniósł się i usiadłszy przy niej, otoczył ją ramieniem. - Nie przejmuj się tak, kochanie, musimy starać się zachować przytomność umysłu.

- Sądziłam, że mnie kochasz...

- Naturalnie, że cię kocham - rzekł czule. - Czyż możesz o tym wątpić?

- Jeśli twoja żona nie poda o rozwód, Walter oskarży cię o współwinę.

Rozwagał dość długo, zanim sucho odpowiedział.

- Oczywiście, że to złamie moją karierę, ale lękam się, że i tobie nie pomoże.

W ostateczności wyznam wszystko Dorocie; dotknie ją to bardzo i zmartwi, ale wiem, że mi przebaczy. - Ożywił się. - Wiesz co, mnie się zdaje, że to w ogóle byłaby najlepsza droga. Jestem pewien, że gdyby Dorota pomówiła z twoim mężem, na pewno zdołałaby go przekonać, żeby trzymał język za zębami.

- Czy to ma znaczyć, że nie chcesz, by ci dała rozwód?

- Słuchaj no, muszę przecież myśleć o moich chłopcach. Czyż nie? I, oczywiście, nie chciałbym unieszczęśliwiać Doroty. Zgadaliśmy się zawsze ze sobą. Była wzorową żoną.

- Dlaczego więc powiedziałeś mi, że wcale o nią nie dbasz?

- Ależ nigdy w życiu tego nie mówiłem. Powiedziałem, że nie byłem w niej nigdy zakochany. Nie obcowaliśmy ze sobą od lat, z wyjątkiem rzadkich okazji, na przykład na Boże Narodzenie albo w przeddzień jej wyjazdu do Anglii lub powrotu. Ona nie należy do kobiet dbających o te rzeczy. Ale byliśmy zawsze bardzo dobrymi przyjaciółmi. Muszę ci powiedzieć, że pod wieloma względami nie mógłbym się wprost obejść bez Doroty.

- Więc po cóż dobijałeś się o mnie?

Sama się sobie dziwiła, że pomimo dławiącego jej oddech lęku, mówi tak spokojnie.

- Byłaś tak słodka, doprawdy, od dawna nie spotkałem równie rozkosznej osobki. Z miejsca zakochałem się szalenie. Nie możesz mi tego chyba wziąć za złe.

- Zapewniałeś mnie, że mnie nie opuścisz.

- Ależ, na litość boską, nie mam najmniejszego zamiaru opuszczania ciebie. Wpadliśmy w matnię i możesz być pewna, że uczynię wszystko, co jest w mocy ludzkiej, by cię z niej wydobyć.

- Oprócz jedynej naprawdę skutecznej rzeczy. Wstał i przeniósł się ponownie na swoje krzesło.

- Moja kochana, bądźże rozsądna. Musimy otwarcie postawić sprawę. Nie chciałbym cię dotknąć, ale doprawdy muszę ci powiedzieć prawdę. Zależy mi bardzo na mojej karierze urzędowej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa prędzej czy później zostanę gubernatorem, a zapewniam cię, że to wcale miła posadka. Ale jeśli nie zdołamy wyciszyć tego skandalu, szansę moje nie będą warte grosza. Może uda mi się uniknąć dymisji, ale zła marka zostanie mi na zawsze. Gdybym był zmuszony podać się do dymisji, nie pozostanie mi nic innego, tylko zabrać się do jakichś interesów w Chinach, gdzie mam stosunki. W każdym razie jedynym wyjściem dla mnie jest trzymać się Doroty.

- Więc po cóż mówiłeś mi zawsze, że niczego ci na świecie nie potrzeba prócz

mnie?

- Ach, moja kochana, czyż można brać tak dosłownie to, co mówi zakochany mężczyzna?

- Więc to nie było prawdą?

- Owszem, w danej chwili.

- A co się ze mną stanie, gdy Walter otrzyma rozwód?

- Jeśli rzeczywiście nie znajdziemy dostatecznego punktu oparcia, nie będziemy się bronili. Można to będzie przeprowadzić bez rozgłosu, a zresztą świat się już teraz znacznie pobłażliwiej na takie rzeczy zapatruje.

Kitty przypomniała sobie matkę. Dreszcz ją przeniknął. Spojrzała na Townsenda. Ból jej zabarwił się gniewem.

- Widzę, że nietrudno ci przyjdzie znieść przykrości, które mnie dotkną - rzekła.

- Niedaleko zajdziemy, rzucając sobie nawzajem w oczy złośliwe słówka - odpowiedział.

Krzyk rozpaczony wyrwał jej się z gardła. Jakież to straszne, że kochając go tak gorąco, czuła się tak rozgoryczona jego postępowaniem? Czyż nie rozumiał, czym był dla niej?

- Karolu, czy nie wiesz, jak cię kocham?

- Moja droga, ja cię też kocham. Ale nie żyjemy przecież na bezludnej wyspie i musimy starać się wyjść jak najlepiej z narzuconej sobie sytuacji. Bądźże rozsądna.

- Jakże mogę być rozsądna? Dla mnie nasza miłość jest wszystkim, a ty byłeś całym moim życiem. Nie jest zbyt miło dowiedzieć się, że dla ciebie był to tylko epizod.

- Naturalnie, że to nie był epizod. Ale powinnaś rozumieć, że żądać ode mnie, bym się rozwodził z żoną, do której jestem bardzo przywiązany, i zrujnował swoją karierę, poślubiając ciebie, to już trochę za wiele.

- W każdym razie nie więcej, niż ja gotowa jestem poświęcić dla ciebie.

- Okoliczności są nieco odmienne.
- Jedyna różnica w tym, że mnie nie kochasz.
- Można być bardzo zakochanym w kobiecie, nie pragnąc koniecznie spędzić z nią całego życia.

Kitty spojrzała nań z rozpaczą. Ciężkie łzy spłynęły po jej twarzy.

- Nie masz serca. Jak możesz być tak okrutny? Załkała histerycznie. Karol spojrzał z niepokojem na drzwi.

- Na litość boską, uspokój się!

- Nie wiesz, jak cię kocham. Nie mogę żyć bez ciebie. Czyż nie masz dla mnie litości?

Nie mogła już mówić. Płakała bezradnie.

- Bóg świadkiem, że nie chciałbym cię martwić. Ale nie mogę ukrywać przed tobą prawdy.

- Złamałeś mi życie. Mogłeś mnie pozostawić w spokoju. Cóż ci uczyniłam złego?

- O, jeśli ci przynosi ulgę zrzucenie całej winy na mnie, proszę, nie krępuj się! Kitty wybuchnęła nagle gniewem.

- Myślałby kto, że ci się narzucałam. Nie dawałam ci pewnie spokoju, dopóki nie poddałeś się moim błaganiom.

- Tego nie mówię. Ale na pewno nie starałbym się zdobyć twoich względów, gdybyś swoim zachowaniem nie dawała mi poznać, że jest ci to miłe.

Och, co za wstyd? Wiedziała przecież, że to prawda. Jego twarz była zasepiona i zmęczona, a ręce poruszały się nerwowo. Od czasu do czasu rzucał na nią zniecierpliwione spojrzenie.

- Czy mąż twój ci nie przebaczył?

- Nie prosiłam go o to. Mimowolnie zacisnął pięści.

Wiedziała, że z trudem stłumił okrzyk zniecierpliwienia, cisnący mu się na usta.

- Dlaczego nie miałabyś się zdać na jego łaskę? Jeśli cię bardzo kocha, jak mówisz, na pewno ci przebaczy.

- Jak mało znasz Waltera!

XXVI

Otarła oczy, usiłując się opanować.

- Charlie, jeśli mnie opuścisz, umrę.

Nie pozostało jej nic innego, jak starać się wzbudzić jego współczucie. Powinna była od razu powiedzieć mu wszystko. Gdy dowie się, co ją czeka, zbudzona wspaniałomyślność, poczucie sprawiedliwości i wrodzona rycerskość sprawią, że zapomni o wszystkim prócz grożącego jej niebezpieczeństwa. Jakże namiętnie pragnęła znaleźć się w jego miłosnym, opiekuńczym uścisku?

- Walter żąda, bym pojechała z nim do Mei-tan-fu!- Ależ tam jest cholera! Od pięćdziesięciu lat nie było takiej epidemii. To nie jest miejsce dla kobiety. Niepodobna, byś tam pojechała.

- Jeśli mnie opuścisz, będę musiała pojechać.

- Co to ma znaczyć? Nic nie rozumiem.

- Walter podjął się zastąpić misjonarza - lekarza, który tam umarł. Żąda, bym mu towarzyszyła.

- Kiedy?

- Teraz. Natychmiast.

Townsend odsunął swoje krzesło i spojrzał na nią zdumiony.

- Jestem widocznie strasznie głupi. Nie mogę się zupełnie połapać w tym, co mówisz. Jeśli żąda, byś mu towarzyszyła, jakże może podawać się o rozwód?

- Dał mi właśnie do wyboru: proces albo Mei-tan-fu.

- Aha, rozumiem.

Nieznaczna zmiana zaszła w tonie jego mowy.

- Uważam, że to dość przyzwoicie z jego strony, czyż nie?

- Przyzwoicie?

- No, wiesz, to jest bardzo ładny gest, to jego wybranie się do Mei-tan-fu. Nie powiem, żeby mnie osobiście coś podobnego nęciło. Ale na pewno dostanie za to Krzyż Świętego Jerzego, gdy wróci.

- Ale ja, Charlie - krzyknęła głosem pełnym przerażenia.

- Jeżeli Walter pragnie, byś mu towarzyszyła, nie uważam, byś w danych okolicznościach mogła mu odmówić.

- Ależ to śmierć. Pewna śmierć dla mnie!

- Do diabła! To przesada! Gdyby tak myślał, nie brałby cię ze sobą. Ryzykuje tak samo jak ty. I w ogóle, jeśli się zachowuje odpowiednią ostrożność, nie ma niebezpieczeństwa. Byłem tutaj podczas cholery i nic mi się nie stało. Główna rzecz nie jeść nic niegotowanego, surowych owoców, sałat i innych rzeczy w tym rodzaju i pić wodę przegotowaną.

Nabierał pewności siebie w toku tych rad i mówił płynnie. Stracił nawet swoją posepność i stał się prawie wesoły.

- Ostatecznie jest to jego specjalność, nieprawdaż? Interesuje się przecież pluskwami. Rozważywszy to bliżej, musisz przyznać, że jest to dobra okazja dla niego.

- Ale ja, Charlie? - powtórzyła tym razem już z prawdziwym przerażeniem.

- Moja kochana, żeby zrozumieć dobrze człowieka, trzeba się postawić w jego położeniu. Z punktu widzenia Waltera byłaś raczej zepsutą kokietką i nic dziwnego, że chce cię uchronić przed możliwością nowych wykroczeń. Od razu nie wierzyłem, by pragnął naprawdę rozwodu, nie wygląda mi wcale na człowieka tego rodzaju. Uczynił ci propozycję, którą uważa za bardzo wspaniałomyślną, a ty go obraziłaś,

odrzucając ją. Nie chciałbym cię ganić, ale uważam, że dla dobra nas wszystkich powinnaś była rozważyć ten plan.

- Czyż nie widzisz, że to by mnie zabiło? Czyż nie rozumiesz, że Walter tylko dlatego chce mnie zabrać ze sobą, że wie, iż mnie tam czeka śmierć?- Ach, moja kochana, proszę cię, nie dramatyzuj! Jesteśmy w diabło trudnym położeniu, doprawdy, nie czas na melodramaty.

- Postanowiłeś sobie nie rozumieć, o co chodzi! Och, ten ból dojmujący w sercu i to przerażenie! Mogłaby krzyczeć, doprawdy.

- Nie możesz mnie przecież posyłać na pewną śmierć. Nawet jeśli nie masz dla mnie miłości ani zlitowania, nie jesteś chyba pozbawiony zwykłych ludzkich uczuć.

- Uważam, że bardzo niesprawiedliwie oceniasz moje uczucia. Moim zdaniem, mąż twój postępuje bardzo wspaniałomyślnie. Jest gotów przebaczyć ci, o ile mu to ułatwisz. Pragnie oddalić się stąd i korzysta z nadarzającej się sposobności, by cię zabrać do jakiegoś miejsca, gdzie przez kilka miesięcy nie byłabyś narażona na żadne pokusy. Nie utrzymuję, by Mei-tan-fu było stacją klimatyczną, nie znam zresztą chińskiego miasta, które by się odznaczało szczególną zdrowotnością, ale nie widzę powodu do przerażenia. Jest to w ogóle niewskazane w danym wypadku. Jestem przekonany, że połowa ludzi umiera podczas epidemii raczej ze strachu niż z zakażenia.

- Ale ja jestem właśnie przerażona. Gdy Walter mi o tym powiedział, omal nie zemdląłam.

- Rozumiem, że w pierwszej chwili był to nie lada wstrząs, ale jak rozważysz sobie tę rzecz na chłodno, powróci ci równowaga. W każdym razie będzie to dla ciebie ciekawa przygoda, którą nie każdy może się pochwalić.

- Myślałam, myślałam, że...Chwiała się na krześle w śmiertelnej rozpacz. Townsend milczał, twarz jego przybrała ów posepny wyraz, którego dawniej nie znała. Kitty już nie płakała. Z suchymi oczyma, spokojna, cichym, ale pewnym głosem zapytała:

- Więc pragniesz, bym pojechała?

- Sądzę, że nie masz wyboru.

- Czyż naprawdę nie mam wyboru?

- Słuchaj, uważam za swój obowiązek powiedzieć ci, że gdyby twój mąż podał skargę rozwodową i wygrał proces, nie miałbym możliwości poślubienia cię.

Milczenie Kitty musiało mu się wydawać wiecznym. Podniosła się powoli z krzesła.

- Sądzę, że mąż mój nigdy na serio nie myślał o podaniu skargi rozwodowej.

- Więc dlaczego, do licha, tak mnie śmiertelnie przestraszyłaś? - zapytał.

Spojrzała nań chłodno.

- Wiedział, że mnie opuścisz.

Zamilkła. Nieraz przy czytaniu książki obcym językiem pisanej jeden wyraz, jedno zdanie oświetlają nam nagle sens niezrozumianej dotychczas stronicy. Kitty ujrzała teraz wewnętrzną pracę mózgu Waltera. Błyskawica oświetliła na chwilę ciemny i groźny krajobraz i Kitty zadrzała przy tym widoku.

- Zagroził mi procesem rozwodowym jedynie dlatego, że był pewien, iż ty się wycofasz. To dziwne, doprawdy, że cię oceniał tak dokładnie. Zupełnie świadomie naraził mnie na to rozczarowanie. Charlie spuścił oczy na bibułę leżącą przed nim na biurku. Zmarszczył czoło, a usta ułożyły mu się w wyraz nadąsania. Ale nic nie odpowiedział.

- Wiedział, że jesteś próżny, że jesteś tchórzem, egoistą. Chciał, żebym sama się o tym przekonała. Wiedział, że uciekniesz przed niebezpieczeństwem jak zając. Wiedział, jak dalece łudziłam się, sądząc, że mnie kochasz, gdyż zdawał sobie sprawę, że nie jesteś zdolny kochać naprawdę nikogo prócz siebie. Wiedział, że poświęcisz mnie bez najmniejszego bólu, by ratować własną skórę.

- Jeśli ciskanie mi takich obelg sprawia ci specjalną przyjemność, nie będę protestował. Kobiety w ogóle są niesprawiedliwe i umieją zrzucić winę na mężczyznę. Ale sądzę, że dałoby się niejedno powiedzieć i na moją korzyść.

Nie zwróciła uwagi na jego słowa.

- A teraz i ja wiem wszystko, co on wiedział. Wiem, że jesteś twardy, bez serca; wiem, że jesteś samolubny, że jesteś egoistą bezgranicznym; wiem, że masz zaledwie tyle odwagi co królik; wiem, że jesteś kłamcą; wiem, że jesteś najzupełniej godzien pogardy. A tragizm polega na tym -twarz jej wykrzywiła się męką - że pomimo wszystko kocham cię całym sercem.

- Kitty!

Zaśmiała się gorzko. Wypowiedział jej imię tym słodkim pieścotliwym głosem, który miał na zawołanie, a który tak był pozbawiony teraz dla niej znaczenia.

- Ach, ty głupcze! - rzekła. Cofnął się żywo, zarumieniony i obrażony: zupełnie nie mógł jej zrozumieć. Rzuciła nań spojrzenie, w którym tliła się isierka rozbawienia.

- Zaczynasz mnie nie lubić teraz, co? Owszem, możesz mnie nawet nienawidzić. Nie sprawi mi to już żadnej różnicy.

Zaczęła wciągać rękawiczki.

- Co masz zamiar uczynić? - zapytał.

- O, możesz być zupełnie spokojny. Ciebie to w żadnym razie nie dotknie. Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

- Na litość boską, nie mów tak, Kitty - odpowiedział, a głos jego brzmiał szczerym zaniepokojeniem. - Powinnaś rozumieć, że wszystko, co ciebie dotyczy, i mnie nie może być obojętne. Będę z ogromnym niepokojem wyczekiwał wiadomości o tym, co się stało. Co masz zamiar powiedzieć mężowi?

- Powiem mu, że jestem gotowa towarzyszyć mu do Mei-tan-fu.

- Może w takim razie nie będzie już nalegał? Nie rozumiał, dlaczego, gdy to powiedział,

spojrzała nań tak dziwnie.

- Czy rzeczywiście już się nie boisz? - zapytał.

- Nie - rzekła. - Natchnąłeś mnie odwagą. Wycieczkę do ośrodka zarazy będę

uważała za niezwykle eksperyment. A jeśli umrę - no to umrę, i już.

- Doprawdy, starałem się być możliwie dobry dla ciebie.

Spojrzała nań ponownie. Łzy płynące z wezbranego serca znowu napełniły jej oczy. W gwałtownym porywie chciała rzucić się w jego objęcia i przycisnąć usta do ust kochanka. Ale na cóż by się to przydało?

- Jeśli chcesz znać całą prawdę - rzekła, usiłując poskromić drżenie głosu - to wiedz, że jadę ze śmiercią w sercu i w lęku niewypowiedzianym. Nie wiem, co Walter knuje w tym swoim ponurym i skomplikowanym mózgu, ale trzęsę się z przerażenia. Myślę, że śmierć może będzie dla mnie wybawieniem.

Wiedziała, że nie zdoła opanować się dłużej. Dotarła szybko do drzwi i wyszła, zanim Charlie zdążył wstać z krzesła. Townsend westchnął głęboko z ulgą. Czuł diabelną potrzebę szklaneczki brandy z wodą sodową.

XXVII

Walter był w domu, gdy powróciła. Wolałaby udać się wprost do swego pokoju, ale Walter stał na dole w holu, wydając jakieś rozkazy boyom. Była tak przygnębiona, że chętnie powitała sposobność upokarzającej rozmowy, która ją czekała. Zatrzymała się i spojrzała mu prosto w twarz.

- Pojadę z tobą do tej miejscowości - rzekła.

- Dobrze.

- Na kiedy mam być gotowa?

- Jutro w nocy.

Sama nie wiedziała, skąd wstąpił w nią jakiś duch przekory. Obojętność Waltera podziałała jak ostroga.- Przypuszczam, że parę letnich rzeczy i całun

wystarczą, nieprawdaż?

- Powiedziałem już twojej *amah*, co ma zapakować.

Kiwnęła głową i poszła na górę do swego pokoju. Była bardzo blada.

XXVIII

Docierali nareszcie do miejsca przeznaczenia. Dzień w dzień przebywali w lektykach wąską drogę ujętą z dwóch stron w bezkresne pola ryżowe. Wyruszyli o świcie i wędrowali, dopóki upał dzienny nie zmuszał ich do szukania schronienia w oberży przydrożnej, a potem udawali się w dalszą drogę aż do miasta przeznaczonego na spoczynek nocny.

Lektyka Kitty szła na przedzie. Za nią lektyka Waltera, za nim tłoczyli się kulisi niosący pościel, zapasy i ekwipunek. Kitty przebywała tę drogę, nie widząc nic dookoła siebie. Przez długie godziny ciszy przerywanej od czasu do czasu jakąś pobieżną uwagą kogoś z tragarzy lub strzępem dziwacznej pieśni udręczony jej umysł przerabiał nieustannie rozdzierającą scenę w biurze Karola. Wspominając wszystko, co wypowiedzieli oboje, ze smutkiem zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo rzeczowa i sucha była ich rozmowa.

Nie zdążyła wypowiedzieć tego, co chciała, i mówiła zupełnie innym tonem, niż zamierzała. Gdyby mogła dać mu poznać całą głębię swej miłości i całą swoją bezradność, na pewno nie pozostawiłby jej tak nieludzko na pastwę losu. Nie miała czasu się opamiętać. Nie wierzyła swoim uszom, gdy dał jej poznać, że o nią nie dba. Oto dlaczego wtedy nie płakała wiele. Była zupełnie oszołomiona. Płakała za to potem, płakała łzami bezdennej rozpacz.

Po nocach w oberżach, dzieląc paradną izbę gościnną z małżonkiem, wiedząc,

że Walter, leżący o kilka kroków na łóżku polowym, nie śpi, gryzła poduszkę, by nie dać wyrwać się szlochowi. Ale za dnia, za firankami swej lektyki, zapłakiwała się. Ból jej był tak silny, że mogłaby krzyczeć wniebogłosy; zadawała sobie pytanie, czym zasłużyła na tak straszne cierpienie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Charlie jej nie kochał; może to była jej wina, ale czyniła wszystko, co umiała, aby mu się przypodobać. Zawsze tak się zgadzali ze sobą, tak wesoło razem czas spędzali, byli nie tylko kochankami, lecz i dobrymi towarzyszami. Nic nie rozumiała, była zupełnie złamana. Mówiła sobie, że nim gardzi, że go nienawidzi; ale wcale nie mogła sobie wyobrazić życia bez jego widoku. Jeśli Walter zabrał ją do Mei-tan-fu, chcąc ją ukarać, to się srodze omylił, bo cóż ją teraz obchodzić może, co się z nią stanie. Nie ma już po co żyć... Jakże to ciężko, mając lat dwadzieścia siedem, wiedzieć, że życie jest już skończone.

XXIX

Na parowcu, który niósł ich w górę rzeki, Walter czytał nieustannie, ale przy stole wysiłał się na pozory rozmowy. Gawędził z nią jak z obcą osobą, z którą przypadkowo odbywa podróż, o rzeczach obojętnych, przez grzeczność, a może i dlatego, żeby, jak przypuszczała Kitty, wyraźniej zaznaczyć dzielącą ich przepaść.

W błysku intuicji Kitty powiedziała Karolowi, że Walter posłał ją do niego z groźbą wyboru między rozwodem a podróżą do siedliska zarazy jedynie w tym celu, by sama mogła się przekonać o tchórzostwie i egoizmie kochanka. Tak było rzeczywiście. Ten wybieg zgadzał się doskonale z sarkastycznym umysłem Waltera. Wiedział z góry dokładnie, co się stanie, i przed jej powrotem wydał odpowiednie rozporządzenie pokojowej. Spostrzegła w jego oczach pogardę obejmującą i ją, i jej

kochanka. Powiedział sobie pewnie, że gdyby on był na miejscu Townsenda, nie byłoby rzeczy na świecie, która by go mogła powstrzymać od najcięższych ofiar dla zadowolenia jej najmniejszej zachcianki. Wiedziała, że tak było naprawdę. Ale dlaczegóż, gdy otworzył już jej oczy dostatecznie, zmusił ją do tej podróży, tak niebezpiecznej, o której wiedział, że napełnia ją nieopisanym przerażeniem? Z początku myślała, że chce ją tylko nastraszyć i dopóki nie wyruszyli i nawet później, dopóki nie opuścili statku, by rozpocząć długą wędrówkę w lektykach, spodziewała się ciągle, że Walter lada chwila uśmiechnie się tym swoim dawnym uśmiechem i powie jej, że nie ma po co jechać dalej. Nie miała pojęcia, co Walter właściwie zamierzał. Kochał ją tak gorąco. Wiedziała już teraz, co to jest miłość, i przypomniała sobie liczne dowody jego uwielbienia. Niepodobna, by ją zupełnie przestał kochać. Czy przestaje się kochać kogoś, dlatego że się źle z nami obszedł? Nie sprawiła mu takich cierpień, jak Charlie jej, a przecież pomimo wszystko, pomimo że wiedziała już teraz, jaki on jest, na każde jego skinienie gotowa była porzucić wszystko, co świat mógłby jej ofiarować i paść w jego objęcia. Chociaż się jej wyrzekł, chociaż nie dbał o nią, chociaż był twardy i nieczuły, nie przestała go kochać.

Z początku myślała, że wystarczy przeczekać tylko jakiś czas, a prędzej czy później Walter jej przebaczy. Była zbyt pewna działania swego czarunku na Waltera, nie wierzyła, by to mogło tak zniknąć bez śladu. Prawdziwa miłość nie daje się stłumić tak łatwo. Jeśli ją kocha, nie oprze się jej, a czuła, że ją kocha. Ale teraz zaczynała tracić pewność. Wieczorami w oberży, gdy Walter, siedząc na prostym krześle z czarnego drzewa, czytał przy świetle latarni, przyglądała mu się uważnie. Leżała w cieniu na tapczanie przeznaczonym na łóżko dla niej. Twarde i regularne rysy twarzy Waltera nadawały mu wyraz dziwnie surowy. Nikt by nie uwierzył, że był zdolny do tak słodkiego uśmiechu. Czytał tak spokojnie, jak gdyby był oddalony od niej o tysiące mil; widziała, jak odwracał kartki, a oczy jego poruszały się równomiernie, przebiegając linie druku. Nie myślał o niej. A gdy podano do stołu i odłożywszy książkę, spojrział na nią (nie wiedział, że latarnia tak wyraźnie oświetla jego twarz),

zdumiał ją błysk fizycznego wstrętu, jaki dostrzegła w jego oczach. Tak, zdziwiło ją to. Bo czyż możliwe, żeby miłość opuściła go tak zupełnie? Możliwe to było, by świadomie skazał ją na śmierć? Ależ to nonsens. Przecież to byłoby czynem szaleńca. I nagle, na myśl o możliwej niepoczytalności Waltera, wstrząsnął nią dreszcz śmiertelnego przerażenia.

XXX

Nagle milczący tak długo tragarze zaczęli rozmawiać z ożywieniem, a jeden z nich gestem i słowami, których nie rozumiała, starał się zwrócić na coś jej uwagę. Spojrzała we wskazanym przezeń kierunku na szczyt pagórka i ujrzała łuk sklepienia; wiedziała już, że jest to zapewne pomnik postawiony dla uczczenia pamięci jakiegoś znanego uczonego lub cnotliwej wdowy; niejedną już taką budowlę widziała w czasie wędrówki lektyką; ta jednak wydała jej się bardziej imponująca od spotykanych dotąd, ale gdy przyglądała się sylwecie łuku odcinającego się wyraźnie w świetle zachodzącego słońca, ogarnęło ją jakieś dziwne uczucie niepokoju. Ten pomnik zdawał się mieć jakieś ciemne, choć niedające się wyrazić słowami znaczenie. Czy była to groźba, czy szyderstwo? Przebywali teraz gaj bambusowy, a bambusy, pochylające się dziwnie nad drogą, zdawały się chcieć ją zatrzymać. Pomimo bezwietrznego, letniego wieczoru wąskie zielone liście drgały lekko. Miała wrażenie, jak gdyby ktoś ukryty pośród bambusów śledził jej przejście. Dosięgnęli podnóża pagórka i pola ryżowe znikły. Tragarze wspięli się nań przyśpieszonym krokiem. Pagórek był pokryty tłoczącymi się wkoło małymi zielonymi garbami, od których powierzchnia ziemi wydawała się sfalowana jak piasek nadmorski w czasie odpływu; wiedziała już, co to jest; niejeden taki widok uderzył jej oczy przy zbliżaniu się do

ludnych miast i wyjeździe z nich. To cmentarz. Teraz zrozumiała, dlaczego tragarze zwrócili jej uwagę na pomnik u szczytu pagórka: zbliżali się do celu podróży.

Przeszli pod łukiem i tragarze zatrzymali się, by przerzucić z ramienia na ramię drągi lektyk. Jeden z nich wytarł spotniałą twarz brudną szmatą. Wśród zaszarganych domostw wiła się w dół wąska uliczka. Noc zapadała. Nagle tragarze w podnieceniu zagadali głośno i szybkim ruchem, od którego zachwiała się jej lektyka, przycisnęli się do muru. Kitty zrozumiała, co ich spłoszyło, gdyż właśnie w tej chwili jacyś ludzie spiesznie i w milczeniu przenieśli obok nich świeżo skleconą z surowych, niepomalowanych desek trumnę, której biel zaświeciła tajemniczo wśród rosnących ciemności. Serce Kitty zabiło silnie z przerażenia. Trumna znikła, a tragarze wciąż jeszcze stali nieruchomo, jak gdyby zabrakło im odwagi do dalszej drogi. Ktoś spoza lektyki przynaglił ich krzykiem i karawana ruszyła naprzód. Nie rozmawiali już teraz ze sobą. Po kilku minutach drogi wkroczyli w otwartą bramę i postawili lektykę na ziemi. Kitty przybyła na miejsce.

XXXI

W saloniku bungalowu Kitty usiadła, patrząc, jak kulisi składają pakunki. W podwórzu stał Walter i wydawał rozporządzenia, gdzie, co ma być umieszczone. Była bardzo zmęczona. Nagle usłyszała obcy głos, zapytujący:

- Czy mogę wejść?

Zarumieniła się i zbladła. W obecnym znużeniu i zdenerwowaniu wizyta nieznanej osoby była jej nie na rękę. Z głębi ciemnego długiego pokoju, oświetlonego tylko jedną lampą, wynurzył się jakiś mężczyzna i wyciągnął rękę.

- Nazywam się Waddington. Jestem komisarzem celnym.

- Na komorze? Ach, tak. Słyszałam, że pan tu przebywa.

W niewyraźnym oświetleniu mogła tylko zauważyć, że jest szczupłym, nie wyższym od niej mężczyzną, o łysej głowie i drobnej, ogolonej twarzy.

- Mieszkam u samego podnóża wzgórka, ale z drogi, którą państwo przybyli, nie można widzieć mego domostwa. Domyśliłem się, że będziecie zbyt wyczerpani, by przybyć do mnie na obiad, więc kazałem przynieść wam obiad tutaj i sam się nań zaprosiłem.- Bardzo mi będzie miło.

- Kucharz jest niezły. Zatrzymałem też dla państwa boyów Watsona.

- Watson to ten misjonarz, który tu był?

- Tak. Bardzo miły człowiek. Pokażę pani jutro jego mogiłę, jeśli pani zechce.

- Jaki pan uprzejmy - rzekła Kitty z uśmiechem.

W tej chwili wszedł Walter. Waddington, który przedstawił mu się wcześniej, zanim zapoznał się z Kitty, rzekł teraz:

- Właśnie zameldowałem pańskiej małżonce, że będę jadł obiad z wami. Od czasu śmierci Watsona nie miałem z kim rozmawiać prócz zakonnic, a trudno mi jest wyjęzyczyć się po francusku. Zakres rzeczy, o których z nimi można rozmawiać, jest zresztą bardzo szczupły.

- Kazałem właśnie boyowi podać napoje -rzekł Walter.

Służący przyniósł whisky i wodę sodową i Kitty zauważyła, że Waddington dolewał sobie niezgorzej. Jego rozmowność i częsty chichot budziły podejrzenie, że przychodząc do nich, nie był całkiem trzeźwy.

- Oto szczęście - rzekł. Po czym zwrócił się do Waltera: - Nie zabraknie panu tutaj roboty. Padają jak muchy. Sędzia stracił zupełnie głowę, a pułkownik Yu , dowodzący wojskiem, z trudem powstrzymuje swoich żołnierzy od plądrowania. Jeśli stan rzeczy wkrótce się nie poprawi, niezadługo pozarzynaą nas wszystkich w łózkach. Usiłowałem skłonić zakonnicę do wyjazdu, ale one, rozumie się, nie chcą. Do diabła! Wszystkie pragną zostać męczennicami.

Mówił z ożywieniem, a głos jego brzmiał tak lekką ironią, że nie można go

było słuchać bez uśmiechu.

- A dlaczegoż pan nie wyjechał? - zapytał Walter.

- A no, wie pan, straciłem połowę swojej załogi, a reszta gotowa lada dzień położyć się i umrzeć. Ktoś musi przecież zostać i trzymać wszystko w kupce.

- Czy był pan szczepiony?

- Tak. Szczepił mnie Watson. Ale szczepił siebie także i nie na wiele się to przydało biedaczynie. - Zwrócił się do Kitty, a jego zabawna twarz ułożyła się w wesołe fałdki. - Nie sądzę, by przy zachowaniu pewnych środków ostrożności ryzyko było wielkie. Niech pani zwróci uwagę, by mleko i woda były dobrze przegotowane i nie jedzcie surowych owoców ani jarzyn. Czy przywieźliście państwo jakieś płyty gramofonowe?

- Zdaje mi się, że nie - rzekła Kitty.

- Szkoda wielka. Spodziewałem się, że przywieziecie coś ze sobą. Już od dawna nie miałem nowych, a stare strasznie mi się przykrzyły.

Wszedł boy z zapytaniem, czy można podawać obiad.

- Nie będą się państwo przebierali do obiadu, nieprawdaż? - zapytał Waddington. - Mój boy umarł w zeszłym tygodniu, a ten, którego mam teraz, jest skończonym durniem, więc nie przebierałem się wieczorem. - Pójdę tylko zdjąć kapelusz - rzekła Kitty.

Pokój jej przylegał do saloniku. Był skąpo umeblowany. Lampa stała na podłodze. Obca *amah* klęczała obok niej, rozpakowując rzeczy Kitty.

Jadalnia była mała i większą jej część wypełniał olbrzymi stół. Na ścianach sceny z Pisma Świętego i wersety.

- Misjonarze mają zawsze duże stoły. - Tłumaczył Waddington. - Otrzymują dodatki do pensji za każde dziecko, więc żeniąc się, z góry sprawiają sobie stoły „na zapas”, żeby było miejsce dla małych przybyszów.

Z sufitu zwieszała się duża parafinowa lampa, dzięki której Kitty mogła się lepiej przyjrzeć Waddingtonowi. Z powodu łysiny wydał się jej poprzednio znacznie starszy, teraz jednak spostrzegła, że daleko mu jeszcze było do czterdziestki. Twarz jego, szczupła, o wypukłym czole i świeżych kolorach, nie miała zmarszczek. Był brzydki jak mała, ale niepozdebawiony wdzięku. Rysy, nos i usta miał drobne jak dziecko, oczy małe, jasnoniebieskie, brwi blond, bardzo rzadkie. Wyglądał jak śmieszny stary chłopczyk. Nappełniał sobie nieustannie kieliszek alkoholem i pod koniec obiadu coraz bardziej uwidoczniło się jego podchmielenie, co prawda dość niewinnego rodzaju; był wesoły jak satyr, który zdołał ściągnąć bukłak z winem śpiącemu pastuchowi. Mówił o Tching-Yenie; miał tam wielu przyjaciół i dopytywał się o nich. Był na wyścigach przed rokiem i opowiadał o kucach i ich właścicielach.

- A co porabia Townsend? - zapytał nagle. - Czy zostanie sekretarzem kolonii? Kitty uczuła, że się rumieni, ale mąż nie spojrzał na nią.

- Nie dziwiłbym się, gdyby to nastąpiło - odpowiedział Walter.

- Tak, on jest z tych, którzy szybko się posuwają naprzód.

- Czy pan go zna? - zapytał Walter.

- Znam go dość dobrze. Wracaliśmy kiedyś razem z kraju do Chin.

Z przeciwległego brzegu rzeki dochodził dźwięk gongów i trzask rakiet. Tam, w tak niewielkim od nich oddaleniu, wielkie miasto omdlewa w grozie, a śmierć,

chybka i nieubłagana, pomyka jego krętymi ulicami. Ale Waddington zaczął mówić o Londynie, o teatrach. Wiedział, co grano we wszystkich teatrach w danej chwili, i opowiedział im, jakie sztuki widział, gdy był w domu podczas ostatniego urlopu. Śmiał się, wspominając humor komicznego aktora, i wzdychał, rozważając piękność znanej gwiazdy operetkowej. Chełpił się kuzynem ożenionym ze znaną diwą. Był z nią na śniadaniu i otrzymał jej fotografię. Pokaże ją, gdy przyjdą na obiad do urzędu celnego.

Walter patrzył na swego gościa z ironicznym chłodem, było jednak widoczne, że go ta gadanina nieco bawi. Starał się nawet okazać pewne zainteresowanie tematami, o których, jak Kitty było wiadomo, nie miał najmniejszego pojęcia. Błady uśmiech błędził po jego ustach. Ale Kitty, sama nie wiedząc dlaczego, była pełna lęku. W tym domostwie zmarłego misjonarza, na wprost tego ponurego miasta, zdawali się odciąć od reszty świata. Trzy samotne i obce sobie nawzajem istoty. Obiad się skończył i Kitty wstała od stołu.

- Nie weźmie mi pan za złe, że powiem już dobranoc? Chciałabym się położyć.

- Pójdę już, proszę pani. Myślę, że i doktor musi być zmęczony. Jutro trzeba wstać bardzo wcześnie.

Uścisnął rękę Kitty. Trzymał się mocno na nogach, ale oczy jego błyszczały niepomiernie.

- Przyjdę jutro do pana - rzekł do Waltera - przedstawię pana sędziemu i pułkownikowi Yu, a potem pójdziemy do klasztoru. Mogę pana zapewnić, że nie zabraknie panu roboty.

Całą noc dręczyły ją dziwne sny. Zdawało jej się, że niosą ją w lektyce, i czuła, jak kołysze się w takt rytmicznych i elastycznych kroków tragarzy. Przejeżdżała przez duże ponure miasta, gdzie ciekawe tłumy tłoczyły się natrętnie wokół lektyki. Uliczki były wąskie i kręte, a w otwartych sklepach, pełnych dziwnego towaru, ustawał ruch, gdy je mijała. Zatrzymywali się wszyscy kupujący i sprzedawcy. Potem zbliżyła się do owej arkady pomnikowej, a fantastyczne jej kształty nabrały nagle potwornego życia. Kapryśne kontury pomnika stały się jakby ruchomymi ramionami indyjskiego bożka; przechodząc pod arkadą, słyszała wyraźnie szyderczy śmiech. Ale wtedy wyszedł na jej spotkanie Charlie Townsend; wzięwszy ją w objęcia, wyniósł z lektyki i mówił, że to wszystko było nieporozumieniem, że nie miał zamiaru tak źle z nią postąpić, gdyż kocha ją i nie może żyć bez niej. Nagle rozległ się ochryply, urywany krzyk. Rozdzielono ich. Wecisnęli się pomiędzy nich kulisi w obdartych niebieskich bluzach, w milczącym pośpiechu niosący trumnę.

Zerwała się przerażona.

Bungalow był położony na stoku stromego pagórka i z okna Kitty widziała rzekę w dole i miasto na przeciwnym brzegu. Światło. Gęsta, biała mgła, podnosząca się z rzeki, spowiła dżonki* uwiązane jedna przy drugiej jak ziarnka grochu w strączku. Tak wiele ich było, setki całe leżały ciche i tajemnicze w tym niesamowitym oświetleniu. Zdawało się, że załogi ich są zaczarowane, że nie sen, lecz jakaś straszna, przemożna potęga trzyma je w tej zaklętej ciszy.

**Dżonka - chińska łódź żaglowa.*

Poranek wstawał, słońce dotknęło mgły; zaświeciła bielą jak duch śniegu w

promieniach konającej gwiazdy. Na rzece było już jasno i można było rozróżnić blade zarysy stłoczonych dżonek i gęsty las ich masztów, ale nieco wyżej stała jeszcze gęsta, świecąca ściana, której oko nie mogło przeniknąć. I nagle z tej białej mgły wynurzyła się ponura, masywna baszta.

Zdawało się, że to nie słońce zwycięskie ją odkryło, lecz że wyskoczyła z nicości na skinienie jakiejś czarodziejskiej różdżki. Groźna twierdza barbarzyńskiej rasy zapanowała nad rzeką. Ale czarodziej, który ją wywołał, działał sprawnie: oto fragment kolorowego muru uwieńczył basztę; wraz, muśnięte tu i ówdzie złotym promieniem słońca, wystąpiły z mgły stłoczone dachy, zielone i żółte. Ich olbrzymie, pogmatwane kształty zdawały się urągać wszelkim kanonom rysunku. Pełne fantazji imponowały niesłychanym bogactwem. To nie forteca ani świątynia, ale raczej jakiś czarodziejski pałac imperatora bogów, w którego progi żaden śmiertelnik nie wkroczy. Zbyt powiewny i chimeryczny, zbyt bezcielesny, by mógł być dziełem rąk ludzkich, zdawał się być tworzywem snu.

Łzy spływały po twarzy Kitty. Patrzyła bez tchu, przyciskając dłonią serce i na wpół otwarte usta. Nigdy jeszcze nie było jej tak lekko na sercu; miała uczucie, że ciało jest pustą skorupą, leżącą u jej stóp, a ona sama - czystym duchem. Po raz pierwszy dane jej było poznać piękno. Przyjęła je, jak wierzący przyjmuje opłatek hostii świętej, w której zamieszkał Bóg.

Walter wychodził z domu wczesnym rankiem, wpadał na pół godziny w porze śniadania, po czym wracał dopiero na obiad. Kitty była bardzo samotna. Przez czas jakiś nie wychodziła zupełnie. Było bardzo gorąco; leżała przeważnie na szezlongu przy otwartym oknie, usiłując czytać. Jasne światło południa odarło magiczny pałac z tajemniczości, pozostała teraz tylko zwykła świątynia za murem miejskim, pstra i odrapana, ale że Kitty widziała ją raz w aureoli ekstatycznego piękna, nie mogła ona już nigdy być w jej oczach czymś pospolitym. I nieraz o świcie, o zmierzchu lub w nocy udawało jej się uchwycić znów promień tego piękna. To, co wzięła za potężną basztę, było tylko miejskim murem, masywnym i ciemnym, na którym oczy jej teraz zatrzymywały się często. Poza tymi blankami leżało miasto w śmiertelnym uścisku zarazy.

Dochodziły ją niewyraźne wieści o strasznych rzeczach dziejących się za tymi murami. Walter wprawdzie rzadko kiedy przemawiał do niej, a gdy wprost zapytywała, odpowiadał z sarkastyczną niedbałością, która ją przejmowała dreszczem, ale od Waddingtona i swojej *amah* słyszała niejedno. Umierało około stu ludzi dziennie i rzadko kto z dotkniętych zarazą powracał do zdrowia; wyniesiono bożków z opuszczonych świątyń na ulice; składano im dary i ślubowano ofiary, ale bogowie nie powstrzymywali zarazy. Ludzie wymierali tak gęsto, że niepodobna prawie było wszystkich pogrzebać. W niektórych domach wyginęły całe rodziny i nie było komu odprawić ceremonii pogrzebowych. Oficer dowodzący wojskiem był człowiekiem bardzo stanowczym i tylko dzięki jego żelaznej ręce miasto zdołało uniknąć rebelii i rozboju. Zmuszał swych żołnierzy do grzebania tych umarłych, którym nie miał kto sprawić pochówku, i własnoręcznie zastrzelił oficera, który wzdragał się wejść do domostwa dotkniętego zarazą.

Kitty bywała chwilami tak przerażona, że serce jej przestawało bić, a wszystkie członki drżały. Łatwo to powiedzieć, że nie ma prawie niebezpieczeństwa, gdy się zachowa pewne przepisy. Zdejmowała ją panika i snuły jej się po głowie szalone plany ucieczki. Gotowa była wyruszyć bez niczego, w tym, co miała na sobie, zupełnie sama, byle tylko wydostać się stąd, byle dotrzeć do jakiegoś bezpiecznego miejsca. Myślała już o tym, by zdać się na łaskę Waltera, wyznać mu wszystko i błagać, by dopomógł jej wrócić do Tching-Yenu. Jeśli rzuci mu się do nóg i wyzna, jak bardzo jest przerażona, to choć jej teraz nienawidzi, będzie chyba na tyle ludzki, by się nad nią zlitować.

Ale to było wykluczone.

Dokąd by się udała? Nie do matki chyba. Matka wytłumaczyłaby jej zaraz, że wydawszy ją za męża, liczyła na to, że się jej pozbywa; a zresztą nie chciałyby wrócić do matki. Chciałyby być z Karolem, ale Charlie przecież nie życzył sobie tego wcale. Mogła sobie łatwo wyobrazić, jakby ją przyjął, gdyby nagle stanęła przed nim. Widziała w wyobraźni jego nadąsaną twarz i przenikliwą nieczułość pięknych oczu. Jakże trudno mu będzie znaleźć wyrazy brzmiące łagodnie? Zaciśnęła ręce. Oddałaby nie wiem co za możliwość upokorzenia go tak, jak on ją upokorzył. Chwilami ogarniała ją taka furia, że żałowała, iż nie dopuściła, aby Walter podał skargę rozwodową; zrujnowałaby doszczętnie siebie, alei Karola zarazem. Na wspomnienie niektórych słów, wypowiedzianych przez Karola, oblewała się rumieńcem wstydu.

Znalazłszy się po raz pierwszy sam na sam z Waddingtonem, Kitty starała się sprowadzić rozmowę na temat Karola. Waddington wspomniał o nim w dniu ich przybycia. Udawała, że jest tylko znajomym jej męża.

- Nie mogę powiedzieć, żeby mi się szczególnie podobał. Uważam go za nudziarza.

- Trudno panu dogodzić, jak widzę - odparła Kitty owym lekkim, żartobliwym tonem, który przybierała tak łatwo. - Słyszałam, że jest najbardziej lubianym i popularnym człowiekiem w Tching-Yenie.

- Wiem o tym. To jest jego specjalność. Zawodowo uprawia popularność. Ma talent wmawiania każdemu, że jest jedynym człowiekiem, którego towarzystwa spotkany pożąda. Jest zawsze gotów do wyświadczenia przysług, które go nic nie kosztują, a jeśli nawet nie spełni danej obietnicy, potrafi dać do zrozumienia, że nie było to w mocy ludzkiej.

- To chyba rys dość sympatyczny.

- Tak, ale myślę, że wdzięk, sam wdzięk tylko, w końcu nuży. Doznaje się potem prawdziwej ulgi, mając do czynienia z ludźmi pozbawionymi tego uroku, ale za to szczerymi. Znam Townsenda od lat wielu i parę razy udało mi się widzieć go bez maski. Widzi pani, jestem nic nieznaczącym urzędnikiem celnym i Charlie nie zwracał na mnie uwagi. Otóż zapewniam panią, że ten człowiek w głębi serca nie dba za grosz o nikogo na świecie prócz siebie samego.

Kitty, rozparta wygodnie w swym fotelu, patrzyła na Waddingtona śmiejącymi się oczyma, obracając ślubną obrączkę na palcu.

- Oczywiście, że pójdzie szybko w górę. Zna dobrze wszystkie ukryte nici oficjalne. Wierzę, iż zanim umrę, będę przemawiał do niego „Ekscelencjo”, i będę

wstawał, gdy wejdzie do pokoju.

- Ale ludzie przeważnie są zdania, że Townsend zasługuje na powodzenie.

Uważają go wszyscy za bardzo zdolnego.

- Zdolny? Ależ gdzież tam! To jest zupełnie głupi człowiek. Umie wywołać wrażenie, że od ręki wykonuje swoją robotę, że zdobywa wszystko świetnym rzutem. Ale to nieprawda. Charlie jest pracowity jak niewolnik.

- Jakimże sposobem zdołał zdobyć opinię tak inteligentnego człowieka?

- Proszę pani, jest wielka ilość ludzi niemądrych, którzy gotowi są przyznać wybitne zdolności każdemu osobnikowi zajmującemu wyższe stanowisko, jeśli tylko poklepie ich po ramieniu i zapewni, że zrobi dla nich wszystko w świecie. A poza tym ma taką żonę. Oto prawdziwie zdolna kobieta. Ma dobrą, zdrową głowę na karku i rady jej są zawsze dorzeczne. Dopóki Townsend ma jej pomoc i poparcie, można być pewnym, że nie popełni żadnego szaleństwa, a to jest najważniejsza rzecz dla człowieka dążącego do oficjalnej kariery. W urzędach nie są potrzebni ludzie zdolni: ludzie wybitni mają swoje idee, a idee bywają powodem różnych kłopotów. Potrzebni są tam ludzie pełni uroku i taktu, na których można liczyć, że nigdy nie popełnią błędu. O tak, Charlie Townsend na pewno dostanie się na szczyt drzewa.

- Ciekawa jestem, dlaczego pan go nie lubi?

- Nie mam nic przeciwko niemu.

- Ale woli pan jego żonę.

- Jestem człowiekiem starej daty i lubię niewiasty dobrze wychowane.

- Należałoby życzyć sobie, żeby była równie dobrze ubrana, jak jest dobrze wychowana.

- Czyż źle się ubiera? Nie zauważyłem tego.

- Słyszałam, że Townsendowie są bardzo dobrym małżeństwem - rzekła Kitty, śledząc spod oka wyraz twarzy Waddingtona.

- Kocha ją bardzo. Muszę mu to przyznać. Uważam, że to jest w nim najbardziej sympatyczny rys.

- Chłodna pochwała.

- Miewa swoje flirty, ale to nic poważnego. Jest zbyt przebiegły, by je doprowadzać do stopnia, w którym mogłyby stać się dlań niewygodne. Zresztą Townsend nie jest człowiekiem zdolnym do uniesień; jest tylko próżny. Lubi, żeby go uwielbiano. Obecnie, osiągnąwszy czterdziestkę, przytył nieco w dobrobycie, ale gdy przybył po raz pierwszy do Chin, był naprawdę bardzo przystojny. Nieraz słyszałem, jak żona śmiała się z jego konkiet.

- Nie bierze zbyt poważnie jego flirtów?

- O nie, wie dobrze, że nie zajdą one za daleko. Powiada, że chętnie by się zaprzyjaźniła z tymi biednymi kobietkami dającymi złapać się na wdzięk Karola; ale one są zawsze takie gminne. Utrzymuje, iż jej to wcale nie pochlebia, że wszystkie niewiasty kochające się w jej małżonku są tak pośledniego gatunku.

XXXVI

Po odejściu Waddingtona Kitty rozmyślała nad jego rzuconymi niedbale słowami. Nie bardzo przyjemnie jej było wysłuchać jego opinii i musiała wysilać się, by nie okazać, jak dalece ją to dotknęło. Jakże przykra była świadomość, że wszystko, co powiedział Waddington, było gorzką prawdą! Wiedziała, że Charlie jest głupi, próżny i chciwy pochlebstw, przypomniała sobie, z jakim zadowoleniem opowiadał jej historyjki mające dowodzić jego niezwykłych zdolności. Chełpił się swoją przebiegłością, dość niskiego gatunku. Jakże mało musi być warta, jeśli mogła oddać tak bezapelacyjnie swe serce temu człowiekowi, za którym nie przemawia nic prócz pięknych oczu i zręcznej postaci! Chciałaby móc nim gardzić, wiedziała bowiem, że dopóki go tylko nienawidzi, jest jeszcze zawsze skłonna do miłości. Sposób, w jaki

się z nią obszedł, powinien jej być otworzyć oczy. Walter zawsze miał go w pogardzie. Ach, gdyby tylko mogła wyrwać go ze swej pamięci! A żona pewnie prześladowała go żartami z powodu widocznego jej zadurzenia się w nim. Dorota chętnie by się z nią zaprzyjaźniła, gdyby nie uważała jej za zbyt pospolitą. Kitty uśmiechnęła się słabo: jakżeby matka się oburzyła, słysząc, że jej córkę ktoś ośmiela się uważać za gminną istotę!

Ale w nocy śniła znowu o Karolu. Czuła jego namiętny uścisk i żar jego pocałunków na ustach. Cóż to znaczy, że utył i ma lat czterdzieści? Śmiała się, pełna pobłażliwej czułości, że on się tak tym przejmuje. Dziecinna próżność kochanka zdawała się powiększać jej miłość, współczuła mu i pocieszała go. Gdy się zbudziła, łzy zalewały jej twarz.

Nie wiedziała czemu te łzy, wylewane we śnie, wydały jej się tak tragiczne.

XXXVII

Kitty widywała Waddingtona codziennie, gdyż przychodził do nich natychmiast po ukończeniu dziennych zajęć; toteż po jakimś tygodniu doszli do zażyłości, która w innych warunkach byłaby możliwa zaledwie po roku. Pewnego dnia, gdy Kitty powiedziała mu, że nie ma pojęcia, co by robiła bez niego, odpowiedział, śmiejąc się:

- Widzi pani, pani i ja jesteśmy tu jedynymi ludźmi chodzącymi spokojnie i solidnie po ziemi. Zakonnice kroczą po niebie, a mąż pani przebywa w ciemnościach otchłani.

Roześmiała się wprawdzie na pozór lekkomyślnie, ale jednocześnie zastanawiała się nad tym, co Waddington miał na myśli. Spostrzegła, że jego małe

wesołe błękitne oczy badają jej twarz z życzliwą, a jednak upartą uwagą. Odkryła już, że Waddington jest bardzo przenikliwy i że stosunki między nią a Walterem budzą jego cyniczną ciekawość. Znajdowała pewną rozrywkę w niweczeniu jego domysłów. Lubiła go i wiedziała, że jest dobrze do niej usposobiony. Waddington nie odznaczał się ani szczególnym dowcipem, ani świetną wymową, ale miał pewien suchy, dobitny, dość zabawny sposób przedstawiania rzeczy, a jego śmieszna chłopięca twarz pod łysą czaszką, pofałdowana uśmiechem, czyniła jego uwagi nieraz arcykomicznymi. Przebywał od wielu lat w dalekich koloniach, nieraz w miejscowościach, gdzie nie było ani jednego człowieka białej rasy, z którym mógłby porozmawiać. Indywidualność jego, niehamowaną żadnymi wpływami, rozwinęła się swobodnie aż do ekscentryczności. Był pełen dziwactw i odświeżającej wprost szczerości. Życie uważał za widowisko komiczne, któremu przyglądał się z ironicznym uśmiechem, a jego kpiny z kolonii w Tching-Yenie były bardzo dotkliwe. Ale wyśmiewał także chińskich urzędników i cholerę dziesiątkującą miasto. Nawet tragiczne i patetyczne historie nabierały w jego opowiadaniu komizmu. W czasie swego dwudziestoletniego pobytu w Chinach miał wiele ciekawych przygód, z których wynikało nieomylnie, że ziemia jest bardzo dziwacznym, fantastycznym i arcyśmiesznym siedliskiem.

Chociaż wypierał się doktoratu chińskiego, a sinologów uważał za wariatów, władał językiem chińskim zupełnie biegle. Czytał mało i wszystko, co umiał, czerpał z rozmowy. Opowiadał Kitty różne epizody z historii Chin i z opowieści chińskich, a choć mówił w swój zwykły żartobliwy sposób, znać było, że rzeczy te budzą jego wrażliwość i zainteresowanie. Kitty miała wrażenie, że Waddington nieświadomie przejął się poglądem Chińczyków, którzy uważają Europejczyków za barbarzyńców, a ich sposób życia za szaleństwo. Jedynie w chińskim ujęciu życia rozsądny człowiek może odnaleźć jakąś szczyptę sensu rzeczywistości. Było to rewelacją dla Kitty. W jej otoczeniu mówiono tylko zawsze, że żółci są brudną, zdegenerowaną i pełną dziwactw rasą. Było tak, jak gdyby uchylił się nagle róg zasłony, ukazując

błyskawicznie świat nieznany, a przedziwnie barwny.

Waddington, śmiejąc się i gawędząc, wychylał jeden kieliszek po drugim.

- Czy nie pije pan za wiele? - zainterpelowała go śmiało Kitty.

- Jest to moja największa przyjemność w życiu - odpowiedział. - Zresztą alkohol chroni od cholery.

Wychodząc, był przeważnie pijany, ale trzymał się zupełnie dobrze. Ogarniała go wesołość, niemająca w sobie nic przykrego.

Pewnego wieczoru Walter, wróciwszy wcześniej, zaprosił go na obiad. Zdarzyło się wtedy coś bardzo dziwnego. Po zupie i rybie boy przyniósł kurczęta i podał Kitty świeżą zieloną sałatę.

- Na litość boską, przecież nie będzie pani tego jadła! - zawołał Waddington, widząc, że Kitty nakłada sobie na talerz sałatę. - Owszem, jadamy sałatę co wieczór.

- Żona bardzo ją lubi - rzekł Walter.

Gdy podano salaterkę Waddingtonowi, odmówił.

- Dziękuję ślicznie, ale na razie nie mam zamiaru popełnić samobójstwa.

Walter uśmiechnął się ponuro i nałożył sobie sałaty. Waddington nic już nie powiedział, ale stał się dziwnie milczący i wkrótce po obiedzie ich pożegnał.

Rzeczywiście, jadali co wieczór sałatę. W dwa dni po ich przybyciu kucharz ze zwykłą chińską beztroską podał do stołu świeżą sałatę, a Kitty, niewiele myśląc, sięgnęła do salaterki. Walter pochylił się ku niej żywo.

- Nie powinnaś tego jeść. Powariowali chyba tam w kuchni, żeby podawać coś podobnego.

- Dlaczego? - zapytała Kitty, patrząc mu prosto w oczy.

- Bo to jest zawsze niebezpieczne, a w obecnej chwili byłoby wprost szaleństwem. Zabijesz się.

- Sądziłam, że właśnie o to chodzi.

Zabrała się zupełnie spokojnie do jedzenia. Owładnął ją jakiś duch sprzeciwu i brawury. Śledziła ironicznie Waltera spod oka. Zdawało jej się, że pobladł nieco, ale

gdy mu z kolei podano, wziął również. Kucharz, widząc, że nie protestują, podawał sałatę codziennie i co dzień, flirtując ze śmiercią, jedli oboje sałatę. Było to zupełnie dziwaczne narażanie się na niebezpieczeństwo. Kitty, pełna lęku przed zarazą, czyniła to zupełnie świadomie. Mściła się w ten złośliwy sposób na Walterze i jednocześnie wydrwiwała swoje śmiertelne obawy.

XXXVIII

Następnego dnia Waddington przyszedł do ich bungalowu po południu i posiedziawszy nieco, zapytał Kitty, czy nie zechciałaby wyjść z nim na przechadzkę. Nie opuszczała dotąd domu wcale i była rada jego propozycji.

- Spacerowanie nie są tu nadzwyczajne - rzekł - ale pójdziemy może na szczyt pagórka.

- Owszem, tam, gdzie jest ta brama. Często patrzę na ten łuk z naszego tarasu.

Jeden z boyów rozwarł ciężkie wrota i wyszli na zakurzoną uliczkę. Zaledwie uszli parę kroków, gdy Kitty, chwytając Waddingtona za ramię, wydała okrzyk przerażenia.

- Niech pan spojrzy!

- Co takiego?

Pod murem okalającym zabudowania leżał na wznak jakiś człowiek z wyciągniętymi nogami i rękoma zarzuconymi na głowę; w brudnych niebieskich lachmanach, z roztarganym na kształt wiechcia warkoczem wyglądał na chińskiego żebraka.

- Robi wrażenie nieżywego - dyszała Kitty.

- Trup. Chodźmy prędzej; niech pani lepiej nie patrzy w tę stronę. Każe go

zabrać, gdy wrócimy.

Ale Kitty trzęsła się tak silnie, że nie mogła postąpić kroku.

- Nigdy dotąd nie widziałam umarłego.

- O, niech się pani stara co prędzej przyzwyczaić do tego widoku. Zobaczy ich pani niemało, zanim opuścicie tę miłą miejscowość.

Ujął ją pod rękę. Szli jakiś czas w milczeniu.

- Czy on umarł na cholere? - zapytała wreszcie.

- Prawdopodobnie.

Wspięli się na szczyt pagórka i dosięgnęli pomnika. Fantastyczny, suto ozdobiony rzeźbami, stał, górując nad okolicą jak pełen ironii słup graniczny. Usiedli na cokole, wpatrując się w rozległą równinę. Pagórek był gęsto usiany małymi zielonymi mogiłkami, usypanymi nie w rząd i tak ciasno, że miało się wrażenie, iż tam pod ziemią umarli tłoczą się jeden na drugiego. Wąska uliczka wiła się pośród pól ryżowych. Jakiś chłopiec jechał wierzchem na bawole, a trzech chłopów w szerokich słomkowych kapeluszach wlekli się, ugięci pod ciężarem swych nosideł. Po upalnym dniu miło było oddychać lekkim wietrzykiem wieczoru, a widok rozległej okolicy napawał słodką melancholią udręczone serce. Ale Kitty nie mogła pozbyć się myśli o umarłym żebraku.

- Jak może pan śmiać się i pić whisky, gdy wokoło ludzie umierają? - zapytała nagle.

Waddington nie odpowiedział. Popatrzył na nią, a potem położył rękę na jej ramieniu.

- Pani wie, że to nie jest miejsce dla kobiety - rzekł z powagą. - Czemu pani nie wyjeżdża?

Spojrzała nań spod swych długich rzęs i cień uśmiechu rozchylił jej usta.

- Sądziłabym, że w danych warunkach miejsce żony jest przy boku męża.

- Gdy mi depeszowano, że pani towarzyszy mężowi, byłem niezmiernie zdziwiony. Potem przyszło mi na myśl, że pani była może pielęgniarzką i że tego

rodzaju praca leży w jej zakresie. Spodziewałem się spotkać w pani jedną z tych ponurolicych niewiast, które zatruwają życie chorym w szpitalach. Doznałem wprost wstrząsu, ujrawszy panią po raz pierwszy, taką bladą, wątłą i znużoną.

- Trudno wyglądać świetnie po dziesięciodniowej ciężkiej podróży.

- Ale pani i teraz jest równie blada i wątła. Wygląda pani, jakby była bardzo zmęczona i - jeśli wolno mi to powiedzieć - rozpaczliwie przygnębiona.

Kitty zarumieniła się mimo woli, ale zdobyła się na śmiech, brzmiący dość wesoło.

- Bardzo mi przykro, że się panu nie podoba wyraz mej twarzy. Jedynym powodem zmartwienia, jakie mogłam mieć kiedykolwiek, jest prześladowająca mnie od chwili, gdy skończyłam lat dwanaście, świadomość, że nos mój jest dłuższy, niżby należało. Ale pielęgnowanie tajemnej troski w głębi duszy jest nader efektowną pozą. Nie może pan sobie wyobrazić, ilu miłych młodzieńców usiłowało mnie pocieszać.

Błyszczące błękitne oczy Waddingtona patrzyły na nią uparcie; Kitty wiedziała, że ani trochę nie wierzy, ale było jej to obojętne, dopóki przynajmniej udawał, że przyjmuje te słowa za prawdę.

- Wiedziałem, żeście się państwo niedawno pobrali, i wywnioskowałem, że jesteście szalenie w sobie zakochani. Nie wierzyłem, by Walter życzył sobie, żeby pani pojechała, ale myślałem, że pani może nie chciała zgodzić się na pozostanie w domu.

- Zupełnie rozsądne wyjaśnienie - rzuciła lekko.

- Tak, ale nieprawdziwe. Czekala na dalszy ciąg; znała dobrze jego przenikliwą domyślność i wiedziała, że nie lubi owijać niczego w bawełnę, ale nie mogła oprzeć się chęci dowiedzenia się, co Waddington myśli o niej.

- Ani na chwilę nie przypuszczam, by pani kochała męża. Myślę, że go pani nie lubi, nie zdziwiłbym się nawet, gdyby go pani nienawidziła. W każdym razie wiem na pewno, że się go pani boi.

Odwróciła się na chwilę. Nie chciała, by Waddington zauważył, że jego słowa

ją wzruszyły.

- Podejrzewam, że pan niezbyt lubi mojego męża - rzekła z chłodną ironią.

- Szanuję go. Ma rozum i charakter, a zapewniam panią, że to jest bardzo rzadka kombinacja. Przypuszczam, że pani niewiele wie o jego tutejszej działalności. Walter nie wygląda na to, by miał zbyt szczegółowo wtajemniczać panią w swoje czyny. Jeśli jest możliwe, żeby pojedynczy człowiek zdołał powstrzymać tę straszną zarazę, to chyba on jeden może temu podołać. Leczy chorych, oczyszcza miasto, stara się o dostarczenie czystej wody. Nie wzdraga się wejść Bóg wie gdzie i pełnić Bóg wie co. Dwadzieścia razy na dzień naraża swoje życie. Pułkownik Yu uważa każde jego słowo za ewangelię i oddał wojsko do jego dyspozycji. Walter zdołał nawet natchnąć odrobiną odwagi sędziego i staruszek naprawdę stara się coś robić. A zakonnice przysięgają na niego. Uważają go wprost za bohatera.

- A pan tak nie myśli?

- Proszę pani, ostatecznie to nie jest przecież jego właściwe zadanie. Walter nie czyni wrażenia człowieka powodowanego współczuciem dla wszystkich umierających Chińczyków. Watson był zupełnie inny. Kochał ludzkość. Pomimo że był misjonarzem, nie czyniło mu różnicy, czy to byli chrześcijanie, buddyści czy wyznawcy Konfucjusza: byli dla niego po prostu istotami ludzkimi. Małżonek pani nie przebywa tu dlatego, żeby troszczył się za grosz o to, czy sto tysięcy Chińczyków umrze na cholere. Nie siedzi tu także w interesie swej wiedzy. Więc po co przyjechał?

- Niech się pan go o to spyta!

- Z zainteresowaniem przyglądam się wam, gdy jesteście razem. Ciekawa rzecz. Jak wygląda wasze sam na sam. W mojej obecności oboje gracie role i diablo źle je odgrywacie. Na świętego Jerzego! Nie zarobiliście trzydziestu szylingów na tydzień w trupie wędrowniej, jeśli lepiej grać nie umiecie.

- Nie wiem, co chce pan powiedzieć -uśmiechnęła się Kitty, starając się nadal udawać lekkomyślność, choć wiedziała, że nie oszuka tym Waddingtona.

- Pani jest bardzo ładną kobietą. Czyż to nie dziwne, że mąż nigdy nie spojrzy na panią? Gdy mówi do pani, ma się wrażenie, jakby głos wydobywał się z jakiejś stojącej poza nim osoby.

- Czy sądzi pan, że mąż mnie nie kocha? - zapytała Kitty cichym, ochryplym głosem, zaniechawszy nagle pozornej lekkości.

- Nie wiem. Nie wiem, czy napełnia go pani takim wstrętem, że nie może znieść jej obecności, czy też pała miłością, którą z jakichś powodów lęka się okazać. Zadawałem sobie pytanie, czy przyjechaliście tutaj, by popełnić w ten sposób samobójstwo. Kitty zauważyła w swoim czasie zdziwienie Waddingtona i badawcze spojrzenie, jakim ich obrzucił podczas incydentu z sałatą.

- Uważam, że pan zbyt wiele znaczenia przywiązuje do paru listków sałaty - rzuciła lekko i się podniosła. - Pójdziemy już do domu? Pan zapewne stęsknił się za whisky z wodą sodową?

- W każdym razie pani nie jest bohaterką. Widzę, że pani jest śmiertelnie przerażona. Czy pani na pewno nie wolałaby stąd wyjechać?

- Co to pana może obchodzić?

- Chcę pani dopomóc.

- Więc i pan dał się wziąć na moją utajoną troskę? Niech się pan przyjrzy mojemu profilowi i niech pan mi powie, czy mój nos nie jest trochę za długi.

Patrzył na nią rozmyślnie ironicznie, a spoza złośliwego spojrzenia niebieskich oczu, jak odbicie drzewa stojącego nad wodą, przeglądał wyraz dziwnej czułości. Nagle łzy napełniły oczy Kitty.

- Czy pani musi tu pozostać?

- Muszę.

Przeszli pod płonąca w blaskach słońca arkadą i zaczęli schodzić z pagórka. Gdy zbliżyli się do zabudowań, trup żebraka leżał jeszcze pod murem. Waddington ujął Kitty pod ramię, ale się usunęła. Zatrzymała się przed trupem.

- To straszne, nieprawdaż?

- Co? Czy śmierć?

- Tak. Wszystko inne wydaje się wobec niej tak mało znaczące. Przecież tu już nie ma nic z człowieka. Patrząc na to sztywne ciało trudno sobie wyobrazić, że to był kiedyś żywy człowiek. Ciężko pomyśleć, że nie tak dawno było to małe chłopię, pędzące z górki na pazurki i puszczające latawce. Nie mogła powstrzymać łkania, które ją dławilo.

XXXIX

Kilka dni później Waddington, z wysoką szklanicą whisky z wodą sodową w rękę siedzący przy Kitty, zaczął opowiadać o klasztorze.

- Matka przełożona jest niezwykłą kobietą -mówił. - Siostry opowiadały mi, że pochodzi z jednej z najpierwszych rodzin Francji, ale nie chciały mi powiedzieć z jakiej; podobno matka przełożona nie życzy sobie, by o tym mówiono.

- Dlaczego pan jej nie zapyta, jeśli to pana tak interesuje? - uśmiechnęła się Kitty.

- Gdyby ją pani знаła, zrozumiałaby pani, że to nie jest osoba, której można zadawać niedyskretne pytania.

- Musi to być naprawdę niezwykła kobieta, jeżeli nawet panu zdołała zaimponować.

- Mam polecenie od niej dla pani. Prosiła mnie, bym pani powiedział, że sprawiłoby jej niezmierną przyjemność pokazać pani klasztor. Oczywiście, o ile nie przeraża panią myśl o wkroczeniu do samego środka epidemii.

- To bardzo uprzejmie z jej strony. Nie przypuszczałam, że wie o moim istnieniu.

- Mówiłem jej o pani; chodzę tam teraz dwa, trzy razy tygodniowo, by się dowiedzieć, czy nie mogę im się na coś przydać. Zresztą i Walter pewnie powiedział im o pani. Musi pani być przygotowana na to, że tam wszyscy są pełni uwielbienia dla jej małżonka.

- Czy pan jest katolikiem?

Zamrugnął swymi złośliwymi oczyma, a jego drobna, zabawna twarz pofalowała się od śmiechu.

- Z czego się pan śmieje?

- Nie, nie jestem katolikiem. Jestem zapisany do Kościoła anglikańskiego, co jest zdaje się nieszkodliwym sposobem wyrażenia, że się w nic prawie nie wierzy. Gdy matka przełożona przybyła tutaj przed dziesięciu laty, przywiozła ze sobą siedem zakonnicek, z których cztery już umarły. Widzi pani, nawet w najlepszych czasach Mei-tan-fu nie jest stacją klimatyczną. Klasztor jest położony w samym centrum miasta, w najniezdrowszej dzielnicy, siostry pracują ciężko i nigdy nie otrzymują urlopu.

- Czy jest ich teraz tylko trzy oprócz matki przełożonej?

- O nie, inne przybyły. Jest teraz sześć. Gdy jedna z nich umarła na cholera w początkach zarazy, dwie inne przyjechały z Kantonu na jej miejsce.

Kitty zadrżała.

- Czy pani chłodno?

- Nie, tylko widocznie ktoś przeszedł po moim grobie.

- Gdy opuszczają Francję, opuszczają ją na zawsze. One mają zupełnie inne zobowiązania niż misjonarze protestanci, którzy od czasu do czasu otrzymują urlopy całoroczne. Myślę, że to jest właśnie najcięższe do zniesienia. My, Anglicy, nie jesteśmy tak silnie przywiązani do ziemi rodzinnej, umiemy stworzyć dom w każdej części świata, ale Francuzi, jak sądzę, poza Francją nie czują się dobrze. Niezmiernie mnie to zawsze wzrusza, że te kobiety ponoszą tę właśnie najcięższą ofiarę. Może gdybym był katolikiem, wydałoby mi się to zupełnie naturalne.

Kitty spojrzała nań ze zdziwieniem. Nie bardzo rozumiała to wzruszenie, z jakim Waddington mówił o klasztorze. Może to była poza? A może nie był zupełnie trzeźwy? Wypił sporo whisky.

- Niech pani pójdzie i sama się przekona - rzekł z żartobliwym uśmiechem, odgadłszy jej myśli. - Jest to mniej ryzykowne niż zjedzenie pomidora.

- Jeśli pan się nie lęka, nie wiem, dlaczego ja bym się miała bać.

- Sądzę, że to panią zajmie. Tam jest jakby cząsteczka Francji.

XL

Przeprawili się przez rzekę *sampanem**; na przystani czekała na Kitty lektyka, by ją zanieść na wzgórek do samej śluzy. Pełno tu było kulisów, idących do rzeki po wodę i wracających z ciężkimi wiadrami zwisającymi po obu stronach jarzma; cała szosa była zachlapana wodą jak po ulewnym deszczu. Tragarze lektyki wydawali krótkie ostre okrzyki, torując sobie drogę wśród nosiwodów.

* *Sampan* - mała płaskodenna łódź żaglowa lub wiosłowa.

- Oczywiście teraz ruch handlowy zupełnie ustał - rzekł Waddington, idący pieszo obok lektyki. - W normalnych warunkach trzeba z trudem przepychać się pośród kulisów niosących towary do przystani i do miasta.

Ulica była tak wąska, że Kitty zupełnie straciła poczucie kierunku, w którym ją niesiono. Mijali wiele pozamykanych sklepów. Kitty przyzwyczała się w czasie swej podróży do nieporządku ulic chińskich, ale tutaj śmiecie z wielu tygodni, resztki i odpadki zalegały ulicę, a zapach był tak przykry, że musiała zatkać sobie nos

chusteczką. W innych miastach chińskich natrętna ciekawość ludności nieraz dawała jej się we znaki, tutaj zaledwie ktoś rzucił na nią obojętnym okiem. Z rzadka rozsiani przechodnie zdawali się zajęci własnymi sprawami. Byli przygnębieni i obojętni. Od czasu do czasu, mijając jakieś domostwo, słyszeli bicie gongów i przeraźliwy, przeciągły głos nieznanymi instrumentów muzycznych. Za tymi zamkniętymi drzwiami leżał jakiś umarły.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł Waddington. Lektyka zatrzymała się przed wąskimi wrotami, ponad którymi na białym murze wisiał krzyż. Kitty wysiadła. Waddington zadzwonił.

- Niech się pani nie spodziewa wielkich wspaniałości, klasztor jest bardzo biedny.

Drzwi otworzyła młoda Chinka i zamieniwszy parę słów z Waddingtonem, zaprowadziła ich przez korytarz do małego pokoiku. Duży stół pośrodku, pokryty kraciastą ceratą i rząd sztywnych krzeseł pod ścianą stanowiły całe umeblowanie. W kącie bielił się gipsowy posążek Matki Boskiej. Po chwili weszła zakonnica, mała, pulchna, o szczerej twarzy, czerwonych policzkach i wesołych oczach. Waddington, zaznajamiając z nią Kitty, nazwał ją siostrą Józefą.

- To małżonka doktora, nieprawdaż? - zapytała rozpromieniona, a potem dodała, że matka przełożona zaraz przyjdzie.

Siostra Józefa nie mówiła po angielsku, a francuszczyzna Kitty była dość kulawa; ale Waddington wymownie i płynnie, choć nieco niepoprawnie, podtrzymywał niewysychający potok zabawnych komentarzy, które rozśmieszały wesołą zakonnice. Jej pogodny, miły śmiech niemało zdziwił Kitty. Wyobrażała sobie, że zakonnice muszą być zawsze poważne i ta wdzięczna dziecięca wesołość wzruszyła ją bardzo.

Drzwi rozwarły się cicho jakby na skinienie czarodziejskiej różdżki i matka przełożona weszła do pokoju. Zatrzymała się przez chwilę w progu i z poważnym uśmiechem patrzyła na rozbawioną siostrę i pofałdowaną jak u kłowna twarz Waddingtona. Zbliżyła się i podała rękę Kitty.

- Pani Fane, nieprawdaż? Mówiła po angielsku z silnie cudzoziemskim akcentem, ale poprawnie.

- Jest mi nadzwyczaj miło - rzekła z lekkim ukłonem - poznać małżonkę naszego pocziwego i dzielnego doktora.

Kitty czuła, że oczy matki przełożonej objęły ją może nieco przydługim badawczym spojrzeniem, tak jednak otwartym, że niepodobna było się obrazić. Widocznie zawodowo przyzwyczała się badać ludzi i nie przyszła jej na myśl potrzeba udawania. Z pełną godności uprzejmością wskazała gościom krzesła i sama usiadła. Siostra Józefa, uśmiechnięta, ale milcząca, stanęła za krzesłem przełożonej.

- Państwo jako Anglicy zapewne lubią herbatę - rzekła matka przełożona. - Kazałam już podać, proszę wybaczyć, że będzie przyrządzona na sposób chiński. Wiem, że pan Waddington wolałby whisky, ale tym, niestety, służyć nie mogę.

Uśmiechnęła się z odrobiną złośliwości w oczach.

- O, matka mówi o mnie, jakbym był skończonym pijakiem.

- Życzyłabym sobie, by można było powiedzieć, że pan wcale nie pije, panie Waddington.

- W każdym razie mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że piję nadmiernie.

Matka przełożona roześmiała się i przetłumaczyła siostrze Józefie żartobliwą odpowiedź na francuski. Spojrzała na Waddingtona przyjaźnie.

- Musimy czynić pewne ustępstwa panu Waddingtonowi, ratował nas niejednokrotnie, gdy nie mieliśmy pieniędzy i nie było czym wyżywić naszych

sierotek.

Ta sama nawrócona Chinka, która otworzyła im drzwi, wniosła teraz na tacy filiżanki, czajnik i mały talerzyk z ciastkami, znanymi pod nazwą magdalenek.

- Musi pani skosztować trochę tych magdalenek - rzekła matka przełożona. - Siostra Józefa upiekła je własnoręcznie dla pani dziś rano.

Rozmawiali o rzeczach potocznych. Matka przełożona zapytała Kitty, jak dawno bawi w Chinach i czy podróż z Tching-Yenu bardzo ją zmęczyła. Wypytywała ją, czy była kiedyś we Francji i czy klimat Tching-Yenu nie jest dla niej zbyt przykry. Była to rozmowa dość pospolita, ale pełna życzliwości, a otoczenie nadawało jej specjalną barwę. W tej cichej rozmównicy klasztornej trudno było uwierzyć, że jest się pośrodku ludnego miasta. Panował tutaj spokój absolutny. A jednak wokoło szalała zaraza i tylko żelazna wola pułkownika Yu, na pół żołnierza, na pół bandyty, powstrzymywała bunt przerażonej ludności. W samych murach klasztoru szpital przepełniony był chorymi i umierającymi żołnierzami, a spośród sierot znajdujących się pod opieką zakonnicy czwarta część wymarła.

Kitty, podlegając nieświadomemu wrażeniu, przyglądała się poważnej matce przełożonej, zarzucającej ją tymi uprzejmymi pytaniami. Była cała w bieli i jedyną kolorową plamę na jej habicie tworzyło krwawe serce, płonące na piersi. W średnim wieku, mogła mieć czterdzieści czy pięćdziesiąt lat; trudno było określić to ściśle, bo blada, gładka jej twarz była zupełnie pozbawiona zmarszczek, a wrażenie dojrzałego wieku otrzymywało się głównie z powodu cechującej ją godności, pewności siebie i wychudzenia jej pięknych silnych rąk. Twarz miała podłużną o szerokich ustach i szerokie równe zęby, nos dość duży, delikatny i nieco zmysłowy, ale oczy pod czarnymi, wąsko zarysowanymi brwiami nadawały jej twarzy skupiony i tragiczny wyraz. Spojrzenie tych czarnych oczu miało w swym chłodnym skupieniu coś dziwnie zniewalającego. Patrząc na nią, w pierwszej chwili miało się wrażenie, że musiała być za młodu bardzo piękna, ale wkrótce nabierało się przekonania, że piękność jej jako raczej duchowa wzrastała z biegiem lat. Głos miała głęboki, cichy i

opanowany, mówiła zarówno po francusku, jak i po angielsku - powoli. Ale najbardziej uderzała w niej ta nakazująca szacunek powaga, utemperowana nieco chrześcijańską pokorą; sprawiała wrażenie osoby przywykłej do rozkazywania. W naturze jej leżało nakazywać posłuch, ale przyjmowała posłuszeństwo z pokorą. Nie-trudno było spostrzec, jak głęboką miała świadomość autorytetu nadanego jej przez Kościół. Zdawało się jednak Kitty, że matka przełożona pomimo surowych pozorów przejawia wiele tolerancji dla ludzkiej ułomności; poważny uśmiech, z jakim słuchała wesołych głupstw wypowiedzianych niepowstrzymanie przez Waddingtona, świadczył o jej żywym poczuciu humoru.

Ale było w niej poza tym jeszcze coś niewyraźnie odczuwanego przez Kitty, czemu nie umiała dać nazwy. Sprawiało to, że pomimo wielkiej uprzejmości, okazywanej przez matkę przełożoną, pomimo jej miłego, bez zarzutu obejścia, Kitty wydawała się sobie niezręczną pensjonarką utrzymaną w przyzwoitej odległości.

XLII

- Monsieur nic nie je - zauważyła siostra Józefa.

- Monsieur zepsuł sobie smak na mandzurskiej kuchni - odpowiedziała matka przełożona.

Uśmiech znikł z twarzy siostry Józefy, która przybrała wyraz spłoszonej skromności. Waddington z łobuzerskim spojrzeniem wziął drugie ciastko. Kitty nie rozumiała tej aluzji.

- Aby dowieść, jak bardzo niesprawiedliwa jest ta opinia, *ma mere*, gotów jestem zepsuć sobie apetyt na dobry obiad, który na mnie czeka.

- Jeśli pani Fane życzy sobie obejrzeć klasztor, chętnie ją oprowadzę.

Matka przełożona zwróciła się do Kitty z proszącym o przebaczenie uśmiechem.

- Przykro mi, że zastanie pani u nas teraz wszystko w takim nieładzie. Mamy tak wiele roboty i za mało siostr do jej wykonania. Pułkownik Yu zażądał oddania naszej *infirmarii** dla chorych żołnierzy i musiałyśmy w refektarzu urządzić infirmerię dla naszych sierotek.

Zatrzymała się przy drzwiach, by dać przejść Kitty, po czym w towarzystwie siostry Józefy i Waddingtona rozpoczęły wędrówkę po długich, chłodnych korytarzach. Najpierw wstąpili do dużego ogołoczonego pokoju, w którym chińskie dziewczęta pochylały się nad mozolnymi haftami.

* *Infirmaria* - klasztorna izba chorych.

- Nie przerywamy tych zajęć pomimo epidemii, aby odwrócić myśl dziewcząt od niebezpieczeństwa.

W następnym pokoju dziewczynki zajmowały się szyciem, obrębianiem i łątaniem. W trzecim były małe dzieci pod dozorem chińskiej nowicjuszki. Bawiły się hałaśliwie, a gdy matka przełożona ukazała się, obstały ją ze wszystkich stron maleństwa dwu- i trzyletnie, o czarnych chińskich oczkach i czarnych włosach; chwyciły ją za ręce, chowały się w fałdach jej szerokiej spódnicy. Czarujący uśmiech rozjaśnił poważną twarz matki przełożonej, gdy pochylała się nad tą dziatwą; przemawiała do nich żartobliwymi słówkami, które w uszach Kitty, chociaż nie znała języka chińskiego, brzmiały jak pieszczoty. W Kitty dzieci te o żółtej cerze i płaskich nosach, wynędzniałe, w jednakowych biednych szatkach, budziły lekki wstręt. Ale matka przełożona stała między nimi jak uosobienie miłosierdzia. Gdy chciała odejść, dzieci nie puszczały jej, chwyciły za suknię, aż w końcu musiała połączyć słodką perswazję z użyciem lekkiego wysiłku, by się uwolnić. Widocznie nie budziła w nich żadnego lęku.

- Nie wiem, czy pani wiadomo, że dzieci te nie są właściwie sierotami - mówiła matka przełożona, idąc obok Kitty innym korytarzem. - Rodzice ich żyją, chcieli się ich tylko pozbyć. Dajemy im za każde przyprowadzone dziecko trochę gotówki, bo inaczej nie zadaliby sobie tego trudu, pozbywając się ich w jakiś barbarzyński sposób. Zwróciła się do siostry:

- Czy przybyło coś dzisiaj? - zapytała.

- Czworo.

- Obecnie z powodu cholery jeszcze niechętnie obarczają się bezużytecznymi dziewczynkami.

Pokazała Kitty sypialnie, po czym minęli drzwi, na których był wymalowany napis „infirmaria”. Kitty usłyszała dobywające się stamtąd krzyki i bolesne, prawie nieludzkie jęki.

- Nie będę pani pokazywała infirmerii - mówiła matka przełożona swoim spokojnym głosem. - Nie jest to przyjemne widowisko.

Nagle uderzyła ją jakaś myśl:

- Ciekawa rzecz, czy doktor Fane tam jest? Spojrzała pytająco na siostrę, która z wesołym uśmiechem otworzyła drzwi i wsunęła się do infirmerii. Kitty cofnęła się. Przez otwarte drzwi słychać było wzmożone odgłosy straszego wnętrza. Siostra Józefa wróciła.

- Nie ma go, był już i nie wróci aż przed wieczorem.

- A co z numerem szóstym?

- Biedaczek już umarł.

Matka przełożona przeżegnała się, a usta jej poruszyły się w krótkim, cichym pacierzu. Gdy mijali podwórze, Kitty zauważyła dwie długie postacie wyciągnięte obok siebie na ziemi, przykryte kawałem niebieskiego bawełnianego materiału. Matka przełożona zwróciła się do Waddingtona. - Mamy za mało łóżek, musimy mieścić po dwóch pacjentów w jednym, a jak tylko który umrze, musimy go usuwać, by zrobić miejsce dla innego. - Po czym uśmiechnęła się do Kitty.

- Teraz pokażemy pani naszą kaplicę. Jesteśmy z niej dumne. Jedna z naszych przyjaciółek we Francji przysłała nam niedawno posąg Najświętszej Panny naturalnej wielkości.

XLIII

Kaplica była zwykłym długim pokojem o niskim suficie i zielonych ścianach, z rzędami prostych sosnowych ławek; w tylnej ścianie znajdował się ołtarz, na którym stał posąg gipsowy pomalowany jaskrawymi kolorami, świeży, pstry i świecący. Poza nim wisiał obraz olejny, przedstawiający Ukrzyżowanie z dwiema Maryjami o nieprawdopodobnych gestach smutku, u stóp krzyża. Rysunek był fatalny, a mętne barwy wskazywały na rękę malarza o słabym wyczuciu koloru. Wokół na ścianach wisiały stacje Męki Pańskiej, dzieła tej samej niedołej ręki. Kaplica była brzydka i pospolita.

Obie zakonnice ukłękły na wstępie, by zmówić pacierz; gdy się podniosły, matka przełożona zaczęła znowu rozmawiać z Kitty.

- Wszystko, co tylko daje się stłuc, przybywa do nas połamane, ale ten posąg, ofiarowany przez naszą dobrodziejkę, przyjechał z Paryża bez najlżejszej rysy. Nie ulega wątpliwości, że to był cud.

Złośliwe oczy Waddingtona zabłyśły, ale się nie odezwał.

- Obraz w ołtarzu i stacje Męki Pańskiej wymalowała jedna z sióstr, siostra Anzelma.

Matka przełożona przeżegnała się.

- Była prawdziwą artystką. Na nieszczęście padła ofiarą zarazy. Czy nie uważa pani, że są bardzo piękne?

Kitty wyjąkała potwierdzenie. Na ołtarzu stały bukiety papierowych kwiatów i pretensjonalnie ozdobne lichtarze.

- Mamy przywilej przechowywania tutaj Świętego Sakramentu.

- Tak? - rzekła Kitty, nic nie rozumiejąc.

- Było to wielką pociechą dla nas w tych czasach ciężkiej próby.

Opuścili kaplicę, wracając tą samą drogą do rozmównicy.

- Czy nie miałyby pani ochoty przed opuszczeniem klasztoru zobaczyć jeszcze te dzieciątka, które dziś przyniesiono?

- Bardzo chętnie - odpowiedziała Kitty.

Matka przełożona zaprowadziła ich do małego pokoiku po drugiej stronie korytarza. Na stole pod kocem coś się dziwnie poruszało. Siostra odkryła koc, spod którego ukazało się czworo nagich niemowląt. Były bardzo czerwone i machały nieustannie rączkami i nóżkami; ich osobliwe chińskie twarzyczki były dziwacznie powykrzywiane; wyglądały na małe zwierzątka nieznanego gatunku, a jednak było coś przedziwnie wzruszającego w tym widoku. Matka przełożona przyglądała im się z uśmiechem rozbawienia.

- Jakie one żywe. Czasami umierają zaraz po przyniesieniu do nas. Oczywiście chrzczymy je w chwili przybycia.

- Małżonek pani będzie zadowolony - rzekła siostra Józefa - godzinami mógłby się bawić z tymi maleństwami. Gdy zapłaczą, wystarcza, by je wziął na ręce i utulił, zaraz zaczynają uśmiechać się rozkosznie.

Kitty i Waddington zabierali się do odejścia. Kitty z powagą dziękowała matce przełożonej za łaskawe przyjęcie. Zakonnica pochyliła się w ukłonie, pełnym godności i uprzejmym zarazem.

- Było to dla mnie wielką przyjemnością. Nie ma pani pojęcia, jaką pomocą dla nas jest jej małżonek. Nieba go nam zesłały. Jestem ogromnie wdzięczna pani z nim tu przyjechała. Jakaż pociechą dlań musi być, gdy wracając do domu, zastaje tam panią z jej miłością i ze słodką twarzyczką! Niechże mu pani nie da zapracowywać się.

Niech go pani chroni dla nas wszystkich!

Kitty zarumieniła się. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Matka przełożona podała jej rękę i Kitty, ściskając ją, czuła na sobie chłodne, myślące spojrzenie, pełne głębokiego zrozumienia.

Siostra Józefa zamknęła za nimi drzwi i Kitty wsiadła do lektyki. Wracali przez wąskie, kręte uliczki. Waddington rzucił jakąś nic nieznaczącą uwagę, Kitty nie odpowiedziała. Obejrzał się, ale zasłony lektyki były zaciągnięte i nie mógł jej widzieć. Kroczył naprzód w milczeniu. Gdy dosięgli przystani i Kitty wysiadła, spostrzegł ze zdumieniem, że twarz jej była zalana łzami.

- Co pani jest? - zapytał przerażony.

- Nic - siliła się na uśmiech - ot, głupota.

XLIV

Samotna w mizernej bawialni zmarłego misjonarza, Kitty, leżąc na szezlongu przy otwartym oknie, patrzyła w zamyśleniu na świątynię po drugiej stronie rzeki (jakże znowu eteryczną i czarowną w poświęcie wieczornej)! Usiłowała rozeznaczyć się w swoich uczuciach. Nigdy się nie spodziewała, że ją te odwiedziny w klasztorze tak wzruszą. Poszła tam jedynie przez ciekawość. Nie miała żadnego zajęcia, sprzykrzyło jej się już to ciągle patrzeć na mury miejskie za rzeką i rada była rzucić okiem na tajemnicze wnętrza miasta.

Ale znalazłszy się w klasztorze, miała wrażenie, że jest w jakimś innym, dziwnym świecie, gdzie poza czasem i przestrzenią. Te nagie pokoje i białe korytarze, proste i surowe, były czymś tak dalekim i mistycznym. Z niedołęstwa ozdób brzydkiej i pospolitej kapliczki wiał taki niezwykły patos, było w niej coś, co

przemawiało kolorowymi oknami i wspaniałymi obrazami; kaplica była bardzo skromna, ale wiara, która ją ozdobiła i otoczyła miłością, nadała jej przedziwne piękno duchowe. Systematyczna praca, prowadzona w klasztorze bez przerwy w samym ośrodku groźnej epidemii, świadczyła o nadzwyczajnej sile ducha i zimnej krwi wobec grożącego w każdej chwili niebezpieczeństwa. Było w tym naprawdę coś imponującego. W uszach Kitty wciąż jeszcze dźwięczały potworne jęki, które uderzyły w nią w chwili rozwarcia drzwi do infirmerii przez siostrę Józefę.

Niespodzianką był też dla niej sposób, w jaki mówiono tam o Walterze. Było tyle czułości w pochwałach siostry Józefy i matki przełożonej. Nappełniało ją to nawet pewną dumą, że się tak dobrze wyrażano o jej mężu.

Waddington również opowiadał o czynach Waltera, ale siostry wychwalały nie tylko jego lekarską sprawność (Kitty już w Tching-Yenie słyszała, że go uważano za bardzo zdolnego lekarza), mówiły także o jego troskliwości i czułości dla chorych. Kitty знаła jego czułość w takich wypadkach. Pamiętała, jak nadzwyczajnie umiał ją pielęgnować, gdy była chora. Nigdy jej nie rozdrażnił, a dotknięcie jego było tak miłe, chłodne i kojące. W samej jego obecności był jakiś czar przynoszący ulgę w cierpieniu. Wiedziała, że nigdy nie ujrzy w jego oczach tego przywiązania, do którego była ongi tak przyzwyczajona, że aż ją niecierpliwiło. Wiedziała już teraz, jak wielki zasób miłości mieścił się w sercu Waltera; teraz przelewał on ten cały skarb na chorych i nędzarzy, których był jedyną nadzieją. Nie czuła zazdrości, tylko dziwną pustkę. Jak gdyby usunięto nagle podporę, do której się tak przyzwyczaiła, że nie zdawała sobie sprawy z jej istnienia, chwiała się niepewnie, straciwszy równowagę. Gardziła dziś sobą za to, że dawniej nie umiała ocenić Waltera. Wiedział zapewne, jak się nań zapatruje, i przyjmował z goryczą jej ocenę. Była głupia, a on zdawał sobie z tego sprawę, ale kochał ją pomimo jej zaślepienia. Dziś nie myślała o nim ani z nienawiścią, ani z niechęcią. Raczej z lękiem i niepokojem. Musiała przyznać mu niezwykle zalety, nieraz zdawało jej się, że jest w nim jakaś dziwna, choć pozbawiona wdzięku wielkość; dziwiła się sama sobie, że nie może go poko-

chać i wciąż jeszcze trwa w uczuciu dla człowieka, którego bezwartościowość tak jasno rozumie. Rozmyślając nieustannie w ciągu tych długich dni, doszła do trafnej oceny Townsenda; to osobnik zupełnie pospolity i wszystkie jego cechy są najzupełniej podrzędne. Gdyby tylko mogła wyrwać ze swego serca tę miłość! Usiłowała nie myśleć o nim. Waddington też był bardzo wysokiego mniemania o Walterze. Ona jedna tylko nie widziała jego zalet. Dlaczego? Czy dlatego, że ją kochał bez wzajemności? Cóż takiego jest w sercu ludzkim, co każe nam gardzić człowiekiem, dlatego że nas kocha? Ale Waddington, choć wysoko cenił Waltera, nie lubił go. Mężczyźni w ogóle z nim nie sympatyzowali. A jednak te zakonnice miały dlań uczucie nieomal serdecznego przywiązania. Wobec kobiet był zupełnie inny: pomimo wrodzonej nieśmiałości odczuwało się w nim nadzwyczajną czułość.

XLV

Ale nade wszystko wzruszały ją same zakonnice. Siostra Józefa, o wesołej twarzy i policzkach rumianych jak jabłuszka, należała do grupy zakonnice, które przybyły do Chin razem z matką przełożoną dziesięć lat temu; widziała, jak jej towarzyszki wymierały kolejno z chorób, niedostatku i tęsknoty za ziemią rodzinną, a jednak zachowała wesołość i pogodę ducha. Cóż to było, co dawało jej ten naiwny i czarujący humor? A matka przełożona? Kitty wyobrażała sobie, że stoi znowu przed nią, i czuła się pełna pokory i zawstydzenia. Pomimo prostoty i naturalności matka przełożona miała jakąś wrodzoną godność nakazującą cześć; trudno było sobie wyobrazić, by ktoś ośmielił się jej uchybić. Siostra Józefa całym swym zachowaniem, każdym najmniejszym gestem, tonem odpowiedzi dawała poznać swą uległość; a i Waddington, zawsze tak niesforny i lekkomyślny, tracił wobec niej swój tupet.

Wzmianka Waddingtona o arystokratycznym pochodzeniu matki przełożonej była zupełnie zbyteczna. Z całego jej zachowania przebijało wyraźnie piętno rasy i pewność siebie osoby nieprzypuszczającej ani na chwilę, by ktoś mógł jej odmówić posłuszeństwa. Miała godność wielkiej damy i pokorę świętej. Jednocześnie była pełna troskliwości i dobroci, które sprawiały, że drobna hałaśliwa dziatwa garnęła się do niej bez lęku. Jakże głęboki i słodki był jej uśmiech, gdy pochylała się nad tą czwórką niemowląt! Istny promień słońca na dzikim wrzosowisku. Pobieźnie rzucona uwaga siostry Józefy o Walterze dziwnie wzruszyła Kitty: wiedziała, że bardzo sobie życzył mieć dziecko, ale nigdy nie przypuszczała, by przy swej nieśmiałości mógł zdobyć się na okazanie tym maleństwom tak uroczej i żartobliwej czułości. Mężczyźni przeważnie bywają strasznie niezręczni w obchodzeniu się z niemowlętami. Jakie to było dziwne!

Ale w całej tej wzruszającej przygodzie był cień (ciemne obramowanie srebrnej chmurki) wyraźny i natarczywy, który ją niepokoił. W powściągliwej wesołości siostry Józefy, a jeszcze bardziej w wykwintnej uprzejmości matki przełożonej czuła jakąś obcość, która ją przygnębiała. Były pełne życzliwości względem niej, a jednak czuła pewną wstrzemięźliwość z ich strony, wyraźnie dającą poznać, że uważają ją za obcą, przygodną znajomość. Była między nimi jakaś przegroda. Mówiły innym językiem, płynącym z odmiennych serc. Wiedziała, że gdy się drzwi za nią zamknęły, zakonnice wyrzuciły ją tak kompletnie ze swej pamięci i powróciły do swych zaniedbanych na chwilę zajęć, jak gdyby nigdy dla nich nie istniała. Czuła się wyrugowana nie tylko z tego małego nędznego klasztoru, ale z jakiegoś tajemniczego ogrodu ducha, za którym tęskniło jej serce. Poczowała się nagle bardziej niż kiedykolwiek samotna. Oto dlaczego płakała.

I nagle, odrzucając w tył znużoną głowę, westchnęła:

- Jakże mało jestem warta!

XLVI

Tego wieczoru Walter wrócił do domu wcześniej niż zwykle. Kitty leżała przy otwartym oknie. Było już prawie ciemno.

- Czy nie chcesz lampy? - zapytał.

- Przyniosą ją, gdy obiad będzie gotowy. Mówił do niej zawsze o potocznych, mało znaczących rzeczach, tak jak się rozmawia zwykle ze znajomymi, ale nic w jego zachowaniu się nie dawało poznać, by żywił względem niej jakieś wrogie uczucie. Starał się jednak nie spotykać z jej spojrzeniem i nigdy się nie uśmiechał. Był dla niej skrupulatnie grzeczny.

- Walterze, czy postanowiłeś już, co uczynimy, jeśli wyjdziemy cało z tej epidemii? - zapytała.

Milczał chwilę, zanim odpowiedział. Nie mogła widzieć jego twarzy.

- Nie zastanawiałem się nad tym.

Dawniej mówiła wszystko, co jej przychodziło na myśl; nigdy nie zastanawiała się nad tym, co mu ma powiedzieć. Obecnie bała się go; czuła, że usta jej drżą, a serce bije boleśnie.

- Byłam dziś po południu w klasztorze.

- Słyszałem o tym.

Mówił z wysiłkiem, z trudem dobierając słowa.

- Czy naprawdę pragnąłeś mojej śmierci, zabierając mnie tu ze sobą?

- Gdybym był na twoim miejscu, Kitty, nie poruszałbym tych spraw. Sądzę, że nic dobrego dla nas obojga nie wyniknie z mówienia o rzeczach, o których lepiej byłoby zapomnieć.

- Ale ty nie zapominasz i ja też nie. Rozmyślałam wiele od czasu przyjazdu. Czy nie zechcesz wysłuchać tego, co mam do powiedzenia?

- Owszem.

- Postąpiłam bardzo źle względem ciebie. Nie dochowałam ci wierności. Stał w kamiennym milczeniu, które ją przerażało.

- Nie wiem, czy zrozumiesz to, co ci powiem. Tego rodzaju rzeczy, gdy już przeminą, nie mają żadnego znaczenia dla kobiety. Myślę, że w ogóle zapatrywanie się kobiet na te sprawy jest dość dziwne.

Mówiła urywanym głosem, który jej samej wydawał się obcy.

- Poznałeś się dobrze na Karolu i z góry przewidziałeś, jak postąpi. Miałeś zupełną rację. On jest człowiekiem zupełnie pozbawionym wartości. Przypuszczam, że gdybym nie była sama tak mało warta, nie miałabym żadnych złudzeń co do niego. Nie żądam, byś mi przebaczył. Nie żądam, byś mnie tak kochał jak dawniej. Ale czy nie moglibyśmy być przyjaciółmi? Pośród tych ludzi, umierających tysiącami dokoła nas, tych zakonnic w klasztorze...

- Co mają do tego zakonnice?

- Nie umiem ci tego wyjaśnić. Ale doznałam dziś tam tak dziwnego uczucia. Dzieją się wokoło takie straszne rzeczy. Praca i poświęcenie tych kobiet są tak wielkie, że wobec tego nasze osobiste nieszczęścia są drobne i nikłe. Czyż warto, byś się trapił tym, że głupia kobieta cię zdradziła? Jestem zbyt nieznaczną, mało warta, byś zajmował mną swoje myśli.

Nie odpowiadał nic, ale nie odsunął się od niej, zdawał się czekać na dalszy ciąg.

- Waddington i zakonnice opowiadali mi takie cudne rzeczy o tobie. Dumna jestem z ciebie, Walterze.

- Dawniej było inaczej; gardziłaś mną. Czy już nie czujesz dla mnie pogardy?

- Czy nie wiesz, że czuję lęk przed tobą? Milczał przez chwilę.

- Nie rozumiem cię - rzekł w końcu. - Nie wiem, czego żądasz.

- Nie żądam niczego dla siebie. Pragnę tylko, byś ty czuł się mniej nieszczęśliwy.

Zesztywniał, a głos jego był bardzo chłodny, gdy odpowiedział:

- Mylisz się, sądząc, że czuję się nieszczęśliwy. Mam zbyt wiele do roboty, by móc często myśleć o tobie.

- Nie wiem, czy zakonnice przyjęłyby moją pomoc. Jest ich za mało; byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym mogła im się do czegoś przydać.

- Nie jest to ani łatwa, ani przyjemna robota. Wątpię, czy długo by cię to bawiło.

- Walterze, czy tak zupełnie mną gardzisz?

- Nie. - Zawahał się chwilę; głos jego brzmiał dziwnie, gdy dodał: - Gardzę sobą.

XLVII

Po obiedzie Walter siedział jak zwykle przy lampie i czytał. Czytał co wieczór, dopóki Kitty nie położyła się spać, a potem wchodził do laboratorium, które urządził sobie w jednym z pustych pokojów bungalowu. Pracował tam do późnej nocy. Sypiał mało. Był zajęty jakimiś nieznanymi Kitty doświadczeniami. Nie mówił jej nic o swoich pracach, ale i dawniej był w tych sprawach milczący; z natury nie lubił się wywnętrzać. Kitty rozmyślała głęboko nad tym, co jej powiedział. Cała rozmowa ostatecznie spelzła na niczym. Znała go tak mało, że nie mogła wywnioskować, czy mówił prawdę. Czy jest możliwe, by teraz, gdy on nabrał dla niej tak złowróżbnego znaczenia, ona zupełnie przestała dlań istnieć? Rozmowa z nią, która dawniej go zajmowała dlatego, że ją kochał, dziś może tylko nudziła. Myśl ta ją przygnębiła.

Spojrzała na Waltera. W świetle lampy jego twarz czyniła wrażenie kamei. Regularne i delikatnie rzeźbione rysy nadawały jej wielką dystynkcję, ale wyraz był

srogi i ponury. Ten bezruch, w którym tylko oczy się poruszały, obiegając stronice, miał w sobie coś przerażającego. Któż by uwierzył, że twarz ta pod wpływem namiętnego uczucia zdolna była przybrać tak czuły wyraz? Widziała to przecież i na samo wspomnienie odczuwała niesmak. Jakież to dziwne, że choć był i przystojny, i zacny, godny zaufania i utalentowany, nie mógł wzbudzić w niej miłości. Jakaż ulgą była dla niej myśl, że nie jest już zmuszona poddawać się jego pieszczotom!

Nie chciał jej odpowiedzieć, gdy go zapytała, czy zmuszając ją do tej podróży, naprawdę pragnął jej śmierci. Tajemnica ta czarowała ją i przerażała. Był przecież tak niezwykle dobry; niepodobna, by się nosił z tak demonicznym zamiarem. Podał ten projekt zapewne tylko dlatego, by ją zastraszyć i poniżyć Karola, potem przez upór lub obawę ośmieszenia się obstawał przy wykonaniu planu. Tak, mówił, że gardzi sobą. Co chciał przez to powiedzieć? Kitty ponownie spojrzała na spokojną i obojętną twarz Waltera. Był nieświadomy jej obecności, jakby wcale nie było jej w pokoju.

- Dlaczego gardzisz sobą? - zapytała, nie wiedząc prawie, że mówi, jak gdyby poprzednia rozmowa nie została wcale przerwana.

Położył książkę i spojrzał na nią w zamyśleniu. Zdawał się zbierać myśli, rozproszone gdzieś w przestrzeni.

- Dlatego, że cię kochałem.

Odwróciła się, zarumieniona. Nie mogła znieść jego zimnego, upartego spojrzenia. Zrozumiała, co chciał powiedzieć. Upłynęła chwila, zanim zdobyła się na odpowiedź.

- Sądzę, że jesteś dla mnie niesprawiedliwy - rzekła. - Nie możesz osądzać mnie za to, że byłam głupia, lekkomyślna i pospolita. Otrzymałam takie wychowanie. Wszystkie panny z naszego towarzystwa takie... Jest to tak, jakbyś winił kogoś o to, że nie jest muzykalny dlatego, że nudzi go koncert symfoniczny. Czyż to sprawiedliwie ganić mnie za to, że przypisywałeś mi zalety, których nie miałam? Nigdy nie usiłowałam ci wmówić, że jestem kimś innym, niż jestem. Byłam tylko ładna i wesoła. Nikt nie szuka naszyjnika z pereł lub sobolowego futra w kramie

jarmarcznym; idzie się tam, by nabyć trąbkę lub balonik dziecinny.

- Ja ciebie nie winię.

Głos jego dźwięczał znużeniem. Zaczynał ją niecierpliwić. Dlaczego nie mógł zrozumieć tego, co dla niej było tak jasne? Dlaczego nie chciał pojąć, że wobec tej grozy śmierci, w której cieniu znajdowali się oboje, wobec tego przejmującego czciami piękna, którego przeblysłk było jej dane uchwycić dzisiaj, ich sprawy były tak znikome. Jakież to mogło mieć znaczenie, że lekkomyślna kobieta popełniła cudzołóstwo? I po co jej mążnek miał sobie w obliczu tej wzniosłości zaprzętać głowę taką marnotą? Dziwiło ją to, że Walter, taki skądinąd roztropany, miał tak małe poczucie proporcji. Dlatego że ubrał w bogate szaty lalkę i postawił ją w świątyni, by ją móc uwielbiać, a potem przekonał się, że jest napełniona trocinami, nie mógł przebaczyć ani jej, ani sobie. Zbudował sobie gmach ułudy, a gdy prawda strzaskała kruchą budowę, uwierzył, że rzeczywistość została rozbita. Tak jest, nie mógł jej przebaczyć, gdyż nie mógł przebaczyć sobie samemu.

Zdawało jej się, że westchnął, rzuciła nań szybkie spojrzenie. I nagle uderzyła ją myśl, która zaparła jej dech. Z trudem stłumiła krzyk, który ją dławił.

Czy to możliwe, by serce jego zostało złamane?

XLVIII

Przez cały następny dzień Kitty myślała o klasztorze, a nazajutrz zaraz po wyjściu Waltera, wzięwszy ze sobą swoją *amah*, by się zajęła sprowadzeniem lektyk - przeprowiła się przez rzekę. Był wczesny ranek i Chińczycy stłoczeni na promie, niektórzy w niebieskich bawełnianych szatach chłopskich, inni w czarnych, przybieranych przez wyższe warstwy miejskie, czynili wrażenie umarłych, przewożonych

do krainy cieni. Wsiadłszy na brzegu, zatrzymywali się przez chwilę na przystani w niepewności, jak gdyby nie wiedzieli, dokąd się udać, po czym rozpraszali się i po dwóch, trzech wolnym krokiem szli pod górę.

O tej godzinie ulice miejskie były puste i miało się wrażenie, że miasto wymarło. Rządcy przechodnie, zatopieni w swych ponurych myślach, wyglądali raczej na widma. Na niebie nie było ani jednej chmurki, a poranne słońce oblewało ulice łagodnym światłem. Trudno sobie wyobrazić, że w ten błogosławiony, świeży i uśmiechnięty poranek miasto dusiło się w szponach nieludzkiej zarazy jak człowiek schwytyany za gardło przez szaleńca. Niepodobna uwierzyć, by przyroda - błękit nieba był czysty jak serce dziecięce - mogła pozostać tak obojętna, gdy ludzie wili się w mękach i grozie śmierci. Gdy lektyki zatrzymały się przed klasztorem, jakiś żebrak podniósł się przed progu i wyciągnął rękę po jałmużnę. Poprzez dziury w jego brudnych łachmanach, jakby zebranych na śmietniku, wyglądało ciało, opalone, twarde i szorstkie jak skóra kozy; bose nogi były wychudzone, a głowa z potarganą szopą siwych włosów, o zapadłych policzkach i dzikich oczach, była głową obłąkanego. Kitty cofnęła się przerażona, a tragarze lektyki brutalnie go odepchnęli; nie ustawał jednak w natręctwie i Kitty, chcąc się go pozbyć, ze wstrętem rzuciła mu drobną monetę. Otworzono im drzwi i *amah* wytłumaczyła furtiance, że jej pani pragnie się widzieć z matką przełożoną. Wprowadzona do znanej już rozmównicy, dusznej, jakby nigdy nie otwierano w niej okien, Kitty czekała tak długo, że myślała, iż nie zawiadomiono kogo należało o jej przybyciu. Wreszcie ukazała się matka przełożona.

- Proszę wybaczyć, że dałam tak długo czekać na siebie. Nie spodziewałam się przybycia pani i byłam zajęta.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Lękam się, że przybyłam w niewłaściwej chwili.

Matka przełożona uśmiechnęła się do niej swoim poważnym uśmiechem i poprosiła, by spoczęła. Ale Kitty zauważyła, że oczy jej były opuchnięte. Widoczne

było, że płakała. Zdziwiło ją to niepomierzenie; uważała dotychczas matkę przełożoną za osobę zupełnie nieczułą na ziemskie troski.

- Obawiam się, że stało się coś złego - wyjąkała. - Może lepiej, żebym odeszła? Przyjdę kiedy indziej.

- Nie, nie. Niech pani mi powie, czym mogę służyć. Jedna z naszych sióstr umarła tej nocy.

Głos jej zadrżał i oczy napełniły się łzami.

- Nie powinnam się martwić, wiem przecież, że jej pełna prostoty i dobroci dusza na pewno poszła wprost do nieba; to była święta; ale tak trudno czasem przemóc w sobie słabość ducha. Niestety, nie zawsze umiem być rozsądna.

- Jakże mi żal! Jakże mi strasznie żal - rzekła Kitty z łkaniem w głosie.

- Była jedną z tych sióstr, które przyjechały razem ze mną przed dziesięciu laty. Już tylko trzy nas zostało. Pamiętam, jak odbijając z przystani w Marsylii, stałyśmy wszystkie na rufie i gdy ujrzałyśmy złoty posąg Matki Boskiej, zmówiłyśmy wspólnie pacierz. Najgorętszym moim życzeniem od chwili wstąpienia do zakonu było móc wyjechać do Chin, a jednak, gdy ziemia francuska zaczęła znikać przed moich oczu, nie mogłam powstrzymać się od płaczu. Byłam matką przełożoną; dawałam zły przykład moim córkom. Wtedy siostra Franciszka Ksawera - takie było imię zakonne zmarłej tej nocy siostry - wzięła mnie za rękę i powiedziała, żebym się nie martwiła, bo „gdziekolwiek będziemy, Bóg i Francja będą z nami”.

Ból czysto ludzki, z którym daremnie walczyła, i wysiłek, z jakim starała się powstrzymać łzy, przeczące jej wierze i rozsądkowi, wykrzywiły jej surową, piękną twarz. Kitty odwróciła od niej oczy. Czowała, że przyglądanie się tej ciężkiej walce byłoby niedyskrecją.

- Napisałam do jej ojca. Była, tak samo jak ja, jedynaczką. Rodzice jej są rybakami w Bretanii, ciężki to będzie dla nich cios. Och, kiedyż skończy się ta straszna epidemia! Dwie spośród naszych dziewczynek zapadły na nią dziś rano i chyba cud uratować je zdoła. Ci Chińczycy są zupełnie pozbawieni odporności. Strata

siostry Franciszki jest dla nas bardzo dotkliwa. Tak wiele jest do roboty, a coraz mniej rąk do jej pełnienia. W naszych klasztorach chińskich jest wiele sióstr, które by chętnie przyjechały; sądzę, że cały nasz zakon oddałby wszystko na świecie za pozwolenie przyjazdu do nas; ale to jest śmierć prawie pewna i póki choć jako tako mogę sobie dać radę z tymi siostrami, które już tu są, nie dopuszczę, by inne się poświęcały.

- To mi dodaje odwagi, *ma mere* - rzekła Kitty. - Miałam wrażenie, że przyszedłam w nieodpowiedniej chwili. Powiedziała mi pani wówczas, że jest tak dużo pracy, że siostry jej podolać nie mogą, więc pomyślałam sobie, że może matka przełożona pozwoli mi przychodzić do klasztoru i pomagać trochę siostronom. Gotowa jestem robić wszystko, co mi wskażą, byleby tylko móc stać się użyteczną. Z radością szorowałabym nawet podłogi.

Matka przełożona uśmiechnęła się rozbawiona, a Kitty była zdumiona ruchliwością temperamentu, pozwalającą jej tak łatwo zmieniać usposobienie.

- Nie ma potrzeby szorowania podłóg. Z tym dają sobie jako tako radę sieroty. - Zamilkła na chwilę, przyglądając się Kitty z pełnym życzliwości uśmiechem. - Drogie dziecko, czyż nie dość uczyniłaś, towarzysząc mężowi do tej zarażonej miejscowości? Niewiele żon zdobyłoby się na to, a czyż możesz znaleźć stosowniejsze zajęcie, jak otaczanie ciepłem rodzinnym i wygodą małżonka, gdy wraca do domu po ciężkiej pracy? Wierz mi, dziecko, że potrzebne mu są wtedy i miłość twoja, i wszelkie starania.

Kitty lękała się spotkać ze spojrzeniem tych oczu, które patrzyły na nią z badawczą życzliwością, niepozbawiona lekkiej ironii.

- Nie mam nic do roboty od rana do wieczora - rzekła Kitty. - Widzę, że jest tyle do zrobienia i gnębi mnie myśl, że próżnuję. Nie chciałabym ani przeszkadzać, ani narzucać się, wiem, że nie mogę rościć sobie prawa do waszej życzliwości ani zabierać wam tak cennego czasu, ale naprawdę zupełnie szczerze zapewniam matkę, że poczytałabym to sobie za wielką łaskę, gdyby mi pozwolono dopomóc nieco w

robocie.

- Pani nie wydaje się zbyt silna. Onegdaj, gdy pani po raz pierwszy raczyła nas odwiedzić, zauważyłam, że pani jest bardzo blada. Siostra Józefa sądzi, że pani będzie może miała dzieciątko.

- Nie, nie - zawołała Kitty, rumieniąc się po cebulki włosów. Matka przełożona roześmiała się wesoło.

- Nie ma się czego wstydzic, moje dziecko i nie ma też nic tak dalece nieprawdopodobnego w tym przypuszczeniu. Jak dawno się pobraliście?

- Jestem blada z natury, ale pomimo to bardzo silna i zapewniam panią, że nie ulęknię się żadnej pracy.

Matka przełożona przybrała zwykły wyraz powagi i zdawała się oceniać badawczym spojrzeniem młodą kobietę.

Kitty bardzo się tym denerwowała.

- Czy mówi pani po chińsku?

- Niestety, nie - odpowiedziała Kitty.

- Szkoda. Mogłabym oddać pod pani opiekę starsze dziewczynki. Nie ma się kto zająć nimi na razie i bardzo się obawiam, żeby się nie rozpuściły.

- Czy nie mogłabym dopomóc siostram w pielęgnowaniu chorych? Nie lękam się cholery. Mogłabym pielęgnować dziewczynki lub żołnierzy.

Uśmiech znikł z twarzy matki przełożonej, potrząsnęła w zamyśleniu głową.- Nie zdaje sobie pani widocznie sprawy z tego, co to jest cholera. To straszny widok. Praca w infirmerii prowadzona jest przez żołnierzy, a jedna z sióstr ma tylko nadzór nad nimi. Co się zaś tyczy dziewcząt... nie, nie, jestem pewna, że małżonek pani nie życzyłby sobie tego; to ciężki, przerażający widok.

- Przyzwyczaiłabym się.

- Nie, to jest zupełnie wykluczone. Pełnienie tego rodzaju prac jest naszym obowiązkiem i przywilejem zarazem, pani nie ma potrzeby podejmowania się czegoś podobnego.

- Słowa pani dają mi poznać całą moją bezużyteczność i niezaradność. Trudno uwierzyć, by się nie znalazła dla mnie jakaś praca.

- Czy mówiła pani mężowi o tym projekcie? -Tak.

Matka przełożona patrzyła na nią badawczo, jak gdyby chciała przeniknąć tajniki jej serca, ale spotkawszy pełne niepokoju błagalne oczy Kitty, uśmiechnęła się.

- Pani jest naturalnie protestantką? - zapytała.

- Tak.

- To nie ma znaczenia. Doktor Watson, ten misjonarz, który umarł, też był protestantem i nie robiło to żadnej różnicy. Czynił co mógł dla nas i zawdzięczamy mu bardzo wiele.

Lekki uśmiech zadrgał na ustach Kitty, ale nic nie powiedziała. Matka przełożona zdawała się rozważać sprawę, po czym, podniósłszy się z krzesła, powiedziała:

- Bardzo to uprzejme z pani strony. Myślę, że znajdę coś do roboty dla pani. To prawda, że teraz, gdy straciliśmy siostrę Franciszkę, trudno nam będzie podolać. Kiedy by pani mogła rozpocząć swoje zajęcia?

- W tej chwili.

- *A la bonne heure*. Miło mi to słyszeć.

- Przrzekam, że uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy. Bardzo, bardzo dziękuję!

Matka przełożona otworzyła drzwi rozmównicy, ale zanim wyszła, zawahała się nieco. Raz jeszcze obrzuciła Kitty długim, mądrym i badawczym spojrzeniem, po czym kładąc rękę na jej ramieniu, rzekła:

- Wiesz o tym chyba, drogie dziecko, że spokoju ducha nie można znaleźć ani w pracy, ani w zabawie, jedynie we własnej duszy.

Kitty drgnęła, ale matka przełożona pośpiesznie wyszła z pokoju.

Kitty z prawdziwą rozkoszą oddawała się swej pracy. Wczesnym rankiem, gdy tylko zaświtało, udawała się do klasztoru i wracała do domu dopiero wtedy, gdy zachodzące słońce ozłacało wąską rzekę i stłoczone na niej dżonki. Matka przełożona powierzyła jej opiece młodsze dzieci. Matka Kitty przywiozła ze sobą do Londynu z rodzinnego Liverpoolu praktyczną znajomość arkanów gospodarstwa kobiecego, a Kitty, pomimo lekkomyślnych pozorów, posiadała niemało uzdolnień w tym kierunku, o których sama odzywała się z ironią. Umiała dobrze gotować i ślicznie szyła. Gdy przyznała się do tych talentów, polecono jej czuwać nad szwalnią, gdzie pracowały młodsze dziewczynki. Rozumiały już teraz po francusku, a Kitty z dnia na dzień powiększała zasób swych wyrazów chińskich i dawała sobie jakoś radę. W innych godzinach miała dozór nad najmniejszą dziatwą, której trzeba było pilnować, by sobie nie zrobiła krzywdy, ubierać, rozbierać i układać na spoczynek o właściwej porze. Było tam dużo dzieci, którymi zajmowały się chińskie *amah*. Kitty miała tylko uważać, by wszystko odbywało się w należyтым porządku. Zajęcia te nie były zbyt absorbujące, Kitty wolałaby otrzymać jakąś pracę bardziej odpowiedzialną i wymagającą większego wysiłku, ale matka przełożona nie zwracała uwagi na jej prośby, a Kitty nie śmiała się jej narzucać. Z początku musiała przewycięzać w sobie lekki wstręt, jakim nappełniały ją te małe, brzydtko ubrane dziewczynki o czarnych sztywnych włosach, okrągłych żółtych twarzach i wytrzeszczonych czarnych oczach. Ale przypominała sobie pełne słodczy spojrzenie matki przełożonej, jakim ogarniała tłoczącą się wkoło niej gromadkę w dniu pierwszych odwiedzin Kitty, i wstyd jej było poddawać się instynktownej odrazie. Z czasem, gdy brała na ręce któreś z maleństw, płaczące z powodu jakiegoś uderzenia lub wyrzynającego się boleśnie ząbka, Kitty zauważyła, że kilka czułych wyrazów,

wypowiedzianych w obcym języku, samym swoim dźwiękiem, uścisk jej ramion i przytulenie do miękkiego policzka zapłakanej żółtej twarzyczki zdolne są uspokoić i pocieszyć dziecinę. I wtedy przestała czuć się obca w tej gromadce. Małe dzieci bez lęku garnęły się do niej ze swymi drobnymi troskami i ta ufność dziecięca sprawiała jej niekłamane zadowolenie.

To samo czuła też do starszych dziewcząt, które uczyła szycia. Ich wesołe, miłe uśmiechy i uciecha, z jaką przyjmowały jej pochwały, wzruszały ją szczerze. Czuła, że ją lubią; pochlebiali jej to i napępiali dumą, i nawzajem zaczynała przywiązywać się do tych sierotek.

Było tam jednak dziecko, do którego w żaden sposób nie mogła się przyzwyczaić. Mała, niedorozwinięta sześciolatka dziewczynka, z wodogłowiem. Jej głowa chwiała się niepewnie na małym przysadzystym korpusie. Miała duże bezmyślne oczy i obwisłe wargi, mowę zachrypłą i zaledwie mogła wybełkotać kilka wyrazów. Było to straszne i odrażające stworzenie. Z niewiadomych powodów dziecko to dziwnie przywiązało się do Kitty, dreptało za nią z kąta w kąt dużego pokoju, chwyciło za suknię, usiłowało głaskać jej ręce. Kitty trzęsła się z odrazy. Rozumiała, że dziecko to tęskni za pieczytami, a nie mogła się przemóc, by go dotknąć.

Pewnego dnia w rozmowie z siostrą Józefą wyraziła się, że nie wiadomo, po co takie dziecko żyje. Siostra Józefa uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę do zniekształconego stworzenia. Biedactwo przybliżyło się i potarło o dłoń siostry wypukłe czoło.

- Biedna kruszyna - rzekła zakonnica - gdy ją przyniesiono, była bliska śmierci. Bóg łaskaw, że byłam w tej chwili u furty. Widząc, że nie ma chwili do stracenia, ochrzciłam ją natychmiast. Nie uwierzyłaby pani, z jakim trudem utrzymaliśmy ją przy życiu. Parę razy byliśmy już pewni, że duszyczka jej wymknie się nam do nieba.

Kitty milczała. Siostra Józefa zaczęła rozmowę na inny temat. Następnego dnia, gdy mała, niedorozwinięta dziewczynka dotknęła jej ręki, Kitty,

przewyciężywszy się, pogładziła olbrzymią łysą główkę dziecka i zmusiła swoje usta do uśmiechu. Ale nagle dziecko z chorobliwą przekorą opuściło ją, jak gdyby przestało się zupełnie nią interesować, i już ani tego dnia, ani potem nie zwracało na nią żadnej uwagi. Kitty nie wiedziała, czemu to przypisać, usiłowała przynęcić ponownie dziewczynkę uśmiechem i gestami, ale dziecko odwróciło się od niej i udawało, że jej nie widzi.

L

Zakonnice były tak zajęte od rana do nocy swoimi mnogimi obowiązkami, że Kitty widywała je prawie wyłącznie podczas nabożeństwa w małej, biednej kapliczce. Pierwszego dnia matka przełożona, zauważywszy w ławce Kitty z dziewczynkami rozsadzonymi w ławkach według wieku, zatrzymała się i przemówiła do niej.

- Niech pani nie myśli, że jest pani obowiązana koniecznie uczyć się razem z nami do kaplicy. Pani jest protestantką i ma swoje przekonania.

- Ale ja przychodzę bardzo chętnie. Jest to dla mnie prawdziwym wypoczynkiem. Matka przełożona spojrzała na nią przelotnie i z lekka pochyliła poważną głowę.

- Oczywiście postąpi pani, jak jej się będzie podobało. Chciałam tylko zaznaczyć, że nie ma pani żadnych zobowiązań.

Z siostrą Józefą Kitty stykała się częściej i nawiązał się między nimi dość poufały stosunek. Dział gospodarczy klasztoru znajdował się w całości w rękach siostry Józefy i dobrobyt materialny tak licznej rodziny sprawiał siostrze niemalą bieżączkę. Utrzymywała, że jedyną chwilą wypoczynku dla niej jest czas poświęcony

modlitwie. Pod wieczór wpadała często na lekcję szycia i wyrzekając, że jest strasznie zmęczona i nie ma chwili czasu, siadała na parę minut przy Kitty, by trochę pogawędzić. Gdy matka przełożona była nieobecna, siostra Józefa okazywała się gadatliwym stworzeniem, lubiła żarty, a nawet ploteczki. Kitty nie bała się jej zupełnie; pomimo habitu siostra Józefa była dobroduszną, prostą kobietą i gawędziły ze sobą wesoło. Nie wstydziła się przed nią swej kiepskiej francuszczyzny i wspólnie śmiały się z błędów językowych Kitty. Siostra uczyła ją codziennie paru nowych chińskich wyrazów mogących przydać się w codziennym życiu. Była córką farmera i w głębi serca pozostała chłopką.

- Gdy byłam małą dziewczynką, pasłam krowy - opowiadała - jak Joanna d'Arc. Ale byłam zbyt bezbożna, by mieć wizje. Na szczęście! Bo ojciec byłby je na pewno wybił ze mnie batem. Tłukł mnie często pocziwy staruszek, byłam bardzo niegrzeczną dziewczynką. Wstyd mnie zdejmuję czasami jeszcze teraz, gdy sobie przypomnę swoje ówczesne figle.

Kitty roześmiała się na myśl, że ta otyła, niemłoda zakonnica mogła być kiedyś figlarnym dzieckiem. A jednak było w niej i dziś jeszcze coś z dziecka, co serdecznie przyciągało ku niej Kitty. Zdawało się, że otacza ją aromat wsi o jesiennej porze, gdy jabłonie obładowane są owocem, a plony zwiezione do sąsiadów. Nie miała w sobie surowej i tragicznej świątobliwości matki przełożonej, a szczęśliwa jej wesołość była pełna prostoty.

- Czy siostra nigdy nie pragnęłaby wrócić do domu? - zapytała Kitty.

- O, nie. Byłoby mi bardzo przykro powrócić. Jest mi tu bardzo dobrze i czuję się między sierotami szczęśliwa. Są takie dobre, takie pełne wdzięczności. Ale choć jestem zakonnica, nie zapominam o tym, że mam matkę, która i mnie Wykarmiła mlekiem swych piersi. Moja matka jest stara i ciężko mi, gdy pomyślę, że jej już nigdy nie zobaczę. Ale wiem, że kocha synową, a i brat mój jest bardzo dobry dla matki. Jego syn też podраста. Przyda im się jeszcze jedna para silnych rąk w gospodarstwie; był dzieckiem, gdy opuszczałam Francję, ale już wtedy jego pięść

była obiecująca.

Gawędząc tak z siostrą w zacisznym pokoju, trudno sobie było wyobrazić, że na zewnątrz tych murów szaleje epidemia. Beztroska siostry Józefy udzielała się Kitty.

Siostra Józefa była naiwnie ciekawa świata i jego mieszkańców. Zасыpywała Kitty pytaniami o Londyn i Anglię. Sądziła, że jest tam wieczna mgła, tak gęsta, że w południe nie można dojrzeć własnej ręki. Pragnęła wiedzieć, czy Kitty bywa często na balach, czy mieszka w wielkim domu, ile ma siostr i braci. Wspominała też często o Walterze. Matka przełożona mówi o nim, że jest niezwykłym człowiekiem, modłą się zań codziennie. Jaka Kitty jest szczęśliwa, że ma męża tak dobrego, odważnego i zdolnego!

LI

Ale prędzej czy później siostra Józefa wracała do matki przełożonej. Kitty od początku zrozumiała, że indywidualność tej kobiety panuje nad klasztorem. Wszyscy patrzyli na nią nie tylko z miłością i podziwem, ale także z wielką czcią i niemałym lękiem. Pomimo jej dobroci Kitty czuła się w jej obecności pensjonarką. Nie mogła nigdy zdobyć się na swobodę w stosunku do matki przełożonej, gdyż przejmowało ją nieznanne jej dotychczas uczucie niezmiernej czci. Siostra Józefa, pragnąc naiwnie zaimponować Kitty, opowiadała, jak znaczny jest ród, z którego pochodzi matka przełożona. W liczbie jej przodków znajdują się osobistości o historycznym znaczeniu, jest spokrewniona prawie ze wszystkimi królewskimi rodami Europy. Król hiszpański Alfons bywał na polowaniach u jej ojca, mieli wspaniałe zamki rozsiane po całej Francji. Ciężko pewnie było wyrzec się takich wspaniałości. Kitty

słuchała z uśmiechem, jednak nie bez wrażenia. - Zresztą wystarczy na nią spojrzeć - rzekła siostra - by widzieć, że jest to najprawdziwsza śmietanka.

- Ma najpiękniejsze ręce, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć - zauważyła Kitty

- A co się nimi napracuje! Nie powstydzi się żadnej roboty nasza dobra matka.

Gdy przyjechały do Mei-tan-fu, nic tu nie było. Zbudowały klasztor. Matka przełożona sama nakreśliła plany i dozorowała roboty. Zakonnice natychmiast zajęły się ratowaniem niechcianych niemowląt z rąk nieludzkich akuserek. Z początku nie miały łóżek ani szyb, chroniących przed nocnym powietrzem, a trudno o coś bardziej szkodliwego dla zdrowia - mówiła siostra Józefa - i często brakowało im pieniędzy nie tylko na zapłatę robotników, ale i na własne niewyszukane pożywienie; żywiły się jak chłopci, ale -co mówię - zachnęła się siostra - chłopci we Francji, na przykład ludzie pracujący na farmie ojca, rzuciliby taką strawę świniom. Wtedy matka przełożona zbierała dokoła siebie swoje córki, klękały i modliły się żarliwie, a Najświętsza Pannienka przysyłała im pieniądze. Następnego dnia przychodziło pocztą tysiąc franków albo jakiś cudzoziemiec, Anglik (choć protestant) albo nawet Chińczyk, pukał do ich drzwi, gdy jeszcze klęczały, i przynosił dary. Kiedyś, będąc w bardzo ciężkim położeniu, ofiarowały nowennę na cześć Matki Boskiej, jeśli je poratuje. I czy uwierzyłby kto? Nazajutrz przyszedł ten zabawny pan Waddington i utrzymując, że wszystkie wyglądamy, jak gdyby nam był potrzebny kopiasty półmisek rostbefu, wręczył nam sto dolarów.

Jaki on jest komiczny, ten Waddington, z tą swoją łysą czaszką, małymi złośliwymi oczkami i wiecznymi żarcikami. *Mon Dieu*, jakże kaleczył język francuski, niepodobna było powstrzymać się od śmiechu. Był stale w dobrym humorze. Przez cały czas tej strasznej epidemii zachowywał się jak student na wakacjach. Miał serce Francuza, a dowcip taki, że nikt by go nie wziął za Anglika. Jedyne akcent go zdradza. Siostra Józefa sądziła, że czasami rozmyślnie wadliwie wymawiałaaby je rozśmieszyć. Oczywiście, że jego moralność pozostawia wiele do

życzenia, ale ostatecznie to jego sprawa (z westchnieniem, wzniesieniem ramion i potrząśnięciem głowy), a zresztą jest przecież kawalerem i młodym człowiekiem.

- A co siostra ma do zarzucenia moralności Waddingtona? - zapytała, śmiejąc się Kitty.

- Czy to możliwe, żeby pani nic nie słyszała? Właściwie to grzech mówić pani o tym i nie powinnam wcale tego opowiadać. Mieszka z chińską niewiastą, a właściwie nie z Chinką, tylko z Mandżurką. Podobno księżniczka i do szaleństwa w nim zakochana.

- Ależ to brzmi zupełnie nieprawdopodobnie! -zawołała Kitty.

- Zapewniam panią, że to najświętsza prawda. To grzech śmiertelny. Nie powinno się tak postępować. Pamięta pani, jak podczas jej pierwszych odwiedzin w klasztorze, gdy Waddington nie chciał jeść ciastek specjalnie upieczonych przeze mnie, matka przełożona powiedziała, że zepsuł sobie żołądek na mandżurskiej kuchni? Oto, do czego czyniła aluzję i trzeba było widzieć przy tym jego minę. Jest to bardzo ciekawa historia. Waddington stacjonował w Hankow podczas rewolucji i w czasie rzezi ze zwykłym sobie poświęceniem ocalał podobno życie jednej z najwyższych rodzin mandżurskich. Są ponoć spokrewnieni z rodziną cesarską. Panna zakochała się w nimi na zabój, no i resztę może pani sobie dośpiewać sama. Gdy Waddington opuszczał Hankow, uciekła za nim z domu i od tego czasu towarzyszy mu wszędzie. Ostatecznie biedak musiał się zgodzić na trzymanie jej na stałe u siebie. Myślę, że jednak musi ją kochać bardzo; te Mandżurki bywają czasem wprost czarujące. Ale co ja wyprawiam? Mam tysiąc rzeczy do zrobienia, a siedzę tutaj i gadam. Kiepska ze mnie zakonnica, wstyd mi doprawdy!

Kitty czuła, że rozwija się i jakby rośnie duchowo. Nieustanna praca zajmowała jej umysł, a rzut oka na cudze życie i inne poglądy pobudzał jej wyobraźnię. Odzyskała humor i zdrowie, nabrała siły. Sądziła, że nie pozostało jej nic innego, jak płakać po całych dniach; a teraz ku wielkiemu swemu zdumieniu i niemałej konfuzji łapała się nieraz na wesołym uśmiechu. Życie w ośrodku groźnej zarazy wydawało jej się obecnie zupełnie naturalne. Wiedziała, że ludzie umierali na prawo i na lewo, ale mało już teraz o tym myślała. Matka przełożona nie pozwoliła jej wchodzić do infirmerii i zamknięte drzwi budziły jej ciekawość. Byłaby rada zajrzeć tam chyłkiem, ale nie dałoby się tego uczynić bez zwrócenia uwagi, i lękała się kary, jaką matka przełożona mogłaby na nią nałożyć. A nuż ją zupełnie wydali z klasztoru? To by było okropne. Przywiązała się już do tych dzieci, a i one by się zmartwiły, gdyby przestała przychodzić; doprawdy nie wiadomo nawet, jakby sobie dały teraz radę bez niej.

Pewnego dnia spostrzegła, że już od tygodnia nie myślała o Karolu i nie śniła o nim. Serce uderzyło jej radośnie: była uzdrowiona! Mogła myśleć o nim zupełnie obojętnie. Nie kochała go już. Co za ulga! Jakie uczucie wyswobodzenia! Ze zdumieniem teraz wspominała, jak namiętnie dawniej tęskniła za nim; czyż nie sądziła, że umrze, gdy ją zawiódł? Była przekonana, że życie nie może jej ofiarować już nic prócz cierpienia. A teraz śmiała się. Jakaż była głupia! Rozważając rzeczy spokojnie, zadawała sobie pytanie, czym ją Karol właściwie tak ujął? Całe szczęście, że Waddington nie wie o tym, nie wytrzymałaby chyba jego ironicznych spojrzeń i złośliwych uwag. Była wolna, wolna, nareszcie wolna zupełnie! Niewiele brakowało, a byłaby się roześmiała na głos.

Dzieci bawiły się w jakąś hałaśliwą grę. Zwykle przyglądała się ich zabawom z

pobłażliwym uśmiechem, mitygując je jedynie, gdy zbyt silnie hałasowały, i uważając, by się które nie potłukło. Ale dziś wstąpiło w nią nowe życie i poczuwszy się znowu młoda, przyłączyła się do nich. Małe dziewczynki z zachwytem przyjęły jej udział. Goniły się po całym pokoju, krzycząc na cały głos, pełne fantastycznej, prawie barbarzyńskiej uciechy. Doszły do takiego podniecenia, że skakały do góry z radości. Zapanował niemożliwy hałas. Nagle drzwi otworzyły się i matka przełożona stanęła u progu. Kitty, zawstydzona, wydarła się z uścisku tuzina dziewczątek, które chwyciły ją z dzikimi okrzykami.

- Czy to w ten sposób trzyma pani na wodzy dziewczynki, by były grzeczne i spokojne? - zapytała matka przełożona z uśmiechem na ustach.

- Bawiłyśmy się, proszę matki, w różne gry. Dzieci się rozbrykały. Ale to moja wina, bo je pobudzałam do tego.

Matka przełożona zbliżyła się i jak zwykle otoczyły ją dzieci. Obejmowała ich wąskie plecy i żartobliwie targała za żółte uszki. Obrzuciła Kitty przeciągłym, łagodnym spojrzeniem. Kitty była zdyszana i zarumieniona. Jej wilgotne oczy błyszczały, a piękne włosy, potargane wśród śmiechu i zabawy, rozrzuciły się w uroczym nieładzie.

- Jakaż ty jesteś śliczna, moje dziecko! - rzekła matka przełożona. - Twój widok doprawdy rozgrzewa serce. Nie dziwię się wcale dzieciom, że cię uwielbiają.

Kitty oblała się ciemnym rumieńcem i sama nie wiedziała, dlaczego nagle łzy napłynęły jej do oczu. Ukryła twarz w dłoniach.

- Matka mnie zawstydzła.

- Nie bądź dziecinna. Piękność jest też darem Bożym, jednym z najrzadszych i najcenniejszych; powinniśmy być wdzięczni, gdy nam został dany, a jeśli go nie posiadamy sami, wdzięczni być musimy, że inni ku rozradowaniu naszych oczu zostali nim obdarzeni.

Uśmiechnęła się ponownie i jak gdyby Kitty była również dzieckiem, pogładziła delikatnie jej świeży policzek.

Od czasu rozpoczęcia pracy w klasztorze Kitty znacznie rzadziej widywała Waddingtona. Parę razy przyszedł na brzeg rzeki na jej spotkanie i razem weszli na wzgórek. Czasem wpadał do nich na whisky z wodą sodową, ale rzadko kiedy dał się namówić do pozostania na obiedzie. Pewnej niedzieli Kitty zaproponowała mu, żeby wziąć ze sobą śniadanie i wybrać się w lektykach do klasztoru buddyjskiego. Klasztor ów był oddalony o jakieś dziesięć mil od miasta i znany jako miejsce pielgrzymek. Matka przełożona, uważając, że Kitty powinna wypocząć choć raz na tydzień, nie pozwalała jej pracować w niedzielę, a Walter oczywiście był jak zwykle zajęty.

Wyruszyli wczesnym rankiem, by przybyć na miejsce przed dziennym upałem i odbywali podróż w lektykach wąską drogą między polami ryżowymi. Od czasu do czasu mijali dostatnie fermy, tulące się poufale do gaików bambusowych. Kitty rozkoszowała się wycieczką. Po długim zamknięciu w murach miasta jakże miło było mieć dokoła wolną przestrzeń. Przybyli do klasztoru, który składał się z niskich zabudowań rozrzuconych nad brzegiem rzeki, mile ocienionych drzewami. Paru uśmiechniętych mnichów oprowadzało ich po surowej pustce podwórców i po świątyniach, w których pełno było bożków o wykrzywionych twarzach.

W sanktuarium na tronie siedział samotny Budda i w zamyśleniu uśmiechał się smętnie. Ciężka nad tym wszystkim jakaś atmosfera zwątpienia. Cała ta wspaniałość była wytarta i zniszczona; bożki zakurzone, a wiara, która je wzniosła, wydawała się na wymarciu. Mnisi wyglądali, jak gdyby byli tu na popasie i spodziewali się lada chwila rozkazu wymarszu, a z uśmiechu opata poprzez wykwinną uprzejmość wyzierała ironiczna rezygnacja. Pewnego dnia mnisi opuszczą ten cienisty, miły las i pozostawią kruszące się zaniedbane budynki na łup zaciekłych wichrów i zachłannej roślinności. Dzikie pnącza owina się dokoła umarłych posągów, a drzewa rozrosną

się na podwórcach. Zamiast bogów obiorą sobie tu siedlisko złe duchy ciemności.

LIV

Usiedli na schodkach małego budynku - cztery lakierowane kolumny i wysoki dach, kryty dachówkami, a pod nim wielki dzwon z brązu -i patrzyli na krętą rzekę, płynącą powoli i jakby niechętnie ku wyklętemu miastu. Widać było stąd jego uwieńczone blankami mury. Upał ciążył nad nimi jak całun. Rzeka, płynąca leniwie, nasuwała swym ruchem melancholijne myśli o przemijaniu wszystkiego na tym świecie. Wszystko przechodzi i nie zostawia śladu po sobie. Zdało się Kitty, że wszyscy, cały ród ludzki są jak te krople wody w rzece, tak blisko siebie, a tak jak każda z osobna, płynące jako bezimienna fala ku morzu. Wszystko na świecie jest tak krótkotrwałe i tak małe ma znaczenie. Po cóż więc ludzie unieszczęśliwiają i siebie, i innych, przywiązując tak wielką wagę do rzeczy błahych?

- Czy pan zna Harrington Gardens - zapytała Waddingtona z uśmiechem w pięknych oczach.

- Nie, a dlaczego?

- Nic, to daleko stąd. Moja rodzina tam mieszka.

- Czy myśli pani o powrocie do domu?

- Nie.

- Przypuszczam, że państwo wyjadą stąd za parę miesięcy. Epidemia się zmniejsza, a nastanie chłódów zapewne zakończy ją zupełnie.

- Myślę, że prawie przykro mi będzie wyjechać. Przez chwilę zamyśliła się o przyszłości. Nie

znała planów Waltera. Nic jej nie mówił. Był zimny, uprzejmy, milczący i

nieprzenikniony. Dwie małe krople w rzece, płynące w milczeniu w nieznanie; dwie kropelki, tak zróżnicowane same w sobie, a jednak dla widza pozostające tylko niewidzialną cząstką ogromu wody.

- No, no, jeszcze te zakonnice gotowe panią nawrócić - rzekł Waddington, uśmiechając się złośliwie.

- Są na to zbyt zajęte. Zresztą nie zależy im na tym wcale. One są doprawdy nadzwyczajne i takie dobre; a jednak - nie wiem, jak to wyrazić - jest jakaś ściana pomiędzy nami. Nie wiem, na czym to polega. Jak gdyby zakonnice posiadały jakąś tajemnicę, opromieniającą ich życie, której poznania nie jestem godna. To nie wiara, to coś głębszego, bardziej znaczącego; one żyją w odmiennym od naszego świecie i my na zawsze pozostaniemy dla nich obcy. Co dnia, gdy zamykają się za mną drzwi klasztorne, czuję, że przestałam dla nich istnieć.

- Domyślałam się, że jest to pewnego rodzaju ciosem dla próżności pani - rzucił Waddington sarkastycznie.

- Moja próżność....

Kitty wzruszyła ramionami. Po czym, uśmiechnąwszy się znowu, zwróciła się doń niedbale.

- A czemu to pan mi nigdy nie mówił o tym, że żyje pan z księżniczką mandżurską?

- Cóż tam znowu te plotkarki pani nagadały? Czyż to nie grzech, by zakonnice wtrącały się do osobistych spraw urzędników celnych?

- Cóż to panu szkodzi?

Waddington spuścił oczy i patrzył bokiem, co nadawało mu wyraz chytrłości. Wzruszył lekko ramionami.

- Nie jest to rzecz nadająca się do rozgłaszania. Nie przypuszczam, by to miało przyczynić się do powiększenia moich widoków na awans służbowy.

- Bardzo pan jest do niej przywiązany?

Podniósł głowę i jego brzydka twarz przybrała wyraz złapanego na gorącym

uczynku sztubaka.- Poświęciła dla mnie dom, rodzinę, byt zapewniony, wszystko, nawet własną dumę. Już wiele lat upłynęło od czasu, gdy wyrzekła się wszystkiego, aby żyć ze mną. Odsyłałem ją już kilkakrotnie, ale wracała zawsze. Próbowałem uciec przed nią, odnalazła mnie. Przekonałem się, że nic nie pomoże i dałem temu pokój. Już chyba wypadnie mi spędzić z nią resztę życia.

- Widocznie kocha pana do szaleństwa.

- Wie pani, to jest naprawdę dziwne uczucie- odpowiedział, marszcząc czoło. - Jestem zupełnie pewny, że gdybym ją naprawdę opuścił, popełniłaby samobójstwo. Bez gniewu i jakiegokolwiek pretensji do mnie, tylko po prostu dlatego, że nie umiałaby żyć beze mnie. Przyzna pani, że świadomość takiego uczucia nie może pozostać bez wpływu na człowieka.

- Alboż to o to chodzi, czy ktoś nas kocha? Najważniejszą rzeczą jest, czy sami kochamy. Miłość, której nie dzielimy, nie wywołuje w nas nawet wdzięczności. Nudzi nas tylko.

- Nie mam dostatecznego doświadczenia, mogę mówić tylko o swoim pojedynczym wypadku.

- Czy ona jest naprawdę księżniczką z rodu cesarskiego?

- Nie, to jest romantyczna przesada zakonnic. Pochodzi z jednej z większych rodzin mandżurskich, zrujnowanej przez rewolucję. Ale jest naprawdę wielką damą.

Wypowiedział to z taką dumą, że lekki uśmiech zamigotał w oczach Kitty.

- Więc ma pan zamiar pozostać tutaj już na stałe?- W Chinach? Tak. Cóż by ona robiła gdzie indziej? Gdy przejdę na emeryturę, osiade w małym domku w Pekinie i tam spędzę resztę życia.

- Ma pan dzieci?

- Nie.

Przyglądała mu się z ciekawością. Trudno było zrozumieć, że ten drobny człowiek o łysej czaszce i małpiej twarzy zdołał w owej cudzoziemce tak pożerającą namiętność. Sposób, w jaki Waddington mówił o tej kobiecie, pomimo

pozornej obojętności i pobieżnego tonu, dawał jej odczuć silnie całą głębię i niezwykłość tej miłości. Wzruszyło ją to i zmieszało.

- Jakże to daleko od Harrington Gardens -uśmiechnęła się Kitty.

- Dlaczego pani to mówi?

- Bo nic nie rozumiem. Życie jest takie dziwne. Jestem jak człowiek, który całe życie spędził nad stawem i któremu nagle pokazano morze. Dech mi zapiera, ale upaja zarazem. Nie chcę już umierać, chcę żyć. Czuję, że wstępuje we mnie nowa odwaga. Jestem jak ci żeglarze starożytni, wyruszający w dal w poszukiwaniu nowych ziem i nowych mórz, dotąd nieodkrytych; dusza moja tęskni za nieznanym.

Waddington spoglądał w zamyśleniu na Kitty, której oczy wpatrzyły się w gładką powierzchnię rzeki. Dwie kropelki, płynące obok siebie, cichutko, cichutko, ku ciemnemu wiecznemu morzu.

- Czy mogłabym odwiedzić mandżurską damę? - zapytała nagle Kitty, podnosząc głowę.

- Nie rozumie ani słowa po angielsku.- Pan był tak uprzejmy, zrobił pan tak wiele dla mnie, może mogłabym swoim zachowaniem się dać poznać, jak wiele życzliwości mam dla pana.

Waddington uśmiechnął się ironicznie, ale odpowiedział wesoło:

- Przyjdę któregoś dnia po panią i poczęstujemy panią herbatą jaśminową.

Kitty nie powiedziała Waddingtonowi, jak dalece ta historia cudzoziemskiej miłości pobudziła jej imaginację; księżniczka mandżurska stała się dla niej teraz symbolem czegoś niewypowiedzianie dalekiego i mglistego, wabiącym ją ku zagadkowym, mistycznym obszarom ducha.

Parę dni potem Kitty zrobiła niespodziewane odkrycie.

Udała się tego dnia jak zwykle do klasztoru i zajęła się, jak co rano, dozorowaniem mycia i ubierania dzieci. Wobec tego, że zakonnice wierzyły niezachwianie w szkodliwość nocnego powietrza, w sypialni panował okropny zaduch. Owianej świeżym tchem poranku Kitty dawało się to zawsze we znaki i pierwszą jej czynnością po wejściu do sypialni było spieszne otwieranie okien. Ale dziś nagle poczuła się bardzo niedobrze, w głowie jej się zakręciło i stanąwszy przy oknie, starała się nadaremnie odzyskać równowagę. Nigdy jeszcze nie doznała takiego uczucia. I nagle chwyciły ją torsje. Krzyknęła tak głośno, że dzieci się przeraziły. Starsza dziewczynka, która była jej pomocnicą, widząc bladość i drżenie Kitty, zatrzymała się i krzyknęła. Cholera! Straszna myśl przeszła mózg Kitty, czuła, że ogarnia ją śmiertelna niemoc. Przez chwilę walczyła jeszcze z nocą, która zdawała się ją pochłaniać, po czym wszystko znikło.

Gdy otworzyła oczy, nie wiedziała z początku, gdzie się znajduje. Zdawało jej się, że leży na podłodze, a poruszywszy z lekka głowę, poczuła pod nią poduszkę. Nic nie pamiętała. Matka przełożona klęczała przy niej i podsuwała jej pod nos sole trzeźwiące. Siostra Józefa przyglądała się, stojąc obok. Wtedy nagle przypomniała sobie. Cholera! Spostrzegła zmieszanie na twarzach zakonnice. Siostra Józefa wydawała się olbrzymia, a kształty jej były mgliste. Kitty ponownie przejął lęk.

- Matko, matko - załkała - czy ja umrę? Nie chcę umierać!

- Ależ rozumie się, że nie umrzesz - rzekła matka przełożona.

Była zupełnie spokojna, a jej oczy miały nawet wyraz lekkiego rozbawienia.

- Ależ to cholera! Gdzie jest Walter? Czy posłano po niego? Ach, matko, matko!

Wybuchła płaczem, matka przełożona podała rękę, a Kitty uchwyciła się jej, jakby chcąc zatrzymać uchodzące życie.

- Ależ, drogie, kochane dziecko, nie niepokój się tak, to nie jest cholera ani nic podobnego.

- Gdzie jest Walter?- Mąż pani jest zbyt zajęty, byśmy go miały niepokoić; za kilka minut będzie pani zupełnie zdrowa.

Kitty patrzyła na matkę przełożoną wytrzeszczonymi z przerażenia oczyma. Jakże może tak obojętnie przyjmować jej chorobę? To po prostu okrucieństwo.

- Niech pani nie porusza się przez chwilę -rzekła matka przełożona - nie ma żadnego powodu do niepokoju.

Serce Kitty zabiło przyspieszonym tętnem. Tak się już przyzwyczaiła do myśli o cholery, że zupełnie zapomniała o możliwości zarażenia się. Jakże była lekkomyślna! A teraz musi umrzeć. Groza ją przejęła. Dziewczynki przyniosły trzcinowy leżak i ustawiły go przy oknie.

- Przeniesiemy panią, dobrze? - zapytała matka przełożona. - Będzie pani wygodniej na leżaku. Czy zdoła pani utrzymać się na nogach?

Podłożyła ręce pod plecy Kitty i przy pomocy siostry Józefy ją podniosła. Kitty upadła, wyczerpana, na kanapę.

- Zamknę okno - rzekła siostra Józefa. - Poranne powietrze może jej zaszkodzić.

- Nie, nie - zawołała Kitty. - Proszę, niech pani nie zamyka!

Widok błękitu nieba nappełniał ją otuchą. Była wstrząśnięta, ale czuła się już nieco lepiej. Zakonnice patrzyły na nią w milczeniu, po czym siostra Józefa powiedziała coś do matki przełożonej, czego Kitty nie zrozumiała. Matka przełożona usiadła przy niej na brzegu leżaka i ujęła jej rękę.- Posłuchaj mnie, drogie dziecko ...

Zadała jej kilka pytań. Kitty odpowiadała, nie pojmując, o co chodzi. Usta jej drżały i z trudem wymawiała wyrazy.

- Nie ma wątpliwości - rzekła siostra Józefa -niepodobna, bym się omyliła w

tym wypadku.

Roześmiała się, a Kitty zdawało się, że w śmiechu jej dźwięczy podniecenie i zarazem serdeczna życzliwość. Matka przełożona, trzymając rękę Kitty, uśmiechała się z łagodną czułością.

- Siostra Józefa ma więcej ode mnie doświadczenia w tym kierunku i od razu poznała, co pani jest. Widocznie miała rację.

- Co pani chce powiedzieć? - zapytała Kitty z niepokojem.

- To zupełnie oczywiste. Czy pani nigdy nie liczyła się z tą możliwością? Pani jest w odmiennym stanie.

Kitty zadrżała i usiłowała zerwać się z kanapy.

- Proszę, niech pani leży spokojnie - rzekła matka przełożona.

Kitty czuła, że oblewa ją rumieniec. Przyłożyła skrzyżowane ręce do piersi.

- To niemożliwe. To nieprawda.

- Co ona mówi? - zapytała siostra Józefa po francusku.

Matka przełożona przetłumaczyła jej słowa Kitty. Pocziwa rumiana twarz siostry promieniała.

- Pomyłka jest zupełnie wykluczona. Zapewniam panią słowem honoru.

- Jak dawno pobraliście się, moje dziecko? - zapytała matka przełożona. - Przecież moja bratowa, będąc tak długo zamężna jak pani, miała już dwoje dzieci.

Kitty opadła bezsilnie na kanapę.

- Tak się wstydzę - szepnęła.

- Dlatego, że pani będzie miała dzieciątko? Przecież to zupełnie naturalne.

- A to dopiero pan doktor się ucieszy! - rzekła siostra Józefa.

- Tak, pomyśl tylko, moje dziecko, jaka to radość dla twego męża. Będzie uszczęśliwiony. Gdyby go pani widziała w towarzystwie dzieci i spostrzegła wyraz jego twarzy, gdy się z nimi bawi, zrozumiałaby pani, jak go zachwyci nadzieja własnego dzieciątka.

Kitty milczała. Obie zakonnice spoglądały na nią z czułą troskliwością, a

matka przelozona glaskala jej reke.

- To dziwne, ze nie domyslalam sie swego stanu juz dawniej - rzekla Kitty. - W kazdym razie jestem rada, ze to nie cholera. Jest mi juz lepiej. Moge zabrac sie do roboty.

- Juz nie dzisiaj, moje dziecko. Doznala pani szoku, lepiej pójsc do domu i odpoczac nieco.

- Nie, nie, wole zostac tutaj przy zwyklych zajeciach.

- W zaden sposob nie moge zgodzic sie na to. Cóz by powiedzial nasz kochany doktor, gdybym pozwolila pani na taka nieostroznosc? Przyjdzie pani jutro albo pojutrze, jezeli sie pani bedzie czula zupełnie dobrze. Dzisiaj musi pani zachowac absolutny spokój. Czy zyczy pani sobie, by ktora ze starszych dziewczynek pania odprowadzila?

- O, nie, dam sobie rade sama.

LVI

Kitty lezala na lozku przy zamknietych okiennicach. Bylo juz po drugim sniadaniu, sluzba spala. To, czego sie dowiedziala dzis rano - nie mogla juz watpic o prawdziwosc tego odkrycia - mocno ja zmieszalo. Od chwili powrotu do domu silila sie na spokojne rozwazenie sprawy, ale jej umysl byl zupełnie zaćmiony, nie mogla zebrać w zaden sposob myśli. Nagle uslyszala kroki, ktore nietrudno bylo odróżnić od bosego stapania boyów. Z lekciem rozpozнала chód Waltera. Był w przyleglym pokoju i zawolal ja stamtad po imieniu. Gdy nie odpowiedziala, zapukal do jej drzwi.

- To ty, Walterze?

- Czy moge wejsc?

Kitty wstała z łóżka i narzuciła na siebie szlafroczek.

- Proszę.

Wszedł. Rada była, że zamknięte okiennice nie pozwalały dobrze widzieć jej twarzy.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem. Pukałem bardzo, bardzo leciutko.

- Nie spałam.

Doszedł do okna i otworzył jedną okiennicę. Fala ciepłego światła zalała pokój.

- Co się stało? - zapytał. - Dlaczego wróciłaś tak wcześnie? Siostry mi powiedziały, że czułaś się niedobrze. Przeszedłem więc dowiedzieć się, co ci jest.

Gniew ją porwał.

- A gdyby to była cholera?- Gdyby tak było, nie wróciłabyś dziś do domu.

By uzyskać nieco czasu, zbliżyła się do lustra i przegarnęła grzebieniem po ostrzyżonych włosach, po czym usiadła i zapaliła papierosa.

- Byłam rzeczywiście niezdrowa dziś rano i matka przełożona uważała, że powinnam wrócić do domu. Ale jest mi już zupełnie dobrze. Pójdę jutro do klasztoru jak zwykle.

- Co ci było?

- Czyż ci nie mówiły zakonnice?

- Nie. Matka przełożona uważała, że sama mi to powinnaś powiedzieć.

Wbrew swemu zwyczajowi spojrzał jej prosto w oczy; widocznie instynkt lekarza zwyciężył tym razem osobistą niechęć. Zawahała się, po czym zmusiła się do spotkania jego spojrzenia.

- Spodziewam się dziecka - rzekła. Wiedziała nie od dzisiaj, że wiadomości, które w każdym innym człowieku wywołałyby mimowolny okrzyk, Walter zwykł był przyjmować milczeniem, ale dzisiaj ta kamienna obojętność napełniła ją rozpaczą. Nie przemówił słówka, nie poruszył się; najmniejsze drgnienie, najlżejsza zmiana wyrazu twarzy nie dały poznać, że słyszał jej słowa. Zbierało jej się na płacz. Jeśli małżeństwo kocha się nawzajem, w takiej chwili musi ich objąć wspólne przemożne

wzruszenie. Nie mogła dłużej znieść tego milczenia.

- Nie wiem, dlaczego nie domyśliłam się tego wcześniej. To bardzo głupio. Ale w tych okolicznościach....

- Kiedy... Kiedy spodziewasz się rozwiązania? Widziała, że Walter, równie wzruszony jak ona, z trudem wyrzuca ze ściśniętego gardła urywane wyrazy.

Niepodobna, by widząc drżenie jej ust, nie poczuł dla niej litości.

- Myślę, że to już trwa od dwóch, trzech miesięcy.

- Czy to moje?

Głos jego drgał z lekka. Na Kitty, przyzwyczajonej do jego zwykłego opanowania, ten lekki ślad wzruszenia uczynił wstrząsające wrażenie. Przypomniała sobie nagle, nie wiedząc sama czemu, przyrząd, który jej kiedyś pokazywano w Tching-Yenie. Była tam mała drgająca igielka; wytłumaczono jej wtedy, że to lekkie drgnięcie oznacza jakieś dalekie trzęsienie ziemi, w którym zginęły pewnie setki ludzi. Westchnęła ciężko, patrząc na Waltera. Był śmiertelnie blady, patrzył w ziemię.

- A więc?

Zacisnęła ręce. Wiedziała, że jeśli powie „tak”, uwierzy jej, musi uwierzyć, bo pragnie, by to było prawdą. A wtedy przebaczy jej niechybnie. Znała jego głęboką tkliwość, której pomimo wrodzonej nieśmiałości tak chętnie dawał upust. Wiedziała, że nie jest mściwy. Jeśli mu tylko da pretekst trafiający do jego serca, przebaczy natychmiast i raz na zawsze. Była pewna, że nigdy nie będzie jej wymawiał minionych przewinień. Był może surowy, okrutny, ale nie małostkowy. Wszystko by się odmieniło, gdyby to „tak” wypowiedziała.

A czuła taką potrzebę współczucia. Ta niespodziana wiadomość nappełniła ją dziwną nadzieją, obudziła w niej nieznane dotychczas pragnienia. Czuła się słaba, przerażona i tak oddalona od wszystkich przyjaciół. Dziś rano, chociaż nie darzyła matki wielkim przywiązaniem, zateęskniła za nią. Czuła potrzebę pomocy i pociechy. Nie kochała Waltera, wiedziała, że nigdy go nie pokocha, ale w tej chwili z całego

serca pragnęła znaleźć się w jego objęciach, móc położyć głowę na jego piersi, móc wypłakać się w jego ramionach. Jakżeby chciała, żeby ją utulił i pocałował.

Rozpłakała się. Nakłamała się już tyle w życiu i przychodziło jej to zawsze łatwo. Cóż mogło szkodzić jeszcze jedno kłamstwo, i to takie, które im obojgu wyjdzie na dobre? Kłamstwo, czyż to było właściwie kłamstwo? Tak łatwo było odpowiedzieć twierdząco na jego pytanie. Oczy Waltera złagodnieją i ręce wyciągną się ku niej. A jednak nie mogła wypowiedzieć tego wyrazu. Nie wiedziała dlaczego, ale nie mogła. Wszystko, co przeżyła w ciągu tych ciężkich dni: Charlie i jego nikczemność, epidemia i ci umierający dokoła niej ludzie, zakonnice i nawet ten śmieszny, wiecznie podchmielony Waddington - wszystko to razem zmieniło ją widocznie do gruntu; pomimo silnego wzruszenia miała wrażenie, że w głębi jej duszy jakiś surowy widz przygląda się jej czynom ze zdziwieniem i lękiem. Musiała powiedzieć prawdę. Nie było co kłamać. Myśli jej rozpraszały się dziwnie. Przez chwilę widziała przed sobą trupa żebraka pod murem. Dlaczego myślała o nim? Bez łąkania łzy spływały cicho po jej policzkach. W końcu zdobyła się na odpowiedź. Pytał, czy jest ojcem dziecka?

- Nie wiem - odpowiedziała.

Zachichotał z cicha. Kitty się wzdrygnęła.- To nieprzyjemne, czyż nie?

Jakże charakterystyczna była jego odpowiedź! Choć Kitty przyzwyczajona już była do tego ironicznego tonu, serce w niej zamarło. Czy też on rozumie, jak trudno jej było wypowiedzieć tę prawdę? Jednocześnie zdawała sobie sprawę z tego, że nie było w tym żadnego wysiłku z jej strony, że było to po prostu nieuniknione. Czy oceniał to chociaż jak należy? Własne słowa: „Nie wiem, nie wiem”, kołatały się w jej głowie. Nie można ich już było cofnąć. Wyjęła chustkę z torebki i wytarła oczy. Milczeli oboje. Na stoliku koło jej łóżka stał syfon, nalał szklanek wody, podał ją Kitty i trzymał szklanek, dopóki piła. Zauważyła, że ręka jego strasznie wychudła; miał taką piękną wąską rękę, o długich wysmukłych palcach, dziś pozostała z niej tylko skóra i kości. Ręka ta drżała z lekka. Zdołał opanować twarz, ale ręka go

zdradziła.

- Nie zwracaj uwagi na mój płacz - rzekła. - Nic mi nie jest, po prostu nie mogę powstrzymać tej wody spływającej z oczu.

Wypiła wodę. Walter postawił szklankę na stoliku i zapaliwszy cygaro, siadł na krześle. Westchnął z cicha. Słyszała go już dawniej dwa czy trzy razy tak wzdychającego i za każdym razem doznawała wstrząsu. Patrzył teraz zamyślony w okno, a Kitty, przyglądając mu się z boku, po raz pierwszy spostrzegła, jak strasznie wychudł w ostatnich czasach. Skronie mu zapadły, kości policzkowe widać było przez skórę. Ubranie wisiało na nim, jak gdyby było skrojone na znacznie cięższego człowieka. Poprzez opaleniznę przeglądała zielonawa bladość. Znać było na nim straszne wyczerpanie. Pracował ciężko, sypiał mało, a nie jadł prawie nic. Pomimo własnego zmartwienia i ciężkich trosk Kitty poczuła litość dla Waltera. Strach było pomyśleć, że nic nie może dlań uczynić.

Przycisnął rękę do czoła, jak gdyby bolała go głowa; czuła, że i w jego mózgu tłuką się te same wyrazy: nie wiem, nie wiem. Jakie to dziwne, że ten markotny, zimny i nieśmiały człowiek ma tyle serdecznej tkliwości dla maleńkich dzieci; na ogół mężczyźni mało się interesują niemowlętami, nawet własnymi. Zakonnice nieraz ze wzruszeniem opowiadały jej o tym. Jeżeli tyle czułości budzą w nim te obce chińskie niemowlęta, cóż by to dopiero było, gdyby miał własne? Kitty zagryzła wargi, by nie rozplakać się ponownie.

Spojrzał na zegarek.

- Będę musiał wrócić do miasta. Mam jeszcze dzisiaj dużo roboty... Czy jest ci już zupełnie dobrze?

- O, tak. Nie kłopotcz się o mnie, proszę.

- Myślę, że nie powinnaś dziś czekać na mnie. Przyjdę pewnie bardzo późno.

Zjem coś u pułkownika Yu .

- Dobrze. Wstał z krzesła.

- Radziłbym ci nie brać się dziś do żadnej roboty. Powinnaś odpocząć. Może

mogę ci jeszcze czymś usłużyć, zanim odejdę?

- Dziękuję. Nic mi już nie trzeba.

Zawahał się przez chwilę, po czym nagle, nie spojrzawszy nawet na nią, wziął kapelusz i wyszedł z pokoju. Kitty słyszała jego oddalające się kroki w podwórzu. Poczuli się strasznie samotna. Nie było już konieczności panowania nad sobą; wtuliła głowę w poduszkę i wybuchła niepowstrzymanym łkaniem.

LVII

Noc była parna i Kitty siedziała przy otwartym oknie, patrząc na dachy chińskiej świątyni, zarysowujące się czarno na gwiazdzistym niebie, gdy Walter wreszcie przyszedł. Oczy jej opuchły od płaczu, ale powróciła już do równowagi. Pomimo tylu powodów do strapienia czuła się, może dlatego tylko, że była wyczerpana, zupełnie spokojna.

- Sądziłem, że już śpisz - rzekł Walter, wchodząc do pokoju.

- Nie chciało mi się spać. A przy tym tak jest chłodniej niż w łóżku. Czy jadłeś coś na obiad?

-Tak.

Chodził nerwowo po pokoju. Kitty widziała, że chce jej coś powiedzieć i że jest zakłopotany. Czekala spokojnie, aż się zdecyduje. Nagle przemówił.

- Rozmyślałem o tym, co mi powiedziałaś dziś po południu. Sądzę, że lepiej będzie, jeśli wyjedziesz. Mówiłem o tym z pułkownikiem. Yu, da ci eskortę. Mogłabyś wziąć *amah* ze sobą. Nie będziesz narażona na żadne niebezpieczeństwo.

- Dokąd mogłabym się udać?

- Możesz pojechać do matki.- Czy sądzisz, że byłaby mi rada?

Zawahał się chwilę, jakby rozważając tę sprawę.

- To jedź do Tching-Yenu.

- Po cóż bym tam miała jechać?

- Twój stan obecny wymaga starań i wygody. Byłoby wprost okrucieństwem wymagać teraz od ciebie pozostania tutaj.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, na poły gorzkiego, na poły rozbawionego, który przemknął po jej twarzy. Rzuciła okiem na Waltera i omal nie roześmiała się głośno.

- Nie wiem, dlaczego miałbyś się tak troszczyć o moje zdrowie.

Zbliżył się i patrzył w noc za oknem. Nigdy jeszcze bezchmurne niebo nie było tak usypane gwiazdami.

- Mei-tan-fu nie jest obecnie najodpowiedniejszym miejscem dla kobiety w twoim stanie.

Kitty patrzyła na Waltera odcinającego się wyraźnie w białym letnim ubraniu na czarnym tle nocy. Było coś groźnego w jego ostrym profilu, a jednak nie wiedziała, dlaczego nie budził w niej w tej chwili żadnego lęku.

- Gdy żądałeś, bym tu z tobą przyjechała, pragnąłeś mojej śmierci? - zapytała nagle.

Nie odpowiadał dość długo. Czy chciał udąć, że nie słyszał jej pytania?

- Z początku tak.

Wzdrygnęła się lekko. Po raz pierwszy Walter wyraźnie wyjaśnił swoje zamiary. Dziwiła się sobie, że nie ma doń nawet o to żalu. Ogarnął ją pewien podziw dla Waltera w tej chwili i jednocześnie bawiła ją myśl o tym, jakim nikczemnym głupcem był Charlie Townsend, jak dalece nie orientował się w położeniu.

- Brałeś na siebie jednak niemałą odpowiedzialność - rzekła. - Przy twoim czułym sumieniu, nie wiem, czybyś sobie mógł wybaczyć, gdybym tu umarła.

- No, nie umarłaś przecież. Jakoś ci to służy.

- Jeszcze się nigdy w życiu nie czułam tak dobrze.

Przez chwilę miała pokusę oddania się na łaskę i niełaskę Waltera. Po tych scenach grozy i zniszczenia, przeżytych wspólnie, byłoby wprost dziecinne przykładać jakąś wagę do tych śmiesznych spraw zdrad małżeńskich. Gdy śmierć czyha za każdym węglem, wrywając ludzkie życia jak ogrodnik wykopujący ziemniaki, czyż nie jest istnym szaleństwem troszczyć się o brudne konszachty tej czy owej osoby? Gdyby tylko zdołała mu wyjaśnić, jak dalece Charlie przestał być dla niej ważny, że teraz nawet rysy jego twarzy przypomina sobie z trudem, jak ta miłość całkowicie uciekła z jej serca! Teraz, gdy nie kochała już Karola, wszystko, co zaszło między nimi, przestało dla niej istnieć. Z chwilą odzyskania swego serca nie ceniła sobie tego za grosz, co w porywie miłości oddała ze swego ciała. Miała ochotę powiedzieć Walterowi: Czyż nie za długo trwa to szaleństwo? Dąsaliśmy się na siebie nawzajem jak dzieci. Czyż nie moglibyśmy uściskać się i być znowu przyjaciółmi? Czy dlatego, że nie jesteśmy kochankami, nie może być między nami przyjaźni? Walter trwał nieruchomo, a światło lampy uwydatniało śmiertelną błądź jego obojętnej twarzy. Zabrakło jej odwagi. A nuż nie wyrazi się dość zręcznie i Walter spojrzy na nią tym swoim lodowatym, srogim wzrokiem? Znała już teraz jego niezwykłą nadczułość, którą pokrywał ostrym sarkazmem, wiedziała, jak szybko umiał zamykać swoje serce, gdy uczucia jego doznawały najmniejszej urazy. Wezbrał w niej chwilowy gniew nad jego nierozsądkiem. Na pewno najsilniej dotknął go cios zadany jego próżności. Zaczynała niewyraźnie rozumieć, że jest to najtrudniejsza do wygojenia rana.

Jakie to dziwne, że mężczyźni przywiązują taką wagę do wierności swoich żon. Gdy oddała się po raz pierwszy Karolowi, była pewna, że stanie się inną, odmienioną kobietą, a jednak przekonała się, że nie uległa żadnej zmianie, odczuła tylko jakąś błogość, jakby zwiększenie sił żywotnych w sobie. Jaka szkoda, że nie zdobyła się na powiedzenie Walterowi, iż jest ojcem jej dziecka. Dla niej tak drobne kłamstwo nic by przecież nie znaczyło, a Walter znalazłby w tym przeświadczeniu pociechę. Ostatecznie nie byłoby to może nawet kłamstwem; jakież to dziwny odruch

sumienia nie pozwolił jej skorzystać z tej wątpliwości? Jacy ci mężczyźni są niemądrzy! Ich udział w tworzeniu nowego życia jest tak niewielki. Niewiasta przez długie miesiące, pełne niewygód i cierpień, nosi dziecko w swym łonie i wydaje na świat w bólach, a jednak mężczyzna na zasadzie chwilowego stosunku rości sobie takie przemożne prawa. Dlaczego miałyby to sprawiać jakąś różnicę w jego uczuciach względem dziecka? Potem myśli Kitty zatrzymały się na oczekiwanym dziecięciu. Nie było w tej myśli ani wzruszenia, ani macierzyńskiej czułości, nic prócz lekkiego zaciekawienia.

- Sądzę, że zechcesz to sobie nieco przemyśleć? - rzekł Walter, przerywając długie milczenie.

- Niby co mam przemyśleć? Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Musisz przecież pomyśleć o tym, kiedy wyruszysz.

- Ależ ja wcale nie chcę wyjechać.

- Dlaczego?

- Polubiłam swoją pracę w klasztorze. Czuję się pożyteczna. Wolałabym zostać, dopóki ty tu będziesz.

- Muszę cię uprzedzić, że w obecnym stanie znacznie łatwiej możesz ulec zarazie.

- Podoba mi się ta twoja nagła troska o moje zdrowie.

- Czy zostajesz tu ze względu na mnie? Zawahała się. Nie wiedział, że jedynym, dość dla niej samej niespodziewanym uczuciem, jakie w niej budził obecnie, była litość.

- Wiem, że mnie nie kochasz. Nieraz myślę/że cię po prostu nudzę. Nie uważam cię za kobietę zdolną do bezinteresownych wysiłków na rzecz kilku zaśniedziałych zakonnic i gromady chińskich bachorów.

Uśmiechnęła się lekko.

- Jesteś niesprawiedliwy. Gardzisz mną teraz dlatego, że w swoim czasie nie poznałeś się na mnie. Czyż to moja wina, że byłeś takim osłem?

- Jeśli postanowiłaś tu zostać, twoja wola.- Żałuję, że nie mogę dać ci okazji do okazania wspaniałomyślności.

Było jej wprost trudno utrzymać powagę.

- Prawdę powiedziawszy, masz trochę racji, utrzymując, że nie pozostaję tu jedynie dla sierot. Widzisz, położenie moje jest tak szczególne, że nie mam na całym świecie nikogo, do kogo mogłabym się udać. Nie znam nikogo, kto by mnie nie uważał za niepożądany ciężar. Nikt nie dba o to, czy żyję, czy umarłam.

Zasepił się. Ale w tym zasepieniu nie było gniewu.

- Zagmatwaliśmy wszystko na dobre. Nieprawdaż?

- Czy wciąż jeszcze myślisz o rozwodzie? Mnie już na tym nie zależy.

- Czyż nie rozumiesz, że biorąc cię w tę podróż, przekreśliłem twą winę?

- Nie wiedziałam o tym. Nie oddawałam się nigdy specjalnym badaniom kwestii zdrad małżeńskich. A co uczynimy po opuszczeniu Mei-tan-fu? Czy zamieszkamy razem?

- Czy nie sądzisz, że myśl o przyszłości możemy pozostawić czasowi?

Śmiertelne znużenie dźwięczało w jego głosie.

LVIII

Kilka dni po tym Waddington przyszedł do Kitty do klasztoru - gnana niepokojem podjęła bezzwłocznie swoje zajęcie - i zabrał ją na przyrzeczoną herbatkę do swej Mandzurki. Kitty kilkakrotnie już była na obiedzie w domu Waddingtona, ale pani nie ukazywała się wtedy. Był to jeden z tych niezgrabnych pretensjonalnych budynków, jakie urząd celny rozrzucił po całych Chinach dla swych pracowników. Jadalnia i salon> umeblowane solidnie i niewyszukanie, miały w sobie coś z biura,

coś z hotelu. Nie było w nich żadnego śladu zadomowienia, było w oczy, że są jedynie miejscem chwilowego pobytu dla zmieniających się lokatorów. Nikomu by nie przyszło na myśl, że na piętrze może się ukrywać romantyczna tajemnica. Pokój, do którego Waddington wprowadził Kitty, był duży i skąpo umeblowany. Bielone ściany były przybrane olbrzymimi zwojami papirusów z wyszukaną kaligrafią. Przed kwadratowym stołem na sztywnym fotelu (stół i krzesła były z czarnego, pięknie rzeźbionego drzewa) siedziała Mandzurka. Podniosła się, gdy weszli, ale nie postąpiła ani kroku na ich spotkanie.

- Otóż i ona - rzekł Waddington i dodał kilka słów po chińsku. Uścisnęły sobie ręce. Była wysmukła i w swej długiej haftowanej szacie wydawała się bardzo wysoka, co mocno zdziwiło Kitty przyzwyczajoną do niskiego wzrostu kobiet Wschodu. Miała na sobie bladozielony jedwabny kaftan o wąskich rękawach zakrywających przeguby rąk; na czarnych, pracowicie ułożonych włosach wznosił się bogaty strój mandzurskich niewiast. Twarz była upudrowaną, a policzki od oczu po usta mocno uróżowane; wyskubane brwi tworzyły cienką czarną linię, a usta były szkarłatne.

Wielkie czarne nieco skośne oczy paliły się w tej masce jak dwa jeziora czarnego bursztynu. Ruchy jej były powolne i pewne. Pomimo nieśmiałości znać było, że jest zaciekawiona. Kiwnęła parę razy głową, patrząc na Kitty, podczas gdy Waddington mówił o niej. Kitty zauważyła jej ręce, nienaturalnie długie, bardzo wąskie, koloru kości słoniowej o pomalowanych starannie, wykwintnych paznokciach. Kitty musiała przyznać, że nie zdarzyło się jej widzieć czegoś równie pięknego jak te delikatne i wykwintne ręce świadczące o wyrafinowanej kulturze niezliczonych stuleci.

Wypowiedziała parę zdań wysokim jak szczebiot ptaków w sady głośm, a Waddington przetłumaczył Kitty, że miło jej jest ją poznać. Ile ma lat? Wiele ma dzieci? Usiedli przy stole na trzech krzesłach o sztywnych oparciach. Boy przyniósł w filiżankach herbatę, bladą i pachnącą jaśminem. Mandzurka podała Kitty zielone

pudełko papierosów angielskich. Poza stołem i krzesłami pokój zawierał mało mebli: stały tam jeszcze tylko: tapczan z haftowaną poduszką i dwie skrzynie sandałowe.

- A co ona robi cały dzień? - zapytała Kitty.

- Maluje trochę, czasem napisze jakiś wiersz, przeważnie jednak nic nie robi. Pali nieco, dość umiarkowanie na szczęście, zwłaszcza że do moich oficjalnych obowiązków należy niedopuszczanie do handlu opium.

- A pan sam nie pali opium? - zapytała Kitty.

- Rzadko. Prawdę powiedziawszy, wolę whisky.

Pokój przesiąknięty był z lekka jakimś egzotycznym cierpkim zapachem, niemającym jednak w sobie nic przykrego.

- Niech jej pan powie, że bardzo żałuję, iż nie mogę z nią rozmawiać. Zapewne miałybyśmy sobie niejedno do powiedzenia.

Gdy słowa te zostały jej przetłumaczone, Mandzurka spojrzała z uśmiechem na Kitty. Było w niej coś dziwnie imponującego. Siedziała w tych swoich wspaniałych szatach bez cienia zakłopotania; z umalowanej twarzy spoglądały oczy, rozumne, pewne siebie i nieprzeniknione. Wydawała się raczej obrazem niż żywą istotą, a jednak była pełna wytworności, wobec której Kitty wydawała się sobie wprost niezręczna. Dotychczas, wzorem towarzystwa, w którym się obracała, Kitty mało poświęcała uwagi Chinom, z którymi los ją związał. W tej chwili odczuła instynktownie coś nieznanego i tajemniczego.

Z mroku wieków zaczynał wyłaniać się przed nią Wschód, daleki i nieprzenikniony. Ideały i wierzenia Zachodu wydały się jej prostackie wobec ideałów i wierzeń, których przelotny cień pochwyciła w zjawie tej wytwornej istoty. Miała wrażenie, że znajduje się w obliczu odmiennego życia toczącego się po innej zupełnie powierzchni. Wydało jej się, że wobec tego bożka o malowanej twarzy i mądrych skośnych oczach wszelkie wysiłki i cierpienia powszednie znanego jej świata tracą znaczenie, stają się śmieszne. Ta barwna maska zdawała się pokrywać tajemnicę głębokiej i rozległej mądrości życiowej; drobne, delikatne dłonie o długich,

wysmukłych palcach dzierżyły klucz nieprzeniknionych zagadek.

- O czym ona też myśli przez cały dzień? - zapytała Kitty.- O niczym - uśmiechnął się Waddington.

- Jest zachwycająca. Niech jej pan powie, że nie widziałam nigdy równie pięknych rąk. Ciekawa jestem, co ona w panu widzi.

Waddington z uśmiechem przetłumaczył jej pytanie.

- Mówi, że jestem dobry.

- Alboż kobiety kochają kiedy mężczyzn za ich cnoty? - zażartowała Kitty.

W pewnej chwili Mandzurka roześmiała się serdecznie. A było to tak: Kitty w poszukiwaniu tematu do rozmowy zaczęła zachwycać się jej bransoletką z ciemnego bursztynu. Mandzurka zdjęła ją i Kitty chciała przymierzyć, ale okazało się, że nie przechodzi przez rękę. Mandzurka wybuchła wesołym śmiechem. Powiedziała parę słów Waddingtonowi i zawołała na *amah*, która za chwilę przyniosła parę pięknych mandżurskich pantofli.

- Niech pani przymierzy, może będą na panią dobre. Przydadzą się na ranne pantofle.

- W sam raz na mnie - oświadczyła Kitty nie bez dumy.

Ale zauważywszy nieco łobuzerski uśmieszek na twarzy Waddingtona, zapytała:

- Czy są na nią za duże?

- O parę mil.

Kitty roześmiała się, a gdy Waddington przetłumaczył to, Mandzurka i *amah* również serdecznie się uśmieły.

Nieco później, gdy wracali razem, Kitty zapytała Waddingtona:- Czemu mi pan nie mówił o swym przywiązaniu do niej?

- A skąd pani wie o tym?

- Wyczytałam to w pańskich oczach. Czyż to nie dziwne? Zupełnie, jak gdyby się kochało jakąś marę, senne widzenie. Mężczyźni są doprawdy nieobliczalni,

uważałam pana zawsze za przeciętnie zrównoważonego człowieka, a teraz widzę, że nie znałam pana zupełnie.

Gdy zbliżali się do bungalowu, Waddington zapytał nagle:

- Dlaczego pani pragnęła ją poznać? Kitty zawahała się, zanim odpowiedziała.

- Poszukuję czegoś, sama nie wiem czego. Ale wiem, że jest to rzecz tak wielkiej wagi dla mnie, że gdybym ją zdołała zgłębić i odnaleźć, całe moje życie uległoby wielkiej przemianie. Możliwe, że zakonnice znają tę prawdę. Gdy jestem pośród nich, mam wrażenie, że posiadły jakąś tajemną wiedzę, której nie chcą mi udzielić. Nie wiem, dlaczego przyszło mi na myśl, że gdyby mi było dane ujrzeć tę mandżurską niewiastę, zdołałabym może uchwycić błysk owej poszukiwanej prawdy. Podzieliłaby się może ze mną swoją wiedzą.

- Dlaczego pani przypuszcza, że ona jest tej prawdy świadoma?

Kitty spojrzała nań spod oka i zamiast odpowiedzi rzuciła mu nowe pytanie:

- A czy pan zna tę prawdę? Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Tak. Jedni poszukują prawdy w Bogu, drudzy w opium lub whisky, a niektórzy w miłości. Pomimo pozornej różnorodności jest to jedna i ta sama „Droga Poszukiwań”, która nigdzie nie prowadzi.

LIX

Kitty wciągnęła się ponownie w rutynę swej pracy i choć rankami czuła się niezupełnie dobrze, nie wpływało to na jej energię życiową. W zdziwienie wprawiało ją zainteresowanie jej osobą, okazywane obecnie przez wszystkie zakonnice. Siostry, które spotykając ją dawniej na korytarzu, pozdrowiały zaledwie przelotnym „dzień dobry”, obecnie pod lada pretekstem wchodziły do pokoju, zamieniając z nią kilka

słów, przyglądały się jej z pełnym czułości, naiwnym podnieceniem. Siostra Józefa wciąż do znudzenia powtarzała, jak to już dość dawno mówiła sobie: „no, ciekawa jestem, czy” albo „nie dziwiłoby mnie to wcale, gdyby”; a wtedy, gdy Kitty zemdlała, powiedziała przecież od razu: „Nie ma żadnej wątpliwości, to bije w oczy”.

Opowiadała Kitty rozwlekłe historie o licznych rozwiązaniach swej bratowej, które, gdyby nie jej wrodzone poczucie humoru, przerażyłyby Kitty nie na żarty. Siostra Józefa łączyła w sobie dość szczęśliwie realne spojrzenie na świat, wyniesione z rodzinnej wioski (rzeka wiała się pośród łąk ojcowskiej zagrody, a liście topoli, stojących nad jej brzegiem, drżały przy najłżejszym podmuchu wiatru), z czarującym spoufaleniem się ze sprawami religijnymi. Pewnego dnia w przekonaniu, że heretyczka musi być zupełnie nieświadomiona, opowiedziała Kitty o Zwiastowaniu.

- Nigdy nie mogę bez łez czytać tych wersów Pisma Świętego - rzekła siostra Józefa. - Nie wiem sama dlaczego, ale budzą one we mnie takie dziwne wzruszenie.

Po czym po francusku, w słowach, które w ustach Kitty brzmiały nieco obco i zimno, przytoczyła ustęp z Ewangelii według św. Łukasza:

„I wszedłszy, Anioł do niej rzekł: Bądź pozdrowiona łaski pełna. Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami”.

Misterium poczęcia przeszło przez klasztor jak swawolny wietrzyk pośród białego kwiecia sadu. Myśl o tym, że Kitty spodziewa się dziecięcia, poruszyła i podnieciła te bezpłodne kobiety. Kitty budziła w nich teraz pewien lęk i czarowała je zarazem. Zakonnice, jako nieodrodne córki rolników i rybaków, zapatrywały się na fizyczną stronę jej stanu z krzepką trzeźwością, ale dziecięco naiwne ich serca przepełnione były czcią niewysłowioną. Myśl o brzemienności! Kitty ciążyła im i jednocześnie napełniała błogim uczuciem dziwnego uszczęśliwienia. Siostra Józefa powiedziała Kitty, że wszystkie modlą się za nią, a siostra Marcina wyraziła żal, że Kitty nie jest katoliczką, za co matka przełożona ją skarciła. „Można być zacną niewiastą - *une brave femme* - powiedziała -nawet gdy się jest protestantką, a Pan Bóg w swej łasce już wszystkiemu zaradzi”.

Kitty wzruszało i poniekąd bawiło budzone przez nią zainteresowanie, ale nade wszystko dziwiło ją, że matka przełożona, tak surowa w swej świątobliwości, również okazuje jej obecnie większą troskliwość. Była i dawniej bardzo dobra dla Kitty, ale trzymała ją zawsze w pewnym oddaleniu; teraz obchodziła się z nią nieomal z macierzyńską czułością. W jej głosie brzmiała jakaś nowa łagodna nuta, w oczach przebiegały nagle żartobliwe błyski, jak gdyby Kitty była dzieckiem, które zdołało dokonać rzeczy nad wiek udatnej. Było w tym coś przedziwnie wzruszającego. Dusza matki przełożonej, podobna spokojnemu morzu, toczącemu swe ciemne fale w budzącym grozę majestacie, ożywiła się i rozpogodziła, jakby musnął ją promień słońca. Często teraz pod wieczór przychodziła do Kitty i siadała przy niej.

- Muszę uważać, by się pani nie przemęczyła, *mon enfant* - tłumaczyła się - boby mi doktor Fane nigdy tego nie wybaczył. Prawdziwy z niego Anglik: nigdy nie pokaże po sobie, co czuje. Przecież wiem, że jest bezgranicznie uszczęśliwiony, a jak mu wspomnieć o tym, to blednie.

Ujęła rękę Kitty i głaskała ją czule.

- Mówił mi doktor Fane, że chciał, by pani wyjechała, a pani nie zgodziła się na to, bo ciężko jej było rozstać się z nami. To bardzo pięknie ze strony pani. Drogie dziecko, chcę, żeby pani wiedziała, jak bardzo cenimy jej współpracę. Myślę jednak, że pani nie chciała też opuścić męża, co jest bardzo słuszne; miejsce pani jest przy jego boku, a jest mu pani teraz bardzo potrzebna. Doprawdy, nie wiem, jakbyśmy sobie poradziły bez tego cudownego człowieka.- Jestem niezmiernie rada, że mój mąż zdołał przysłużyć się klasztorowi - rzekła Kitty.

- Powinna go pani kochać całym sercem. To święty człowiek.

Kitty uśmiechnęła się, tłumiąc jednocześnie westchnienie. Jedno już tylko mogła uczynić dla Waltera, lecz nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Pragnęła, by jej przebaczył, nie tyle dla niej, ile raczej dla siebie samego; czuła, że tylko to jedno może przywrócić mu spokój ducha. Daremnie prosiłaby go teraz dla jego dobra

bardziej niż ze względu na siebie samą, jego uparta próżność na pewno by jej prośbę odrzuciła - próżność Waltera dziś już nie budziła w niej gniewu, powiększała raczej jej litość. Całą nadzieję pokładała teraz w jakimś szczęśliwym wypadku, który by go zaskoczył niespodziewanie. Przypuszczała, że sam powitałby z zadowoleniem wybuch wzruszenia, który zdołałby go uwolnić od tej zmory mściwej niechęci. Ale wiedziała zarazem, że w swym godnym pożałowania szaleństwie ze wszystkich sił będzie się bronił przed napływem takiego wzruszenia. Życie jest tak krótkie i pełne bólu. Jakież to smutne, że ludzie z własnej woli dodają do niego takie męki.

LX

Jakkolwiek matka przełożona wszystkiego ze trzy czy cztery razy nieco dłużej rozmawiała z Kitty, wrażenie, jakie na niej wywarła, było bardzo silne. Charakter jej był podobny do owych okolic, które zrazu wydają się nam wspaniałe, lecz nieogóścinne, z czasem jednak odkrywamy w nich małe uśmiechnięte wioski pośród drzew owocowych, tulące się u podnóża majestatycznych gór, i pełne wdzięku strumyki szemrzące pogodnie wśród bujnych łąk zieleni. Ale te uspokajające szczegóły nie wystarczają, byśmy się zadowolili w krainie nagich wyżyn i szerokich, obmiotanych wiatrem przestrzeni. Spoufalić się z matką przełożoną było niepodobieństwem. Zdawała się żyć w zupełnym oderwaniu od siebie samej - rys zauważony przez Kitty po części u wszystkich zakonnic, nawet u wesołej, gadatliwej siostry Józefy, ale u matki przełożonej doprowadzony do takiej potęgi, że stanowił wprost dotykálną przegrodę oddzielającą od niej zwykłych śmiertelników. Chłodem czci i lęku musiała przejąć każdego myśl o tym, że ta istota chodząca obok nas po ziemi i na pozór sprawom ziemskim oddana wie dzie swój byt istotny na innej zupełnie, nieosiągalnej

dla nas płaszczyźnie. W pewnej chwili powiedziała do Kitty:

- Nie dość jest obcować nieustannie w modlitwie z Chrystusem; zakonnica sama w sobie powinna być całą modlitwą.

Rozmowa ich często schodziła na tematy religijne, ale matka przełożona nie czyniła prób nawrócenia heretyczki. Nieraz dziwiło to nawet Kitty, że osoba tak pełna miłosierdzia nie usiłuje wyprowadzić jej ze stanu, który na pewno uważa za przebywanie w grzechu.

Pewnego wieczoru siedziały razem. Dni były coraz krótsze, a miękkie światło wieczorne wiewało do pokoju jakiś dziwny smutek. Po matce przełożonej znać było silne zmęczenie. Tragiczna jej twarz była śmiertelnie blada, a piękne ciemne oczy straciły swój zwykły ogień. Widocznie znużenie usposobiło ją do zwierzeń.

- Dzień dzisiejszy jest dla mnie pamiętną datą -rzekła, ocknąwszy się z dłuższego zamyślenia. -Jest to rocznica dnia, w którym powzięłam ostateczną decyzję wstąpienia do zakonu. Od dwóch lat myślałam już wówczas o tym, ale wstrzymywał mnie lęk przed własną niestałością; obawiałam się, by duch ponęt tego świata nie nawiedził mnie poniewczasie. Ale tego ranka przy komunii ślubowałam, że nim słońce zajdzie, powiem matce o swym zamiarze. Przyjąwszy komunię świętą, prosiłam Boga, by mi zesłał spokój ducha. I wtedy zdało mi się, że słyszę odpowiedź: „Otrzymasz spokój ducha, gdy go pragnąć przestaniesz”.

Matka przełożona pograżyła się we wspomnieniach przeszłości.

- Tego dnia jedna z moich znajomych, pani de Viernot, wyjechała bez wiedzy swej rodziny, by wstąpić do klasztoru na Karmelu. Wiedziała, że krewni są przeciwni jej zamiarom, ale będąc wdową, sądziła, że ma prawo postąpić według własnego uznania. Jedna z moich kuzynek poszła pożegnać drogiego zbiega i wróciła późnym wieczorem, niezmiernie wzruszona. Nie mówiłam dotąd jeszcze nic matce o swoich zamysłach i nie wiedziałam, jak spełnić przyrzeczenie dane sobie przy komunii świętej. Zasypałam kuzynkę gradem pytań. Matka moja, pozornie zatopiona w swym hafcie, nie traciła ani słówka z naszej rozmowy. Rozmawiałam, a jednocześnie

myślałam o tym, że jeśli dziś chcę powiedzieć matce, nie mam chwili do stracenia. Dziwne to, że tak żywo przypominam sobie tę scenę. Siedziałyśmy wszystkie przy stole, pokrytym czerwonym obrusem, haftując przy świetle lampy ocienionej zielonym abażurem. Dwie kuzynki gościły u nas i pracowałyśmy wszystkie nad haftem, którym miały być pokryte meble w naszym salonie. Niech pani sobie wyobrazi, że pokrycie to nie było odnawiane od czasu panowania Ludwika XIV, kiedy te meble zostały kupione; były oczywiście strasznie zniszczone, matka moja utrzymywała, że to po prostu wstyd. Usiłowałam zmusić się do wypowiedzenia paru słów, ale nie mogłam poruszyć wargami. Po kilku minutach milczenia matka powiedziała nagle, zwracając się do mnie: „Doprawdy, nie mogę zrozumieć postępowania twojej przyjaciółki. Nie podoba mi się ten wyjazd cichaczem, bez uprzedzenia rodziny, która ją tak kocha. Jest to gest teatralny i wprost niesmaczny. Dobrze wychowana kobieta nie uczyni nic takiego, *co* by dać mogło ludziom powód do mówienia o niej. Mam nadzieję, że gdybyś kiedyś ku naszemu wielkiemu zmartwieniu chciała nas opuścić, nie uciekłabyś potajemnie, jak jaki złoczyńca”. Była to chwila odpowiednia do wypowiedzenia moich zamiarów, ale zabrakło mi odwagi i powiedziałam tylko: „Bądź spokojna, mamo, nie miałabym dość siły na to”.

Matka moja nic nie odpowiedziała, a ja byłam pełna skruchy, że przemilczałam i tym razem. Zdawało mi się, że słyszę słowa Pana naszego, które rzekł do świętego Piotra: „Piotrze, zali miłujesz mnie?”. Jakże jestem słaba i niewdzięczna! Miłuję wygodę, swoje zbyt kowne życie, rodzinę i rozrywki! Zapamiętałam się w tych gorzkich rozważaniach, gdy wtem matka moja odezwała się, jak gdyby poprzednia rozmowa nie uległa żadnej przerwie: „A jednak, Odetto moja, wierzę, że zanim umrzesz, dopełnisz jakiegoś czynu, który przetrwa”.

Kuzynki moje haftowały spokojnie, nie domyślając się trwogi przyśpieszającej bicie mego serca. Matka, opuszczając nagle robotę na kolana, spojrzała uważnie na mnie i dodała: „Drogie dziecię, jestem pewna, że zostaniesz kiedyś zakonnica”.

„Mamo kochana, czy mówisz to na serio? - odpowiedziałam. - Odkrywasz

najskrytsze myśli moje i najdroższe pragnienia mego serca".

„Tak, tak - przerwały mi kuzynki. - Już od dwóch lat Odetta o niczym innym nie myśli. Ale ciocia nie pozwoli na to, nieprawdaż?”.

„Kochane dzieci, jakim prawem moglibyśmy odmówić przyzwolenia, jeśli taka jest wola Boga?”.

Kuzynki, chcąc obrócić wszystko w żart, zaczęły mnie wypytywać, co uczynię z rozmaitymi drobiazgami stanowiącymi moją własność i wesoło sprzeczały się o to, kto jaką rzecz dostanie. Ale ta sztuczna wesołość nie dała się długo utrzymać i rozplakałyśmy się wszystkie. Wtem usłyszałyśmy kroki ojca na schodach.

Matka przełożona przerwała na chwilę opowiadanie i westchnęła.

- Dla ojca był to cios niemały. Byłam jedynaczką, a mężczyźni często dla córek mają głębsze uczucie niż dla synów.- W ogóle jest wielkim nieszczęściem mieć serce - rzekła z uśmiechem Kitty.

- Jest wielkim szczęściem poświęcić serce miłości Jezusa Chrystusa.

W tej chwili zbliżyła się do matki przełożonej mała dziewczynka i z ufnością pokazała jej jakąś dziwną zabawkę, skądś wydobytą. Matka przełożona objęła dziewczynkę swymi pięknymi rękami, a dziecko przytuliło się do niej. Kitty podziwiała jej uśmiech, tak słodki, jakby z zaświatów.

- Jakże piękne jest to uwielbienie, jakim te sieroty otaczają matkę - rzekła Kitty. - Byłabym bardzo dumna, gdybym zdołała wzbudzić tak wielką miłość.

I znowu jeden z tych oderwanych od świata, a tak pięknych uśmiechów rozjaśnił twarz matki przełożonej.

- Jeden jest tylko sposób zyskania serc. Musimy się stać takie jak te, których miłości pragniemy.

Tego wieczoru Walter nie wrócił do domu. Kitty czekała nań jakiś czas z obiadem, zawiadamiał ją bowiem zwykle, ilekroć zajęcia zatrzymywały go w mieście, jednak w końcu zmuszona była zasiąść sama do stołu. Zaledwie dotknęła licznych dań, z których chiński kucharz, dbały o honor domu, pomimo drożyzny i trudności aprowizacyjnych pracowicie układał obiady. Po czym, rozłożywszy się na trzcinowym leżaku przy otwartym oknie, oddała się kontemplacji pięknej gwiazdzistej nocy. Cisza działała na nią kojąco.

Snuły jej się po głowie myśli, przelotne i pierzchliwe jak białe obłoczki przesuwane nad cichą powierzchnią jeziora. Była zbyt znużona, by przytrzymać którąkolwiek i przypatrzeć się jej bliżej. Przez chwilę myślała o wrażeniu wyniesionym z klasztoru. Sposób życia zakonnice wzruszał ją niezmiernie, ale wiara, pod której natchnieniem prowadziły swoją zbożną pracę, nie przemawiała do niej zupełnie. Ani na chwilę nie mogła sobie wyobrazić, by kiedykolwiek była zdolna do religijnego entuzjazmu. Westchnęła lekko na tę myśl. O ileż łatwiej byłoby żyć w słońcu takiej wszystko obejmującej wiary! Nieraz już brała ją chęć, by zwierzyć się matce przełożonej ze swych przejść moralnych, ale brakło jej odwagi. Myśl, że ta surowa niewiasta zapewne ją potępi, przejmowała lękiem. Rozumiała, że w oczach matki przełożonej czyn ten był ciężkim grzechem. Osobiście uważała, że postępowanie jej nie było tak dalece grzeszne, ale raczej głupie i brzydkie.

Widocznie skutek jakiejś moralnej tępoty, Kitty, mimo że uważała swój stosunek z Townsendem za godny pożałowania i nieprzyzwoity, nie czuła jednak żadnej skruchy. Trzeba to po prostu wymazać z pamięci i basta. Zupełnie, jak gdyby się popełniło jakiś nietakt towarzyski; jest to bardzo przykre, ale przecież nic na to nie można poradzić. Więc po cóż głowić się nad tym? Ilekroć przed oczyma jej

wyobraźni stawał teraz Karol, trzęsa się ze wstrętu. Widziała obecnie w zupełnie innym świetle niż dawniej jego okazałą, zbyt zażywną postać, szczękę niewyraźnie zarysowaną, z wybitnym piętnem słabej woli, i nadmierne wyprostowanie torsu, z którego pomocą starał się ukryć narastający brzuszek. Zdradzające krwisty temperament drobne czerwone żyłki zapowiadały w niedalekiej przyszłości pokrycie twarzy rumianą siatką. Znajdowała ongiś upodobanie w jego gęstych brwiach, dziś widziała w nich coś zwierzęcego i odpychającego.

A przyszłość? Dziwna rzecz, jak dalece obojętne jej było, co się z nią stanie. Wyobraźnia w ogóle odmawiała w tym kierunku pomocy. Może umrze, gdy powije dziecię? Siostra jej, Doris, była zawsze o wiele silniejsza od niej, a jednak omal nie przypłaciła życiem urodzenia dziecka. Spełniła swój obowiązek, wydając na świat spadkobiercę świeżo upieczonego tytułu. Kitty uśmiechnęła się na myśl o zadowoleniu swej matki. Może dlatego przyszłość wydawała się tak mglista, że jej nie dożyje? Walter zapewne poprosi matkę o zaopiekowanie się dzieckiem - o ile będzie żyło - a znając Waltera, wiedziała, że pomimo niepewności swego ojcostwa będzie pełen dobroci i troskliwości dla tego maleństwa. Zawsze i wszędzie zachowywał się wzorowo.

Jaka szkoda, że Walter, pozbawiony jakiegokolwiek egoizmu, wysoce szlachetny, inteligentny i uczuciowy, pomimo tych wszystkich wyjątkowych zalet nie jest pociągający. Nie bała się go już teraz wcale, litowała się nad nim, ale jednocześnie nie mogła odpędzić myśli, że jest nierozsądny. Głęboka uczciwość czyniła go nadzwyczaj wrażliwym, Kitty ufała, że prędzej czy później zdoła ja-koś wyzyskać tę jego wrażliwość, by otrzymać przebaczenie. Wierzyła, że przywróci mu w ten sposób spokój ducha, co będzie niejako odkupieniem win popełnionych względem małżonka. Szkoda tylko, że Walter jest tak zupełnie pozbawiony poczucia humoru. Kitty teraz już mogła sobie doskonale wyobrazić, jak to kiedyś oboje będą się śmiali z cierpień, które dziś sobie nawzajem sprawiają.

Była bardzo zmęczona. Zabrała lampę do swojego pokoju i zrzuciwszy ubranie

zaledwie, zdążyła przyłożyć głowę do poduszki, a już ogarnął ją sen.

LXII

Zbudziło ją głośnie pukanie. Z początku była tak zasnana, że stuk ten wplótł się w jej senne marzenie. Ale po chwili zdała sobie sprawę, że ktoś puka do wrót. Było zupełnie ciemno. Na zegarku o świecących wskazówkach zobaczyła, że jest już wpół do trzeciej. Widocznie Walter wrócił - jakże późno - i nie może dobudzić się boya. Pukanie stawało się coraz głośniejsze i coraz bardziej niecierpliwe. Wśród tej nocnej ciszy było w nim coś dziwnie przerażającego. Nagle stukanie ucichło i Kitty usłyszała odsuwanie ciężkich rygli. Jeszcze nigdy Walter nie wrócił do domu tak późno. Biedaczek, jakież musi być zmęczony! Miała nadzieję, że będzie dość rozsądny i zaraz się położy spać, nie wstępując już do swego laboratorium, gdzie zwykle po nocach pracował. Słysząc było jakieś głosy, jak gdyby kilka osób weszło do domu. To dziwne. Walter, ilekroć zdarzyło mu się wracać późno, zachowywał się bardzo cicho, by jej nie budzić. Rozległy się kroki kilku ludzi biegnących szybko po schodach, po czym słyszała, że weszli do przyległego pokoju. Kitty przełękła się. W głębi jej duszy tkwiła nieustanna obawa jakichś zamieszek i buntów przeciw obcym przybyszom. Czyż się coś stało? Serce jej zaczęło tłuc się niespokojnie. Ale zanim zdążyła uświadomić sobie obawy, ktoś zapukał do jej drzwi.

- Pani Fane!

Poznała głos Waddingtona.

- Co się stało?

- Proszę, niech pani zaraz wstanie. Mam pani coś do powiedzenia.

Wstała i zarzuciła na siebie szlafroczek. Otworzyła drzwi. Spostrzegła

Waddingtona w chińskich spodniach i jedwabnym surducie, za nim boya z latarnią, w głębi trzech żołnierzy w mundurach khaki. Kitty zadrżała na widok zmieszanej twarzy Waddingtona. Włosy miał potargane, jak gdyby dopiero co wyskoczył z łóżka.

- Co się stało? - wybełkotała.

- Proszę, niech pani stara się zachować spokój. Nie ma chwili do stracenia.

Musi pani ubrać się natychmiast i pójść ze mną.

- Ale co się właściwie stało? Czy jakieś rozruchy w mieście?

Widok żołnierzy naprowadził ją na myśl o buncie; sądziła, że przybyli jej bronić.

- Mąż pani zachorował. Obecność pani jest niezbędna. - Walter? - krzyknęła.

- Proszę, niech się pani nie denerwuje. Sam nie wiem dokładnie, jak się rzeczy mają. Pułkownik Yu przysłał do mnie tego oficera z prośbą, bym panią niezwłocznie przyprowadził do Yamenu.

Kitty patrzyła nań przez chwilę nieprzytomnie, czuła, że serce jej lodowacieje, po czym zawróciła ku drzwiom swego pokoju.

- Za chwilę będę gotowa.

- Przyszedłem w tym, w czym byłem. Zaledwie zdążyłem narzucić na siebie jakiś surdut i wdziać buty.

Kitty nie słyszała, co powiedział. Ubierała się przy świetle gwiazd, chwytając, co się znalazło pod ręką. Palce jej tak zdrętwiały, że z trudem domykała zatrzaski sukni; owinęła się w ten sam szal chiński, który miała wieczorem.

- Nie biorę kapelusza, chyba niepotrzebny.

- Nie.

Boy przyświecał im latarnią, zbiegli prędko ze schodów i wyszli za wrota.

- Niech pani uważa, żeby nie upaść - rzekł Waddington - może mnie pani lepiej weźmie pod rękę.

Żołnierze szli tuż za nimi.

- Pułkownik Yu przysłał lektyki, czekają na nas na przeciwległym brzegu.

Pośpiesznie schodzili ze wzgórza. Kitty nie miała odwagi zadać pytania, które przez cały czas drżało na jej ustach. Zdejmował ją lęk śmiertelny przed odpowiedzią. Dopiero, gdy przybyli na brzeg rzeki, gdzie czekał na nich sampan z bladym światłem latarni na przodzie, zdobyła się na pytanie:

- Czy to cholera?- Obawiam się, że tak. Krzyknęła i stanęła jak wryta.

- Niech pani się nie zatrzymuje, nie mamy ani chwili do stracenia.

Podał jej rękę przy wsiadaniu do łódki. Przeprawa trwała niedługo, rzeka była prawie nieruchoma; skupili się wszyscy na baku, kobieta z dzieckiem przywiązany do biodra popychała pojedynczym wiosłem łódź.

- Zachorował dziś po południu, to jest wczoraj - rzekł Waddington

- Dlaczego nie posłano po mnie natychmiast?

Mimo woli przemawiali do siebie szeptem. Poprzez ciemności Kitty odczuła intensywny niepokój towarzysza.

- Pułkownik Yu chciał zaraz posłać po panią, ale Walter nie pozwolił.

Pułkownik Yu przez cały czas jest przy nim.

- Pomimo to powinien był posłać po mnie. To jest brak serca z jego strony.

- Walter wiedział, że pani nigdy jeszcze nie była obecna przy wypadku cholery.

To jest straszny i wstrętny widok. Nie chciał narażać pani na Coś podobnego.

- Bądź co bądź jest przecież moim mężem -rzekła z łkaniem w głosie.

Waddington nie odpowiedział.

- A dlaczego teraz po mnie posłano? Waddington położył rękę na jej ramieniu.

- Droga pani, niech pani zbierze całą swoją odwagę, musi pani być przygotowana na najgorsze.

Odwróciła się z jękiem rozpacz; trzej żołnierze patrzyli na nią, lyskając przeraźliwie białkami oczu.- Czy umiera?

- Wiem tylko to, co mi powiedział oficer przysłany przez pułkownika Yu. Jak mogłem wywnioskować z jego słów, nastąpiła zupełna utrata sił.

- Czy nie ma nadziei?

- Droga pani, obawiam się, że jeśli się nie pośpieszymy, możemy nie zastać go już przy życiu.

Wzdrygnęła się. Łzy spływały po jej twarzy.

- Widzi pani, był tak przepracowany, że stracił zupełnie odporność.

Wysunęła ramię spod ucisku jego ręki. Cichy, przerażony głos Waddingtona drażnił ją w najwyższym stopniu.

Dobili do brzegu. Dwaj chińscy kulisi pomogli jej wysiąść. Lektyki czekały na nich. Gdy Kitty wysiadała ze swojej, Waddington powiedział:

- Niech pani stara się zapanować nad swymi nerwami. Cała moc ducha będzie pani potrzebna.

- Niech pan powie tragarzom, by przyśpieszyli kroku.

Otrzymali rozkaz najwyższego pośpiechu.

Oficer wysunął się naprzód w swej lektyce, a mijając ich, zawołał na tragarzy. Kulisi szybko podnieśli lektykę Kitty i ruszyli prędkim krokiem. Waddington był tuż za nią. Człowiek z latarnią poprzedzał każdą lektykę. Biegiem wspięli się na pagórek; przy wrotach stał dozorca z pochodnią. Oficer z daleka rzucił mu głośny rozkaz, dozorca otwarł pośpiesznie jedno skrzydło bramy, by ich przepuścić, krzyknął coś, gdy go mijali i tragarze odpowiedzieli mu również okrzykiem. Wśród ciszy nocnej te gardłowe dźwięki w obcym języku brzmiały dziwnie tajemniczo i przeraźliwie. Posuwali się po mokrych i śliskich kocich łbach uliczki. Jeden z kulisów niosących oficera potknął się. Kitty usłyszała gniewny głos mężczyzny i piskliwą odpowiedź kulisa, po czym poprzedzająca ją lektyka pomknęła szybko naprzód. Uliczki były wąskie, kręte i ciemne. Miasto umarłych! Szli jakimś wąskim zaułkiem. Na rogu skręcili, wbiegli po jakichś stopniach; tragarze zaczęli dyszeć ze zmęczenia, maszerowali w milczeniu długimi, szybkimi krokami; jeden z kulisów wyjął podartą chustkę i wycierał z czoła pot zalewający mu oczy; skręcali to w prawo, to w lewo, zdawało się, że błądzą w jakimś labiryncie. Tu i ówdzie poprzez zasunięte żaluzje

sklepów majaczył jakiś leżący kształt nieruchomego ciała. I nie wiadomo było, czy świt go zbudzi, czy też zasnął na wieki. Puste, wąskie ulice czyniły dziwnie widmowe wrażenie, a gdy nagle odezwało się głośne szczekanie jakiegoś psa, groza przeniknęła udręczone nerwy Kitty. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Droga zdawała się nie mieć kresu. Czyż nie można było iść prędzej? Prędzej. Czas ucieka, za chwilę może być za późno.

LXIII

Nagle, przesunawszy się wzdłuż wysokiego białego muru, dotarli do wrót z dwiema budkami strażniczymi po bokach i tragarze opuścili lektyki na ziemię. Waddington pobiegł do Kitty, która wyskoczyła już z lektyki. Oficer zastukał mocno do drzwi i krzyknął. Rozwarła się furтка i weszli na obszerny kwadratowy podwórzec. Stłoczeni pod murem w cieniu wystających dachów leżeli tu żołnierze, poowijani w koce. Zatrzymali się na chwilę, podczas gdy oficer zamienił parę słów z człowiekiem wyglądającym na pełniącego wartę sierżanta, po czym oficer powiedział coś Waddingtonowi.

- Żyje jeszcze - rzekł Waddington z cicha. - Niech pani stąpa uważnie.

Poprzedzani przez ludzi niosących latarnie przeszli przez podwórzec, parę stopni w górę przez szerokie wrota i przedostali się na nowe obszerne podwórzec. Po jednej stronie widać było podłużny oświetlony pokój; światło palące się wewnątrz, przeświecając przez różowy papier, zarysowywało kunsztowny deseń kraty okiennej. Latarnicy przeprowadzili ich przez podwórzec do tego pokoju i oficer zapukał do drzwi. Otworzono im natychmiast i oficer, spojrzawszy na Kitty, cofnął się.

- Proszę, niech pani wejdzie - rzekł Waddington.

Pokój był długi i niski; kopzące lampy, które go oświetlały, nadawały mu przerażająco ponury wygląd. Kilku pielęgniarzy czuwało. Naprzeciw drzwi na tapczanie pod ścianą leżał ktoś owinięty w kołdrę. Oficer stał zastygły w bezruchu u nóg chorego.

Kitty podbiegła i pochyliła się nad tapczanem. Walter leżał z zamkniętymi oczami. Twarz jego w tym ponurym oświetleniu miała szarozieloną bladość. Nie poruszał się. - Walterze, Walterze - wybełkotała cichym, przerażonym głosem.

Lekkie drżenie przebiegło jego ciało, cień ruchu, tak lekki jak tchnienie wietrzyka, którego się nie czuje, choć zmarszczy na sekundę powierzchnię cichej wody.

- Walterze, Walterze, przemów do mnie!

Jego oczy otworzyły się z wolna, gdy z niesłychanym wysiłkiem podniósł ciężkie powieki, ale nie spojrzał na nią. Wpatrzył się w ścianę przed sobą. Przemówił. Głos jego, cichy i słaby, miał w sobie jakby odcień śmiechu.

- Ładny bigos - powiedział.

Kitty nie śmiała odetchnąć. Nie dodał nic więcej, nie uczynił żadnego gestu, a oczy, te ciemne, zimne oczy - któż wie, jakie tajemnice teraz widzące - wpatrywały się dalej w pobieloną ścianę. Kitty podniosła się z pobladłą twarzą; spojrzała na stojącego u stóp łoża mężczyznę.

- Muszą być przecież jakieś środki. Niepodobna tak stać beczynnienie.

Załamala ręce. Waddington zamienił parę słów z oficerem stojącym przy łożu.

- Lękam się, że' uczynili wszystko, co było można. Lekarz pułkowy leczy go. Małżonek pani sam go uczył; zastosował wszystko, co mąż pani by zaordynował.

- Czy to jest ten lekarz?

- Nie, to jest pułkownik Yu . Ani na chwilę nie opuścił Waltera.

Kitty spojrzała machinalnie na pułkownika. Wysokiego wzrostu, masywnie zbudowany, widocznie nie przyzwyczał się jeszcze do swego munduru i czuł się w nim nieswojo. Patrzył na Waltera i Kitty zauważyła, że oczy jego były pełne łez.

Zabolało ją to i zirytowało.

- Ta bezsilność jest okropna.

- Przynajmniej nie cierpi już teraz - rzekł Waddington.

Nachyliła się ponownie nad tapczanem. Upiorne oczy wciąż patrzyły bezmyślnie przed siebie. Trudno było orzec, czy widzi i czy słyszy, co mówią. Przyłożyła usta do jego ucha.

- Walterze, czy nie ma jakiego środka, który by można zastosować?

Sądziła, że musi być przecież jakiś lek, za pomocą którego można by było powstrzymać ten przerażający ubytek sił. Teraz, gdy oczy jej przyzwyczyły się już nieco do mroku, spostrzegła, że twarz jego strasznie zapadła. Był zmieniony nie do poznania. Niepodobna było wprost zrozumieć, że w ciągu tak krótkiego czasu mogła zajść taka zmiana w człowieku. To nie był już człowiek, to była sama śmierć.

Widząc, że usiłuje coś powiedzieć, przyłożyła ucho do jego ust.

- Nie martw się. Miałem kilka ciężkich chwil, ale teraz już nie cierpię wcale.

Kitty czekała jeszcze chwilę, ale nic więcej nie powiedział. Bezruch Waltera rozdzierał jej serce; przerażało ją to, że leży tak bezwładnie i w milczeniu, jak gdyby przygotowany na ciszę mogiły. Któryś z sanitariuszy zbliżył się, usunawszy gestem Kitty, pochylił nad umierającym i brudną szmatą zwilżył jego wargi. Kitty z rozpaczą zwróciła się do Waddingtona. - Czy nie ma już żadnej nadziei? - szepnęła. Potrząsnął głową.

- Jak długo jeszcze może żyć?

- Trudno określić. Może z godzinę.

Kitty obrzucała spojrzeniem nędzny pokój, oczy jej zatrzymały się przez chwilę na zażywej postaci pułkownika Yu .

- Czy nie mogłabym zostać z nim sama? - zapytała Waddingtona. - Na małą chwilkę.

- Naturalnie, jeżeli pani sobie tego życzy. Waddington zbliżył się do pułkownika i zamienił z nim parę słów. Pułkownik ukłonił się, po czym wydał cichy

rozkaz.

- Będziemy czekali na schodkach - rzekł Waddington, gdy wychodzili. - Niech nas pani zawoła.

Jak nagła trucizna płynąca w żyłach przeniknęła duszę Kitty straszna świadomość. Walter umiera. Jedną już tylko myśl w niej pozostała: jak śmierć tę uczynić dlań łżejszą, jak usunąć z duszy jego ten jad zawziętości. Nie o sobie myślała w tej chwili, tylko o nim. Rozumiała, że jeśli pogodzi się z nim przed śmiercią, Walter umrze spokojnie.

- Walterze, błagam cię, przebacz mi - mówiła, pochylając się nad nim lekko, by go nie urazić niestosownym dotknięciem - tak strasznie żałuję krzywdy, którą ci uczyniłam. Tak gorzko, tak nieskończenie żałuję.

Nie odpowiedział. Zdawał się nie słyszeć. Dusza jego najwidoczniej była już na wylocie, jak ćma ze skrzydłami obciążonymi nienawiścią.

- Kochanie moje...

Cień przemknął po jego zwiędłej i zapadłej twarzy. Było to zaledwie dostrzegalne drgnięcie, a jednak jej zdało się, że straszny grymas przebiegł jego rysy. Nigdy jeszcze nie przemawiała do niego w ten sposób. Może przez jego konający mózg przeniknęło niewyraźne wspomnienie, że tym pieszczotliwym wyrazem posługiwała się dawniej jedynie względem dzieci, psów lub samochodów. I nagle dwie ciężkie łzy spłynęły po jego wychudzonych policzkach.

- Drogi mój, najukochańszy, jeśli kiedykolwiek kochałeś mnie - a wiem, że mnie kochałeś, choć nie zasługiwałam na to - błagam cię, przebacz mi. Nie wiem, w jaki sposób dowieść ci mej skruchy. Zlituj się nade mną. Błagam cię, przebacz mi!

Zamilkła. Patrzyła na Waltera z zapartym oddechem, oczekując odpowiedzi. Widziała, że usiłuje przemówić. Serce jej tłukło się jak oszalałe. Zdawało jej się, że będzie to w pewnej mierze odkupieniem winy i cierpień, które mu zadała, jeśli w tej ostatniej chwili zdoła uwolnić jego duszę od tego brzemienia goryczy. Wargi jego poruszyły się. Nie patrzył na nią. Nic niewidzące oczy były wlepione w pobieloną

ścianę. Pochyliła się nad nim, by lepiej słyszeć. Ale powiedział zupełnie wyraźnie:

- A zdechł właśnie pies.

Skamieniała. Nie rozumiejąc tych słów, patrzyła nań zdumiona i przerażona. Przecież to było bez sensu. Bredził. Widocznie nie rozumiał ani słowa z tego, co powiedziała.

Leżał zupełnie nieruchomy. Czy żył jeszcze? Oczy było otwarte. Czy oddychał? Zdjął ją lęk.

- Walterze - szepnęła - Walterze!

Zerwała się i w nagłym przerażeniu pobiegła ku drzwiom.- Proszę, wejdźcie, panowie. On już, zdaje się... Weszli. Mały chiński chirurg podszedł do łoża i elektryczną latarką poświecił w oczy Waltera, po czym zakrył mu powieki. Powiedział coś po chińsku. Waddington podtrzymywał troskliwie Kitty.

- Zdaje się, że już skończył.

Kitty westchnęła ciężko. Była raczej odurzona niż przygnębiona. Chińczycy stali przy łóżku bezradnie, jakby nie wiedząc, co na razie czynić. Waddington milczał. Po chwili Chińczycy zaczęli coś mówić ze sobą po cichu.

- Pozwoli pani, że ją odprowadzę do bungalowu - rzekł Waddington. - Przyniosą go tam.

Kitty pełnym znużenia gestem przeciągnęła ręką po czole. Zbliżyła się do tapczanu i pochyliwszy się, ucałowała delikatnie usta Waltera. Nie płakała teraz.

- Przepraszam za kłopot, który wam sprawiam.

Oficerowie zaszalutowali, gdy przechodziła; odkloniła im się z powagą. Patrzyła, jak Waddington zapalił papierosa. Lekki dymek rozwiewający się w powietrzu, oto czym jest życie ludzkie.

Światło. Tu i ówdzie Chińczyk otwierał okiennice swego sklepu. W głębi przy świetle świecy jakaś kobieta myła sobie twarz i ręce. W herbaciarni na rogu kilku ludzi spożywało wczesne śniadanie. Szare zimne światło wstającego dnia skradało się jak złodziej wąskimi uliczkami. Przez gęstą mgłę nad rzeką maszty stłoczonych dżonek przeświecały jak lance jakiejś widmowej armii. Było chłodno i Kitty owinęła się w swój jaskrawy chiński szal. Wstępując na pagórek, znaleźli się ponad warstwą mgły. Słońce świeciło na bezchmurnym niebie. Świeciło jak co dnia, jak gdyby dzień ten niczym nie różnił się od innych dni, jak gdyby nie zaszło nic, co by mu miało nadać odmienną barwę.

- Czy nie wolałaby pani położyć się i odpocząć? - zapytał Waddington, gdy wchodzili do bungalowu.

- Nie. Siądę przy oknie.

Tak często w ciągu ostatnich tygodni przesiadywała przy tym oknie; jej oczy oswoiły się z fantastyczną jaskrawą, a tak piękną i tajemniczą świątynią przy wysokiej baszcie i dziś znajdowała w tym widoku odpoczynek dla ducha. Widok ten nawet w świetle południa miał w sobie coś tak bajkowego, że zapominało się przy nim o życiu rzeczywistym.

- Każę pani podać herbatę. Zdaje się, że będziemy musieli pochować go dziś jeszcze. Zajmę się wszystkim.

- Dziękuję panu.

Trzy godziny potem odbył się pogrzeb. Myśl o tym, że Walter został pochowany w chińskiej trumnie, była niewymownie przykra dla Kitty. Miała wrażenie, że będzie mu niewygodnie w tym drewnianym, obcym łożu, ale nie było na to rady. Zakonnice, zawsze dobrze poinformowane o tym, co się działo w mieście, dowiedziawszy się o śmierci Waltera, przysłały krzyż z georginii, sztywny i konwencjonalny, ale godny ręki doświadczonej kwiaciarki. Ten samotny krzyż na chińskiej trumnie był dziwacznym dysonansem. Gdy wszystko już było gotowe, musieli jeszcze czekać nieco na pułkownika Yu, który zawiadomił Waddingtona, że pragnie wziąć udział w pogrzebie. Przybył w towarzystwie adiutanta. Za trumną, niesioną przez sześciu kulisów, kondukt wspiął się na pagórek, gdzie na małym placu pochowany został poprzednik Waltera. Waddington znalazł w rzeczach zmarłego misjonarza angielski modlitewnik i cichym, niepewnym głosem odczytał modlitwy za umarłych. Być może, iż wypowiadając te uroczyste i groźne wyrazy, myślał o tym, że gdyby mu przyszło z kolei paść ofiarą epidemii, nie będzie miał nawet kto wykonać dla niego tej ostatniej posługi. Spuszczono trumnę do grobu i grabarze zaczęli rzucać na nią grudy ziemi.

Pułkownik Yu, który przez cały czas stał z obnażoną głową, włożył kapelusz, uklonił się z uszanowaniem Kitty i zamieniwszy parę słów z Waddingtonem, oddalił się wraz z adiutantem. Kulisi, przyglądający się dotąd z ciekawością chrześcijańskiemu pogrzebowi, zaczęli rozpraszać się, wlokąc za sobą swoje jarzma. Kitty i Waddington czekali, aż usypano mogiłę, po czym ułożyli na pachnącym świeżą ziemią pagórku pretensjonalne georginie zakonnice. Kitty nie płakała, aledy pierwsze grudki ziemi zastukały o trumnę, serce jej ścisnęło się straszliwie.

Widząc, że Waddington czeka na nią, zapytała:

- Czy pan się bardzo śpieszy? Wolałabym nie wracać jeszcze do bungalowu.
- Nie mam nic do roboty. Jestem całkowicie do pani usług.

LXVI

Udali się na szczyt pagórka, gdzie stała brama poświęcona pamięci cnotliwej wdowy. Pomnik ten uczynił w swoim czasie silne wrażenie na Kitty. Dziś w symbolu tym widziała pewną ironię.

- Może usiadzimy na chwilę. Dawno już nie byliśmy tutaj.

Przed oczyma jej rozciągała się szeroka równina, spokojna i jasna w świetle słonecznego dnia.

- Zaledwie kilka tygodni tu bawię, a mam wrażenie, że całe życie przez ten czas upłynęło.

Nie odpowiedział na to. Myśli Kitty błędziły bezradnie. Westchnęła.

- Czy wierzy pan w nieśmiertelność duszy? -zapytała.

Pytanie to zdawało się nie dziwić go wcale.

- Sam nie wiem.

- Przed chwilą, gdy obmywano Waltera, zanim go do trumny włożono, przyjrzałam mu się. Wie pan, wyglądał tak młodo. Za młodo, by umrzeć. Czy przypomina pan sobie tego żebraka, którego widzieliśmy podczas naszej pierwszej przechadzki? Przeraziłam się go nie dlatego, że był trupem, ale dlatego jedynie, że nie było w nim już nic ludzkiego. Wyglądał jak nieżywe zwierzę. A teraz znów, gdy patrzyłam na Waltera, wydał mi się jak maszyna, która skończyła bieg. Jest w tym coś przerażającego. A jeśli człowiek jest istotnie tylko maszyną, jakże błahie i niepotrzebne są te wszystkie jego cierpienia, bóle serdeczne i nędze!

Waddington nie odpowiadał; obejmował spojrzeniem krajobraz rozpościerający się u ich stóp. Szeroka przestrzeń w pogodnym świetle słonecznego poranka napełniła serce rozradowaniem. Jak daleko sięgało oko, leżały małe, starannie uprawione poletka ryżowe, na wielu z nich uwijały się w skrzętnej pracy postacie włościan w niebieskich szatach. Cała natura zdawała się dyszeć szczęściem i pokojem. Kitty przerwała milczenie.

- Nie mogę nawet powiedzieć, jak głęboko wzruszyło mnie wszystko, co widziałam w klasztorze. Te zakonnice są wprost nadzwyczajne, czuję się wobec nich zupełnie marną istotą. Porzuciły wszystko: dom, ojczyznę, miłość, swobodę i nawet te drobne radości życia, których, jak sądzę, wyzbyć się jest najtrudniej: kwiaty, zieloność łąk, przechadzki w dzień jesienny, książki, muzykę, wszystkiego się wyrzekły, wszystkiego, po to, by poświęcić się całkowicie życiu w nędzy, posłuszeństwie, zabójczej pracy i modlitwie. Świat ten jest dla nich istotnie miejscem wygnania, życie -ciężkim krzyżem, który niosą z dobrą wolą. Ale na dnie ich serca tkwi bezustanne pragnienie, żywa, namiętna tęsknota za śmiercią, która ich do życia nieśmiertelnego przeniesie. Kitty załamała ręce i spojrzała z niepokojem na Waddingtona.

- A więc?

- A jeśli życie nieśmiertelne nie istnieje? Jeśli ze śmiercią kończy się wszystko? Jeśli poświęciły wszystko dla niczego? Pomyśl pan tylko, jak strasznie zostałyby oszukane!

Waddington rozmyślał przez chwilę.

- Wie pani, mnie się zdaje, że właściwie to wszystko jedno. Cóż to może mieć za znaczenie, czy wiara i nadzieja ich okażą się złudzeniem? Życie ich samo w sobie jest tak piękne. Myślę nieraz, że jedyną rzeczą zdolną pogodzić człowieka z tym światem jest piękno, które od czasu do czasu udaje się zeń wykrzesać ludziom wybranym: obrazy, muzyka, książki, samo życie tych ludzi. Ale najbogatsze w piękno jest życie pięknie przeżyte. Ono jest największym arcydziełem sztuki.

Kitty westchnęła. Nie zadowolili jej słowa Waddingtona. Szukała czegoś więcej.

- Czy była pani kiedyś na koncercie symfonicznym? - zapytał.

- O tak - odpowiedziała z uśmiechem. -Niewiele się znam na muzyce, ale bardzo ją lubię.

- Każdy członek orkiestry gra na swoim małym instrumencie. Czy sądzi pani, że zna wszystkie skomplikowane frazy i wariacje, rozwijające główny temat?

Bynajmniej. Obchodzi go tylko jego własna mała cząsteczka. Ale wie, że symfonia jest piękna i choćby nikt jej nie słuchał, piękno jej pozostanie. Zadowala się więc odegraniem w niej swojej drobnej części.

- Wspomniał pan niedawno o tao - rzekła po chwili Kitty. - Niech mi pan wytłumaczy, co to jest właściwie.

- Tao to droga i pielgrzym zarazem. To wieczny gościniec, po którym wędrują wszystkie istoty. Ale nie stworzyła go ręka ludzka, gdyż sam jest życiem. To jest wszystko i nic. Z tao wszystko wynika, wszystko się do niego musi zastosować i do tao wszystko w końcu powraca. To kwadrat bez kątów, dźwięk niedościgły dla słuchu, obraz bez kształtu. To niezmierna sieć, której oka, choć są większe od morza, nic nie przepuszczają. To świątynia, w której wszystkie istoty znajdują schronienie. Jest nigdzie, a z każdego okna można ją ujrzeć. Uczy nas niepożądania niczego i pozostawienia rzeczy ich biegowi. Kto się upokorzy, zostanie wyniesiony. Kto się pochyli, zostanie wyprostowany. Upadek jest podstawą powodzenia, powodzenie - stopniem wiodącym do upadku; któż przewidzieć zdoła, kiedy punkt zwrotny nastąpi? Człowiek zły stać się może jak małe dziecko, łagodność przynosi zwycięstwo napadającemu i ubezpiecza napadniętego. Silny jest ten, kto umie przewyciężyć samego siebie.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Czasami, gdy wypiję z pół tuzina kieliszków i patrzę na gwiazdy, myślę, że ma.

Zapadło milczenie; po chwili przerwała je znów Kitty.

- Niech mi pan powie, czy: „zdechł właśnie pies” - to cytat?

Uśmiech zarysował się na ustach Waddingtona. Chciał odpowiedzieć, ale ostatnie wypadki zaostrzyły widocznie niezwykle jego wrażliwość. Kitty wprawdzie nie patrzyła na niego, ale w wyrazie jej twarzy było coś, co kazało mu mieć się na baczności.

- Jeśli to jest cytat, to nie przypominam go sobie - odpowiedział ostrożnie. - Dlaczego pani o to pyta?

- Tak sobie, coś mi przyszło na myśl, zdawało mi się, że to jakaś znajoma fraza.

Zapadło ponowne milczenie.

- Gdy pani pozostała sama przy mężu - rzekł po chwili Waddington - rozmawiałem z lekarzem pułkowym. Prosiłem go o udzielenie mi szczegółów o chorobie Waltera.

- Co panu powiedział?

- Był strasznie zdenerwowany, niepodobna było się połapać w jego histerycznej gadaninie. O ile mogłem wyrozumieć, małżonek pani został zakażony podczas eksperymentów, które przeprowadzał.

- Tak, Walter wiecznie eksperymentował. Nie był przecież właściwie lekarzem, tylko bakteriologiem i dlatego właśnie tak chętnie objął tę posiadłość.

- Nie mogłem w żaden sposób wywnioskować ze słów lekarza, czy zakaził się przypadkowo, czy też istotnie czynił doświadczenia na samym sobie.

Kitty pobladła śmiertelnie. Wzdrygnęła się na tę myśl. Waddington ujął jej rękę.

- Proszę mi wybaczyć, że poruszyłem tę sprawę - rzekł łagodnie - ale sądziłem, że to pani przyniesie jakąś ulgę. Wiem, niestety, jak trudno jest w takim wypadku powiedzieć coś, co by stanowiło naprawdę pociechę, ale myślałem, że znajdzie pani może pewne ukojenie w świadomości, że Walter umarł jako męczennik wiedzy i

obowiązku.

Kitty wzruszyła ramionami z lekkim zniecierpliwieniem.

- Walter umarł na złamane serce - rzekła krótko. Waddington nie odpowiedział.

Powoli zwróciła

ku niemu twarz skamieniała i śmiertelnie bladą.

- Co miał na myśli Walter, gdy powiedział: „a zdechł właśnie pies”? Co to jest?

- To jest ostatni wiersz *Elegii Goldsmitha**.

* Treść stanowi opowiadanie o psie, który po latach wiernej służby ukąsił swego pana. Ku ogólnemu zdziwieniu ukąszenie to przyniosło śmierć nie panu, lecz psu.

LXVII

Następnego dnia Kitty poszła do klasztoru. W oczach odzwiernej odmalowało się na jej widok zdziwienie. Kitty pracowała zaledwie od kilku minut, gdy weszła do pokoju matka przełożona. Zbliżywszy się do niej, ujęła ją za rękę.

- Rada jestem widzieć panią, drogie dziecię. Jest to doprawdy dowodem niemałej siły ducha, że pani tak bezpośrednio po tym strasznym przejściu wróciła do nas. I dobrze pani zrobiła. Na pewno praca nie pozwoli pani tak rozpamiętywać swego nieszczęścia.

Kitty spuściła oczy, zarumieniwszy się z lekka; nie chciała, by matka przełożona wyczytała w oczach, co było w jej sercu.

- Zbyteczne chyba mówić o tym, jak szczerze tu wszyscy współczujemy pani.

- Pani jest dla mnie bardzo łaskawa - szepnęła Kitty.

- Modlimy się wszystkie nieustannie za panią i za duszę tego, który odszedł.

Kitty milczała. Matka przełożona uwolniła jej rękę i swoim zwykłym chłodnym, nakazującym szacunek tonem wskazała jej kilka prac do wykonania. Pogłaskała główki kilkorga dzieci, rzuciła im jeden ze swych roztargnionych, ale wdzięcznych uśmiechów i pośpieszyła do swych pilnych zajęć.

LXVIII

Minął tydzień. Kitty była zajęta szyciem, gdy weszła matka przełożona. Usiadła przy niej i obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem.

- Szyje pani bardzo pięknie, drogie dziecię. Jest to w terażniejszych czasach bardzo rzadka umiejętność u kobiet światowych.

- Zawdzięczam ją mojej matce.

- Jestem pewna, że matka pani będzie bardzo rada widzieć ją znowu.

Kitty podniosła głowę. Ze sposobu mówienia matki przełożonej nietrudno było wywnioskować, że słowa te nie były zwykłą grzecznością.

- Pozwoliłam pani wrócić do zajęć po śmierci jej ukochanego małżonka, gdyż spodziewałam się, że praca nieco panią rozerwie. Uważałam przy tym, że nie byłaby pani jeszcze w stanie znieść długiej samotnej podróży do Tching-Yenu, a nie chciałam, by pani pozostała sama beczynnie w swym domu, wśród tych wspomnień. Ale minął już tydzień. Czas wyruszyć w drogę.

- Ależ, proszę matki, ja nie pragnę wcale wyjechać. Chcę zostać tutaj.

- Nie ma pani żadnych powodów do pozostawania tutaj. Przybyła pani, by towarzyszyć małżonkowi. Mąż pani umarł. Stan pani wkrótce będzie wymagał starań i zachodu, których tutaj w żaden sposób otrzymać nie można. Jest obowiązkiem pani,

drogie dziecię, uczynić wszystko, co jest w mocy, by zapewnić zdrowie istocie, którą Bóg powierzył jej pieczy.

Kitty milczała przez chwilę, spuściwszy oczy.

- Sądziłam, że jest tu ze mnie jakiś pożytek. Myśl ta była wielką radością dla mnie. Miałam nadzieję, że będzie mi dozwolone przedłużyć pracę do końca epidemii.

- Jesteśmy bardzo wdzięczne za wszystko, co pani uczyniła dla nas - rzekła matka przełożona z lekkim uśmiechem - ale epidemia już wygasa, niebezpieczeństwo jest znacznie mniejsze, wobec tego pozwoliłam przyjechać dwóm siostram z Kantonu. Przybędą wkrótce, a wtedy nie sędzę, by się mogło znaleźć zajęcie dla pani.

Serce Kitty ścisnęło się. Stanowczy ton matki przełożonej nie dopuszczał odpowiedzi; znała ją dobrze i wiedziała, że nie da się zmiękczyć żadnymi prośbami. Widać było, że potrzeba przekonywania Kitty irytowała nieco matkę przełożoną.

- Pan Waddington zasięgnął łaskawie mojej rady w tej sprawie.

- Wolałabym, żeby się nie wtrącał do cudzych spraw - przerwała jej Kitty.

- Gdyby nie zwrócił się do mnie, sama bym mu udzieliła tej rady - rzekła łagodnie matka przełożona. - W tej chwili miejsce pani jest nie tutaj, lecz przy matce. Pan Waddington poprosił pułkownika Yu o silną eskortę, która zapewni pani zupełne bezpieczeństwo, poza tym wystarał się o tragarzy i kulisów. *Amah* pojedzie z panią; w miastach, gdzie się pani ma zatrzymywać po drodze, wszystko będzie przygotowane na jej przyjęcie, słowem uczyniono wszystko, co jest w mocy ludzkiej, by podróż pani odbyła się z jak największą wygodą.

Kitty zacisnęła usta. Pomyślała, że mogli przynajmniej zasięgnąć jej zdania w sprawie, która w gruncie rzeczy nikogo prócz niej samej nie dotyczy. Z trudem opanowała chęć szorstkiej odpowiedzi.

- A kiedy mam wyruszyć?

Matka przełożona z niewzruszoną łagodnością odpowiedziała:

- Im prędzej wróci pani do Tching-Yenu, by wyruszyć do Anglii, tym lepiej, drogie dziecię. Sądziliśmy, że zechce pani wyjechać pojutrze o świcie.

- Tak prędko!

Kitty zbierało się na płacz. Ale czuła, że mają rację; nie ma tu miejsca dla niej.

- Zdaje się, że wszyscy tu radzi by pozbyć się mnie jak najprędzej - rzekła żałośnie.

W zachowaniu się matki przełożonej nastąpiło pewne odprężenie. Widząc, że Kitty gotowa jest poddać się jej woli, bezwiednie zaczęła przemawiać znacznie łaskawszym tonem. Kitty, obdarzona wnikliwym poczuciem humoru, nie mogła powstrzymać uśmiechu na myśl, że i święci lubią postawić na swoim.

- Drogie dziecko, proszę wierzyć, że cenimy w najwyższym stopniu dobroć twego serca i szczerą miłość bliźniego, które panią tak przywiązują do tych dobrowolnie podjętych obowiązków.

Kitty wzruszyła z lekka ramionami. Wiedziała, że nie może przypisywać sobie tak wysokich cnót. Pragnęła pozostać tu, bo nie miała dokąd się udać.

Jakże to dziwne było zdawać sobie sprawę, że nikomu na szerokim świecie nie zależy na tym, czy żyje, czy umarła!

- Dziwię się bardzo, że pani tak niechętnie wraca do domu - mówiła w dalszym ciągu matka przełożona. - Tak wielu jest tu cudzoziemców, którzy by nie wiem co dali za taką sposobność.

- Ale nie matka przełożona, nieprawdaż?

- O, co do nas, to jest oczywiście zupełnie inna rzecz. Przyjeżdżając tutaj, wiemy, że opuszczamy dom swój na zawsze.

W zranionej ambicji Kitty zrodziła się złośliwa nieco chętką znalezienia szczeliny w zbroi wiary, czyniącej zakonnice tak nieczułymi na wszelkie naturalne wzruszenia. Zapragnęła przekonać się, czy w matce przełożonej pozostała jakaś odrobina słabości ludzkiej.

- Myślę, że jednak czasami musi być strasznie ciężko nie móc ujrzeć ponownie ani istot drogich sercu, ani miejsc, w których się spędziło młode lata.

Matka przełożona zawahała się chwilę, ale obserwująca ją Kitty nie zauważyła

żadnej zmiany w pogodnym wyrazie tej pięknej, surowej twarzy.

- Jest to ciężkie dla mojej matki, która jest już teraz niemłoda. Jestem jej jedyną córką i bardzo by pragnęła ujrzeć mnie przed śmiercią. Żałuję, że nie mogę sprawić jej tej radości. Ale to jest niemożliwe i musi być cierpliwa, aż spotkamy się w raju.

- Bądź co bądź, gdy się pomyśli o drogich sercu istotach, trudno chyba nie zadać sobie pytania, czy się dobrze uczyniło, opuszczając je na zawsze?

- Pani pyta, czy kiedykolwiek żałowałam swego kroku? - Twarz matki przełożonej rozpromieniła się nagle. - Nigdy, nigdy! Zamieniłam puste, pospolite wegetowanie na życie poświęceń i modlitwy.

Nastąpiła mała przerwa, po czym matka przełożona, przybierając lżejszy ton, rzekła z uśmiechem:

- Mam do pani prośbę. Czy nie byłaby pani tak łaskawa wziąć ze sobą małą paczuszkę i po przybyciu do Marsylii wysłać ją pocztą według adresu? Nie chciałabym powierzać tej posyłki chińskiej poczcie. Przyniosę ją zaraz, dobrze?

- Wręczy mi ją pani jutro - rzekła Kitty.- Jutro będzie pani zbyt zajęta, by móc tu przyjść, moje dziecko. Myślę, że będzie pani wygodniej pożegnać się z nami już dziś wieczorem.

Podniosła się i z pełną swobody godnością, której nie zdołał zniekształcić jej fałdzisty habit, opuściła pokój. Za chwilę weszła siostra Józefa. Przyszła się pożegnać. Wyraziła nadzieję, że Kitty będzie miała przyjemną podróż.

Bezpieczeństwo jest zupełne, bo pułkownik Yu da jej silną eskortę; siostry zawsze same odbywają tę podróż i nigdy nie spotkało ich nic złego. A czy lubi morze? *Mon Dieu*, jakże chorowała podczas burzy na Oceanie Indyjskim. Jakże matka Kitty będzie rada, że ujrzy córkę! Ale musi bardzo uważać na siebie! Przecież musi pamiętać o tej małej istocie, powierzonej jej pieczy. Będą wszystkie modliły się za nią; będzie modliła się nieustannie za nią i za jej drogie maleństwo, i za duszę tego biednego, dzielnego doktora. Była uprzejmie gadatliwa i pełna życzliwości, a jednak Kitty zdawała sobie sprawę z tego, że dla siostry Józefy (z oczyma, wpatrzonymi w

wieczność) była tylko cieniem, bezcielesnym i nierzeczywistym. Brała ją chęć chwycić tę krzepką, poczciwą zakonnice za ramiona i potrząsnąwszy nią, krzyknąć: „Czyż nie widzicie, że jestem ludzką istotą, nieszczęśliwą i samotną, spragnioną pociechy i otuchy? Czyż w żaden sposób nie możecie na chwilę odwrócić się od Boga, by okazać mi odrobinę współczucia? Nie tego chrześcijańskiego miłosierdzia, które macie dla wszystkich cierpiących istot, ale takiego zwykłego osobistego współczucia dla mnie samej?”.

Uśmiechnęła się na tę myśl. Dopiero by się zdziwiła siostra Józefa! Na pewno by uwierzyła, że wszyscy Anglicy są wariatami, czego poniekąd domyślała się już od dawna.

- Na szczęście dobrze znoszę podróż morzem -dopowiedziała Kitty. - Nigdy jeszcze nie miałam choroby morskiej.

Matka przełożona wróciła z maleńką, zgrabną paczką.

- Są to chusteczki do nosa, które zrobiłam dla mojej matki na imieniny, monogramy wyhaftowały nasze dziewczynki.

Siostra Józefa zauważyła, że Kitty zechce pewnie zobaczyć, jak pięknie te chusteczki są wykonane i matka przełożona z pobłażliwym uśmiechem rozwiązała pakiecik. Były z pięknego batystu; ozdobne w monogramy otoczone wieńcem listków poziomkowych, pracowicie wyhaftowane. Kitty wyraziła należycie swój podziw, po czym wręczono jej związany pakiecik. Siostra Józefa powiedziała: „A więc żegnam panią”, i dodawszy do tego parę zdawkowych i uprzejmych słów, oddaliła się. Kitty zrozumiała, że wypada teraz pożegnać się z matką przełożoną. Podziękowała jej za okazaną życzliwość, po czym udały się razem przez pobielone korytarze ku wyjściu.

- Czy nie sprawi pani zbyt wielkiego kłopotu wyekspediowanie tej paczki z Marsylii? - zapytała matka przełożona.

- Uczynię to bardzo chętnie - odpowiedziała Kitty.

Rzuciła okiem na adres. Nazwisko było bardzo imponujące i miejsce przeznaczenia zwróciło uwagę Kitty.- Ależ to jest jeden z zamków, który zwiedzałam

z przyjaciółmi podczas wycieczki samochodem we Francji!

- To jest bardzo możliwe - rzekła matka przełożona. - Zamek jest otwarty dla ciekawych cudzoziemców dwa razy na tydzień.

- Sądzę, że gdybym mieszkała w tak pięknym pałacu, nigdy bym się nie zdobyła na opuszczanie go.

- Jest to rzeczywiście historyczny zamek, ale zbyt wspianiały. Jeślibym miała czego żałować, to raczej małego zameczku w Pirenejach, w którym spędziłam dzieciństwo. Urodziłam się nad morzem i muszę przyznać, że chętnie posłuchałabym kiedyś znowu szumu fal bijących o skały.

Kitty miała wrażenie, że matka przełożona odgadła cel jej zapytań i z lekka z niej podrwiwała. Ale dotarli już do skromnej furtki klasztornej. Ku wielkiemu zdziwieniu Kitty matka przełożona objęła ją i ucałowała. Dotknięcie białych warg na jednym i drugim policzku było tak niespodziane, że Kitty zarumieniła się i omal się nie rozplakała.

- Do widzenia, niech cię Bóg błogosławi, drogie dziecko. - Trzymała ją przez chwilę w uścisku. - Pamiętaj, dziecko, że nie dosyć jest pełnić obowiązek, nie ma w tym większej zasługi niż w myciu rąk, które się zbrukały; jedyna rzecz mająca znaczenie to ukochanie swego obowiązku. Gdy połączysz miłość z obowiązkiem, łaska będzie z tobą i dostąpisz szczęścia niedoścignętego ludzkim rozumem. Drzwi klasztoru po raz ostatni zamknęły się za nią.

Waddington towarzyszył Kitty aż na pagórek; zboczyli na chwilę, by spojrzeć raz jeszcze na mogiłę Waltera; pod wielkim łukiem wdowy pożegnał się z nią. Patrząc po raz ostatni na ten pomnik, Kitty czuła, że ona jest taką samą ironiczną zagadką. Wsiadła do swej lektyki.

Mijał dzień za dniem. Widoki przydrożne służyły za tło jej myślom. Wszystko przeżywała podwójnie; jak obrazy zlewające się w stereoskopie mieszały się z widzianymi obecnie widokami wspomnienia wrażeń, doznanych kilka tygodni temu na tej samej drodze odbytej w przeciwnym kierunku.

Obciążeni pakunkami kulisi wlekli się po dwóch, po trzech w nieregularnych odstępach; żołnierze eskorty posuwali się naprzód ciężkim, niezgrabnym krokiem, robiąc jednak po dwadzieścia pięć mil na dzień; *amah* niosło dwóch tragarzy, Kitty czterech, nie dlatego, żeby była cięższa, ale dla większego „honoru”. Od czasu do czasu spotykali sznur kulisów pochylonych pod ciężarami, to znów chińskiego urzędnika przypatrującego się badawczo z głębi swej lektyki białej kobiecie; mijali chłopów w wyblakłych niebieskich szatach i olbrzymich kapeluszach, idących na targ, to znów niewiastę, to młodą, to starą, drepczącą z trudem na swych bandażowanych stopkach. Droga prowadziła raz w dół, raz w górę, pośród regularnych pól ryżowych i ferm, gnieźdzących się w gęstych gajach bambusów; to znów przechodziła środkiem nędznych wiosek i ludnych miasteczek otoczonych murami, niby obrazki w starym mszale. Słońce wczesnej jesieni przyświecało łagodnie. Rankami, gdy migotliwy brzask otaczał pola baśniowym czarem, było nieco chłodnawo, ale za to później ciepło dnia wydawało się Kitty podwójnie miłe. Pogрузыła się bez oporu w uczuciu błogiej pogody ducha.

Barwne widoki przesuwały się przed jej oczami jak wykwintne arrasy, na

których imaginacja tkala tajemnicze, widmowe wzory wspomnień. Przeżycia ostatnich tygodni straciły dla niej rzeczywistość. Mei-tan-fu i jego uwieńczone blaskami mury wydawały się malowaną dekoracją, mającą przedstawiać miasto w jakiejś starej sztuce scenicznej. Zakonnice, Waddington i zakochana w nim Mandżurka stali się fantastycznymi postaciami w symbolicznych maskach, a reszta, ludzie przesuwający się krętymi ulicami lub umierający - to tylko bezimienni statyści. Oczywiście wszystko to miało jakieś utajone znaczenie, ale jakie? Jak gdyby wykonywano wobec niej jakiś taniec obrzędowy, odwieczny i skomplikowany; czuła instynktownie, że te mierzone ruchy mają jakiś sens głęboki, mogący zaważyć na jej losach, ale nie mogła znaleźć klucza tej zagadki.

Jakaś staruszka szła uliczką; błękit jej szaty w słońcu przybrał odcień lapis-lazuli. Twarz jej, poorana tysiącem zmarszczek, była podobna do maski ze starej kości słoniowej. Podpierała się wysoką czarną laską, drepcząc z trudem na swych małych nóżkach.

Dla Kitty stawało się wprost trudne do uwierzenia, że oboje z Walterem brali udział w tym dziwnym, widmowym tańcu. Odgrywali w nim przecież pierwszorzędne role. Tak łatwo mogła stracić w nim życie. Walter już je stracił. Igraszka to czy sen, z którego zbudzi się nagle z uczuciem ulgi niewypowiedzianej? Zdawało się jej, że wszystko to odbyło się kiedyś dawno, dawno temu w jakimś wielkim oddaleniu. Postacie tego widowiska zarysowały się tak mgliście na tle słonecznej rzeczywistości. Chwilami znów wydawało się Kitty, że czyta to wszystko w jakiejś powieści i aż dziw ją brał, że tak mało ją treść tej książki obchodzi. Nawet rysy twarzy Waddingtona, tak dobrze jej znane, zaczynały zacierać się w pamięci.

Tego wieczoru dotrą do brzegu Western River i do miasta, w którym miała wsiąść na parowiec. Stąd już tylko jedna noc podróży oddzielała ją od Tching-Yenu.

Z początku myśl o tym, że nie opłakiwała śmierci Waltera, przejmowała Kitty wstydem. Obwiniła się o nieczułość. Przecież nawet ten obcy chiński oficer, pułkownik Yu, miał oczy pełne łez! Była zupełnie odurzona śmiercią męża, wydawało jej się wprost niemożliwe, że Walter nie wróci nigdy do bungalowu, że rankiem nie usłyszy jego pluskania się w łazience. Dopiero co żył i już go nie ma. Zakonnice podziwiała jej chrześcijańską rezygnację i hart, z jakim zносиła swą bolesną stratę. Ale Waddington był bardziej przenikliwy. Pomimo całego współczucia, które jej okazywał, Kitty miała wrażenie, że domyśla się wielu rzeczy, choć trzyma język za zębami. Rozumie się, że śmierć Waltera była dla niej niespodzianym ciosem. Nie pragnęła jego śmierci. Ostatecznie nie kochała go nigdy, ale przyzwoitość wymagała zachowania pozorów odpowiedniego smutku. Byłoby brzydko i nietaktownie, gdyby pozwoliła odgadnąć ludziom, co się dzieje w jej sercu, ale przed sobą samą nie miała potrzeby udawać. Z doświadczenia ostatnich tygodni wyniosła przynajmniej tę jedną naukę, że jeśli kłamstwo wobec innych bywa nieraz nieuniknioną koniecznością, to okłamywanie samego siebie jest zawsze godne pogardy. Żał jej było, że życie Waltera zostało przerwane w tak tragiczny sposób, ale był to żal czysto ludzki, który odczułaby na wieść o nagłej śmierci każdego ze swych znajomych. Zdawała sobie teraz sprawę z niezwykłych zalet Waltera; nie wiadomo czemu tak się jakoś złożyło, że nie mogła go pokochać. Jakże ją nudził zawsze! Nie mogła twierdzić właściwie, by śmierć jego była ulgą dla niej. I gdyby było w jej mocy przywrócić go do życia, uczyniłaby to na pewno. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że obecnie jej życie może ułożyć się nieco pogodniej. Wspólne pożycie nigdy nie dałoby im rzetelnego szczęścia, a rozejście się byłoby bardzo trudne. Dziwiła się swoim uczuciom, przypuszczała, że gdyby o tym wiedziano, uważano by ją za istotę

okrutną i pozbawioną serca. Toteż nikt się o tym nie dowie. Ciekawa rzecz, czy inni ludzie w głębi serca też kryją przed niepowołanym okiem takie wstydlive tajemnice?

Nie zaglądała w przyszłość i nie czyniła żadnych planów, pragnęła tylko jednego: by pobyt jej w Tching-Yenie trwał jak najkrócej. Przerażeniem wprost napawała ją myśl o przybyciu do tego miasta. Wolałaby tak wiecznie wędrować wśród uśmiechniętych i pogodnych krajobrazów w swojej trzcinowej lektyce jako widz obojętny na fantasmagorie życia, spędzając noce pod coraz innym dachem. Trzeba jednak spojrzeć w oczy bezpośredniej przyszłości; zajedzie do hotelu, postara się pozbyć domu i sprzedać meble; nie ma konieczności spotkania się w Townsendem. Będzie miał chyba dość taktu, by się jej nie narzucać. Choć może rada by była spotkać się z nim raz jeden, by móc rzucić mu w oczy swoje zdanie o nim, by powiedzieć, za jak godną pogardę kreaturę go uważa.

Ale co ją teraz obchodzi Karol Townsend?

Jak potężne arpeggia harfy, zwycięsko przebijające się przez harmonię skomplikowanej symfonii, myśl jedyna, przemożna przyśpieszała bicie jej serca. Ta porywająca myśl otaczała egzotycznym czarem ryżowe pola, wywoływała uśmiech na białych ustach Kitty, gdy mijał ją gładkolicy młodzian z zuchwałym rozradowaniem w oczach śpieszący na targowisko, siłą swej magii zamieniała dla niej miasteczka chińskie w tłumne środowiska życia. Zagrożone miasto, ponure siedlisko zarazy, było więzieniem, z którego zdołała się wymknąć. Nigdy dotąd nie wiedziała, jak cudowny jest błękit nieba, jaką radość mogą mieścić w sobie młode zarośla bambusowe, wdzięcznie chylące się ku drodze. Wolność! Oto, co pieśnią zwycięską rozbrzmiewało w jej duszy, co sprawiało, że przeszłość pomimo niewyraźnych zarysów nabierała migotliwego blasku jak mgła nadrzeczna, gdy padnie na nią światło poranka. Wolność! Opadły z niej dokuczliwe więzy przymusowego współżycia, które ją gnębiło; uwolniła się od grozy śmierci, a nade wszystko od tej miłości, fatalnej, a tak poniżającej. To poczucie zupełnej wolności ducha i ciała napawało ją otuchą i pozwalało odważnie iść na spotkanie przeznaczeniu.

Gdy statek przybił do przystani Tching-Yenu, Kitty, która dotychczas stała na pokładzie, przyglądając się barwnemu i ożywionemu ruchowi na rzece, zeszła do swej kajuty, by sprawdzić, czy *amah* czegoś nie zostawiła. Rzuciła spojrzenie w lustro. Była ubrana na czarno - zakonnice ufarbowały jej suknię - ale bez welonu, i pierwszą jej myślą było, że należy natychmiast zaopatrzyć się w odpowiednią żałobę. Ta liberia żałości doskonale zamaskuje jej rzeczywiste uczucia. Ktoś zapukał do drzwi kajuty. *Amah* otworzyła.

- Pani Fane.

Kitty, odwróciwszy się, ujrzała twarz, której na razie nie mogła sobie przypomnieć. Ale nagle serce jej załopotało, spłoszone, a twarz pokryła się rumieńcem. Była to Dorota Townsend. Kitty, zaskoczona, nie wiedziała, co czynić i co powiedzieć. Ale pani Townsend, zbliżywszy się, objęła ją serdecznie.

- Droga, kochana pani, jakże mi serdecznie pani żal!

Kitty pozwoliła się ucałować. Zdziwiła ją trochę ta serdeczność kobiety, którą uważała zawsze za zimną i niedostępną.

- Pani jest bardzo łaskawa.

- Chodźmy na pokład. *Amah* zajmie się pakunkami, a moi boye czekają.

Ujęła rękę Kitty, a Kitty, dając się prowadzić, zauważyła, że pocziwa i nieco sterana twarz pani Doroty miała wyraz szczerzego zmartwienia.

- Parowiec przybił wcześniej, niż się spodziewano, i niewiele brakowało, a byłabym się spóźniła - rzekła pani Townsend. - Byłabym niepokieszona, gdybyśmy się minęły.

- Jak to, czy pani przybyła specjalnie na moje spotkanie?

- Rozumie się.

- Ale skądże pani mogła wiedzieć, że przyjeżdżam?

- Waddington depeszował do mnie.

Kitty odwróciła się. Ten drobny, niespodziany dowód troskliwości dziwnie ją wzruszył, czuła łzy podchodzące do gardła. Nie chciała płakać. Niechby ta Dorota lepiej sobie już poszła. Ale Dorota ujęła bezwładną rękę Kitty i uścisnęła ją. Ta nieoczekiwana serdeczność tak nieśmiałej zwykle kobiety powiększyła jeszcze zakłopotanie Kitty.

- Mam do pani wielką prośbę; oboje z Karolem bardzo pragniemy, by droga pani na czas swego pobytu w Tching-Yenie zamieszkała u nas.

Kitty wyrwała rękę z uścisku.

- To bardzo uprzejme ze strony państwa, ale nie mogę w żaden sposób.

- Ależ musi się pani na to zgodzić, koniecznie. Niepodobna, by pani mieszkała sama w tym domu. Przecież to byłoby okropne dla pani. Zresztą przygotowałam już wszystko. Będzie pani miała własny salonik. Może nawet pani tam jadać, jeśli pani nie życzy sobie zasiadać do stołu z nami. Tak bardzo oboje pragniemy mieć panią u siebie.

- Nie myślałam właściwie o swoim domu, miałam zamiar wziąć pokój w hotelu. Nie chciałabym narażać państwa na taki kłopot.

Kitty była zaskoczona tą propozycją. Zmieszało ją to i zirytowało. Gdyby Charlie Townsend miał choć odrobinę poczucia przyzwoitości, nigdy w życiu nie pozwoliłby żonie na to zaproszenie. Nie chciała zaciągać żadnych zobowiązań ani wobec Karola, ani wobec jego żony.

- Byłoby mi niewypowiedzianie przykro, gdyby pani zamieszkała w hotelu. A przy tym w obecnej chwili hotel Tching-Yen jest doprawdy zupełnie nieodpowiednim miejscem dla pani. Tyle tam ludzi, ruch, jazz-band przygrywający nieustannie. Proszę, bardzo proszę, niech pani zajedzie do nas. Zapewniam panią, że ani ja, ani Charlie, nie będziemy się pani narzucali.

- Doprawdy, nie wiem, z jakiej racji miałaby pani być tak uprzejma dla mnie.

Kitty czuła, że brak jej wymówek. Nie mogła zdobyć się na szorstką i stanowczą odmowę.

- Lękam się, że nie będę teraz miłą towarzyszką dla obcych ludzi.

- Czemuż mielibyśmy pozostać obcymi? Niech mi pani pozwoli zbliżyć się do siebie. Tak szczerze pragnę zaprzyjaźnić się z panią. - Dorota złożyła błagalnie dłonie, a głos jej, zwykle tak chłodny i dystyngowany, drżał *od* powstrzymywanych z trudem łez. - Tak bardzo mi na tym zależy, by pani u nas mieszkała. Tak szczerze chciałabym odkupić swoje winy względem pani.

Kitty nie rozumiała, o co chodzi. Jakież to przewinienia wobec niej mogła sobie wyrzucać pani Dorota?

- Muszę wyznać, że z początku niezbyt mi się pani podobała. Uważałam panią za lekkomyślną, oddaną wyłącznie rozrywkom osobę. Widzi pani, jestem nieco staromodna i może mam zbyt mało tolerancji.

Kitty spojrzała na nią spod oka. Rozumiała, że Dorota uważała ją dawniej za gminną i pospolitą kobietę. Nie pokazała po sobie, że bierze ją pusty śmiech. Jakże obojętne jej było teraz, co ludzie sądzą o niej!

- A gdy dowiedziałam się, że pani zdecydowała się towarzyszyć mężowi w tej niebezpiecznej podróży, bez wahania rzucając się w paszczę śmierci, zdjął mnie niewypowiedziany wstyd. Pani była tak godna podziwu, taka odważna, zrozumiałam, że żadna z nas tutaj nie dorosła do pani. - Łzy spływały teraz po jej pocziwej, nieładnej twarzy. - Nie umiem wypowiedzieć, jaki szacunek, jaki podziw mam dla pani. Wiem, że nie jest w mojej mocy pocieszyć panią po jej bolesnej stracie. Ale chciałabym, żeby pani przynajmniej wiedziała, jak głęboko, jak szczerze pani współczuję. Będę sobie uważała za łaskę i przywilej, jeśli mi pani pozwoli dopomóc sobie w czymkolwiek. Niech pani mi wybaczy, że nie od razu się na niej poznałam. Pani jest prawdziwą bohaterką, a ze mnie tylko prosta, głupia kobieta.

Kitty spuściła oczy i patrzyła w deski pokładu. Była śmiertelnie blada. Wybuch uczuć Doroty sprawiał jej przykrość. Była wprawdzie wzruszona, ale zniecierpliwilo

ją to, że ta naiwna istota dała się tak łatwo zwieść pozorom.

- Jeśli pani naprawdę życzy sobie mieć mnie u siebie, to naturalnie chętnie skorzystam z łaskawego zaproszenia - odpowiedziała z westchnieniem.

LXXII

Townsendowie mieszkali na tak zwanej Górze w okazałym domostwie z widokiem na morze. Charlie na ogół nie przychodził do domu na śniadanie, ale w dniu przybycia Kitty Dorota (mówiły sobie już teraz po imieniu) powiedziała jej, że jeśli czuje się dość wypoczęta, to mąż przyjdzie ją powitać. Kitty pomyślała, że prędzej czy później będzie musiała spotkać się z Karolem, niechże to się lepiej odbędzie zaraz, i ze złośliwym zadowoleniem wyobrażała sobie zakłopotanie, w jakie wprawi Karola jej widok. Nietrudno było domyślić się, że projekt zaproszenia jej powstał w głowie Doroty, a Charlie chcąc nie chcąc musiał go przyjąć. Dbał przecież zawsze tak bardzo, by w każdym wypadku być najzupełniej poprawny! A ofiarowanie uprzejmej gościnności „nieutulonej w żalu wdowie” było oczywiście gestem jak najbardziej wskazanym! Niepodobna jednak, by wspomnienie ostatniego spotkania nie budziło w nim nieprzyjemnego uczucia. Dla człowieka tak próżnego jak Townsend wspomnienie tej sceny musiało być przykre jak jątrząca się rana. Przypuszczalnie dotknęła go wtedy tak samo boleśnie, jak on ją. Nienawidzi jej teraz zapewne. Co do niej, to dzięki Bogu nie czuje dlań już nic prócz pogardy. Znajdowała ironiczną zadowolenie w myśli, że Charlie wbrew swym nieprzyjaznym dla niej uczuciom zmuszony będzie zajmować się nią jako uprzejmy gospodarz i udawać, że jest mu przyjemnie. Gdy opuszczała w ów fatalny dzień jego biuro, zapewne z całego serca życzył sobie nie widzieć jej już nigdy.

Siedząc teraz obok Doroty w oczekiwaniu przybycia Karola, rozkoszowała się dyskretnym zbytkiem salonu. Wygodne meble, kwiaty, ładne obrazy, cień i chłód pokoju czyniły wrażenie nader miłe i zaciszne. Ze wstrętem przypominała sobie nędzny bungalow misjonarza, gołe ściany bawialni, trzciniowe krzesła, prosty stół kuchenny, pokryty bawełnianą serwetą, poplamione półki, wypełnione tanimi wydaniem powieści i małe zakurzone czerwone firaneczki. Jakież to wszystko było liche! Dorota na pewno nie wyobraża sobie, jak dalece pozbawiona była wszelkiego komfortu przez te kilka tygodni.

Usłyszały warkot motoru i za chwilę wszedł Charlie.

- Czy bardzo się spóźniłem? Przepraszam, że dałem wam czekać na siebie. Miałem do pomówienia z gubernatorem i w żaden sposób nie mogłem odejść wcześniej.

Podszedł do Kitty i ujął obie jej ręce.

- Bardzo, bardzo rad jestem widzieć panią u nas. Dorota na pewno powiedziała już pani, że pragniemy, by pani jak najdłużej pozostała u nas. Mam nadzieję, że dom nasz będzie pani uważała za swój. Proszę wierzyć, że gotów jestem uczynić wszystko, co będzie w mojej mocy, by się pani tu dobrze czuła. - W oczach jego jaśniała szczerą serdeczność. Kitty zadawała sobie pytanie, czy zauważył ironię w jej spojrzeniu. - Nie umiem układać pięknych frazesów i trudno mi znaleźć odpowiednie wyrazy, ale chciałbym, by pani wiedziała, jak serdecznie jej współczuję z powodu śmierci małżonka. Porządny i dzielny był zeń chłop i wszystkim nam tutaj brak go będzie niewypowiedzianie.

- Daj pokój, Charlie - rzekła jego żona. - Kitty na pewno rozumie. Ale oto i koktajle.

Zwyczajem przyjętym przez kolonię w Chinach boje w liberii podali słodcyce i koktajle. Kitty odmówiła. - Niechże pani nie odmawia. To pani na pewno dobrze zrobi. Ręczę, że od chwili wyjazdu z Tching-Yenu nie skosztowała pani koktajlu. Jeśli się nie mylę, to w Mei-tan-fu nawet lodu dostać nie można.

- Nie myli się pan - rzekła Kitty.

Przed jej oczyma stanęła w tej chwili wizja nędzarza, którego trup w niebieskich łachmanach, z przeświecającym przez nie wyschłym ciałem, leżał pod murem bungalowu.

LXXIII

Przy stole Charlie, pełen werwy, ujął ster rozmowy w swoje ręce.

Wypowiedziawszy już w salonie obowiązkowe słowa kondolencji, zdawał się ignorować zupełnie jej ciężkie przejścia i prowadził z nią lekką pogawędkę, jak gdyby przyjechała z Szanghaju dla zmiany powietrza. Chcąc, by czuła się tu jak u siebie, traktował ją, jakby należała do rodziny. Mówił o wyścigach jesiennych, o grze w polo. Na Jowisza! Będzie musiał chyba wyrzec się tego ulubionego sportu, jeśli nie uda mu się trochę schudnąć. Opowiadał potem o rozmowie z gubernatorem, o wystawnym przyjęciu na admiralskim statku; omawiał ekonomiczne sprawy Kantonu, stan pól golfowych w Lushanie. Po kilku minutach tej pogawędki Kitty zdawało się, że nieobecność jej w Tching-Yenie nie trwała dłużej niż zwykły weekend. Wprost trudno było wierzyć, że tam, w głębi Chin, w oddaleniu sześciuset mil angielskich (mniej więcej tyle, co z Londynu do Edynburga, nieprawdaż?) ludzie setkami padali od zarazy jak muchy. Zanim się obejrzała, zaczęła sama dopytywać się o dawnych znajomych, o pana A, który złamał obojczyk przy grze w polo, o panią B, która miała wyjechać do Anglii; a pani X, czy bierze udział w zawodach tenisowych. Charlie stroił swoje zwykłe żarty. Dorota z lekka ironizowała na temat niektórych osób z towarzystwa kolonialnego. Jej poza pewnej wyższości nie obrażała już obecnie Kitty, czuła bowiem, że nie odnosi się do niej. Zaczynała odzyskiwać

werwę.

- Doprawdy, że pani już lepiej wygląda - rzekł Charlie, zwracając się do żony. - Przed śniadaniem była pani tak blada, że się wprost przeląknęłam. Teraz nabrała pani trochę kolorów.

Kitty z ożywieniem brała udział w rozmowie, wystrzegając się jednak wesołości, która by na pewno raziła Dorotę i Karola, tak dbających o zachowanie należytego decorum. Jednocześnie obserwowała gospodarza domu. W czasie tych długich tygodni jej mściwa wyobraźnia utworzyła sobie zdecydowany i niezbyt pochlebny obraz Karola. Długie kędzierzawe włosy, zbyt starannie przyczesane i nadmiernie wypomadowane dla ukrycia początków siwizny, twarz zbyt rumiana z siecią liliowych żyłek na policzkach, szczęka zbyt masywna; gdy nie podnosi głowy, widać podwójny podbródek; coś nieprzyjemnie małpiego w krzaczastych siwiejących brwiach. Ociężałe ruchy i pomimo diety i sportów wzrastająca wciąż tusza oraz pewna sztywność w stawach, świadcząca o poważniejszym wieku. Eleganckie ubranie nieco ciasne i stanowczo za młode.

Ale gdy Karol wszedł do salonu, Kitty doznała niemałego wstrząsu, który może spowodował jej bladość, spostrzegła bowiem, że imaginacja spletała jej nie lada figla. Karol wyglądał zupełnie inaczej, niż go sobie ostatnio wyobrażała. Niewiele brakowało, a byłaby się głośno roześmiała z samej siebie. Włosy Karola wcale nie były siwe, miał zaledwie parę srebrnych nitek na skroniach, co dodawało mu uroku. Jego twarz nie była czerwona, tylko opalona; głowa dobrze osadzona na karku; nie był ani stary, ani otyły; przeciwnie, miał prawie wysmukłą i bardzo zręczną postać - czyż można było brać mu za złe tę odrobinę próżności? Ubranie eleganckie i w dobrym guście leżało na nim jak ulał. Czynił wrażenie zupełnie młodego człowieka. Skąd jej się wzięło to dzikie o nim wyobrażenie? Był naprawdę bardzo przystojny. Całe szczęście, że wiedziała już teraz dokładnie, jak mało był wart. Zachowała w pamięci jego ujmujący głos; nic się w nim nie zmieniło, ale dziś głos ten drażnił ją, ciepło i dźwięczność tonu zdawały się jeszcze bardziej podkreślać w jej umyśle fałsz

tego człowieka. Po prostu nie mogła zrozumieć, dlaczego kiedyś tak działał na nią. Ale błękitne oczy, największy atut Karola, były naprawdę bardzo piękne. Nawet gdy plótl najpospolitsze brednie, świeciły jakimś czułym, uroczym blaskiem, któremu trudno się było oprzeć. Nareszcie podano kawę i Charlie zapalił cygaro, po czym, spojrzawszy na zegarek, wstał zza stołu. - No, muszę was pozostawić własnemu przemyślowi, moje panie. Czas na mnie, trzeba wracać do biura. - Po czym z przyjaznym spojrzeniem czarujących oczu zwrócił się do Kitty. - Na razie nie będę pani nudził, ale za jakieś dwa dni, gdy pani nieco odpocznie, muszę pomówić z panią o interesach.

- Ze mną?

- Musimy przecież coś postanowić w sprawie pani domu i mebli.

- O, proszę pana, zwrócę się do jakiegoś adwokata. Po cóż bym miała kłopotać pana tymi sprawami?

- Czy pani sądzi, że pozwoliłbym jej wydawać pieniądze na jakieś prawne zabiegi? Nigdy w życiu! Sam się wszystkim zajmę. Pani ma prawo do pensji. Rozmówię się z ekscelencją w tej materii i mam nadzieję, że przedstawivszy sprawy, komu należy, zdołam wykołatać dla pani coś ponadto. Może pani spokojnie złożyć wszystko w moje ręce. Niech pani się o nic nie troszczy. Na razie chodzi nam tylko o to, by pani wypoczęła i nabrała sił. Nieprawdaż, Doroto?

- Rozumie się.

Uklonił się Kitty, po czym przechodząc obok krzesła żony, pocałował ją w rękę. Na ogół Anglik, całujący rękę kobiety, miewa nieco głupią minę, ale Karol wykonał ten gest z pełnym swobody wdziękiem.

Dopiero rozgościwszy się na dobre u Townsendów, Kitty poczuła, że jest zmęczona. Komfort i powab tego życia, od którego już odwykła, przerwały nerwowe napięcie, podtrzymujące ją dotychczas. Odnajdując dawno zapomniane rozkosze leniwych wczasów wśród wykwintnego otoczenia, z westchnieniem ulgi pograżyła się w tym zbyt kownym życiu Wschodu. Jakże miło było czuć się otoczoną troskliwą opieką ludzi dobrze wychowanych i pełnym dyskrekcji ogólnym zainteresowaniem całego towarzystwa! Żałoba jej była jeszcze zbyt świeża, by można było urządzać dla niej większe przyjęcia, ale żony najwyższych funkcjonariuszy kolonialnych, gubernatora, admirała i naczelnego sędziego, przychodziły do niej na poufne herbatki. Pani gubernatorowa zapewniała, że ekscelencja bardzo pragnie poznać Kitty i że byłby szczerze wdzięczny, gdyby zechciała przybyć do nich na małe śniadanie (zupełnie ciche, nikogo prócz nas i adiutantów). Panie te obchodziły się z Kitty, jakby była bardzo cenną i bardzo kruchą porcelaną. Nietrudno było spostrzec, że uważają ją za bohaterkę, a Kitty odgrywała narzuconą sobie rolę ze skromnością i dyskrecją. Chwilami żałowała, że nie ma tu Waddingtona, który ze swą złośliwą przenikliwością odczułby na pewno komizm sytuacji. Jakże uśmieliby się potem oboje! Dorota otrzymała od Waddingtona list, w którym szeroko rozwodził się nad pełną poświęcenia pracą Kitty w klasztorze, jej odwagą i niezwykle zimną krwią w obliczu niebezpieczeństwa. Oczywiście naciągnął ich z ręcznie, gałgan!

Charlie, nie wiadomo, czy przypadkowo, czy z własnej woli, nigdy nie pozostawał sam na sam z Kitty. Grzeczny, uprzejmy, pełen życzliwego współczucia, zachowywał się wobec niej zawsze nadzwyczaj taktownie. Nikomu nie przyszłoby na myśl, że mogły istnieć między nimi kiedykolwiek jakieś bliższe niż zwykła znajomość stosunki. Ale pewnego popołudnia, gdy leżała z książką w ręku na tarasie, Charlie zbliżył się do niej i zapytał:

- Co pani czyta?

- Książkę.

Spojrzała na niego ironicznie. Uśmiechnął się.

- Dorota jest na przyjęciu u gubernatora.

- Wiem. A dlaczego pan z nią nie poszedł?

- Nie nęciło mnie to. Woląłem dotrzymać towarzystwa pani. Samochód jest przed domem, jeśli pani ma ochotę, możemy się trochę przejechać.

- Dziękuję, nie mam chęci. Usiadł u jej nóg na sofce.

- Nie mieliśmy jeszcze sposobności pogadania ze sobą od czasu pani przyjazdu.

Spojrzała mu prosto w oczy z chłodną impertynencją.

- Sądzi pan, że mamy sobie coś do powiedzenia?

- O, tomy całe!

Odsunęła nieco nogi, by uniknąć dotknięcia.

- Pani się jeszcze gniewa na mnie? - zapytał z lekkim uśmiechem i pełnym czułości spojrzeniem.

- Ani trochę - odpowiedziała, śmiejąc się.

- Nie śmiałyby się pani, gdyby nie była pani rozgniewana na mnie.

- Myli się pan. Zanadto panem gardzę, by móc się gniewać.

Nie przejął się tym.

- Uważam, że pani jest niesprawiedliwa. Oceniając uczciwie przeszłość, musi pani przyznać, że jednak miałem rację.

- Z pańskiego punktu widzenia.

- Teraz, gdy pani bliżej poznała Dorotę, czy nie uważa pani, że jest nadzwyczaj miła?

- Rozumie się. Nigdy nie zapomnę jej dobroci dla mnie.

- To jest naprawdę niezwykła kobieta. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybyśmy wtedy uciekli. Nie zasłużyła na to. A zresztą musiałem myśleć i o dzieciach; przecież to byłoby dla nich w życiu straszną przeszkodą.

Kitty przez chwilę przypatrywała mu się w milczeniu. Czuli się panią położenia.

- Przyglądałam się panu przez ten tydzień mego pobytu u was. Doszłam do przekonania, że pan jest rzeczywiście przywiązany do Doroty. Nie przypuszczałam nawet, że pan jest zdolny do tak szczerego uczucia.

- Mówiłem pani przecież, że jestem do niej przywiązany. Nie uczyniłbym nigdy nic takiego, co by jej mogło sprawić najmniejszą przykrość. Jest to najlepsza żona, jaką sobie można wyobrazić.

- A nie przyszło panu nigdy na myśl, że należało dotrzymać jej wiary?

Uśmiechnął się.

- Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Wzruszyła ramionami.

- Pan jest nikczemny.

- Jestem tylko człowiekiem. Niepodobna, by pani uważała mnie za łotra z tego tylko powodu, że z miejsca po uszy zakochałem się w pani. Nie starałem się o to, zapewniam panią.

- Ale ja postępowałam z panem szczerze - rzekła z goryczą Kitty.

- Naturalnie nie mogłem przewidzieć, że wpakujemy się w taką kabałę.

- No i wiedział pan przecież z góry, że jeśli ktoś ucierpi z tego powodu, to na pewno nie pan.

- Uważam, że jest to trochę za surowa ocena. Ostatecznie teraz, gdy wszystko szczęśliwie minęło, zdaje pani chyba sobie sprawę z tego, że obrałem drogę najlepszą dla nas obojga. Pani wtedy zupełnie straciła głowę, całe szczęście, że ja utrzymałem swoją na karku. Ładnie byśmy wyglądali, gdybym wówczas posłuchał pani. Diabelnie niewygodnie było nam na patelni, ale znacznie gorzej byśmy się mieli, wyskoczywszy z niej do ognia*. No i nie stała się pani żadna krzywda. Dlaczegoż nie mielibyśmy pocałować się i pogodzić?

* Przysłowie angielskie.

Miała ochotę się roześmiać.

- Nie spodziewa się pan chyba, bym zapomniała, że pan bez śladu skruchy posłał mnie na prawie pewną śmierć?

- Cóż za przesada! Mówiłem pani, że nie ma najmniejszego ryzyka, jeśli się zachowa odpowiednią ostrożność. Czyż pozwoliłbym pani jechać, gdybym nie był absolutnie o tym przekonany?

- Tak, wierzył pan w to, bo chciał pan wierzyć; jest pan jednym z tych tchórzów, których myśli dostosowują się do ich korzyści.

- Droga pani, o dobroci ciasta możemy wyrokować po spożyciu go. Doświadczenie wykazało, że słuszność była po mojej stronie. Pani wróciła zdrowa i, jeśli wolno mi to powiedzieć, piękniejsza niż kiedykolwiek.

- A Walter?

Nie mógł powstrzymać się od żartobliwej odpowiedzi, która mu się cisnęła na usta.

- Bardzo pani do twarzy w czarnym kolorze. Patrzyła nań przez chwilę ze zgrozą. I nagle łzy napęłniły jej oczy, rozplakała się rzewnie. Żałość wykrzywiła jej

piękną twarz. Nie ukrywając swego bólu, leżała na kanapie z rękoma opuszczonymi bezwładnie.

- Na litość boską, niech pani nie płacze. Nie chciałem pani sprawić przykrości. Żartowałem tylko. Przecież pani wie, jak serdecznie pani współczuję.

- Niech pan trzyma swój głupi język za zębami!

- Dałbym nie wiem co za to, żeby móc wskrzesić Waltera.- Umarł przez pana i przeze mnie. Ujął jej rękę, ale mu ją wyrwała.

- Niech pan już idzie sobie - łkała - to jedyna rzecz, którą pan jeszcze może dla mnie uczynić. Nie czuję do pana nic prócz nienawiści i wzdardy. Walter był dziesięć razy tyle wart, co pan, a ja byłam za głupia na to, by się na nim poznać. Idź pan już, idź!

Widząc, że Karol chce jeszcze coś powiedzieć, zerwała się i uciekła do swego pokoju. Poszedł za nią. Wchodząc, z instynktowną przezornością zamknął okiennicę, tak że ogarnęła ich prawie zupełna ciemność.

- Nie mogę zostawić pani w takim stanie -rzekł, otaczając ją ramieniem. - Pani wie, że nie chciałem jej zranić.

- Niech pan mnie nie dotyka. Na litość boską, niech pan odejdzie!

Usiłowała się uwolnić, ale zacisnął ramiona. Płakała teraz histerycznie

- Droga, czyż nie wiesz, że cię zawsze kochałem. - Mówił swym głębokim, czarującym głosem. - Kocham cię teraz jeszcze bardziej.

- Jak pan śmie tak mnie okłamywać! Puść mnie, puść, nędzniku!

- Kitty, nie bądźże tak niedobra dla mnie; przyznaję, że źle postąpiłem wobec ciebie, przebacz mi!

Szamotała się z nim, drżąc i łkając. Czuła jednak, że w ramionach Karola topnieje jej opór. Tak tęskniła do jego uścisku; ach, raz jeszcze znaleźć się w jego objęciach, raz jeden tylko! Drżała na całym ciele i czuła, że siły ją opuszczają. Nogi uginały się pod nią, a żal nad śmiercią Waltera zamienił się w litość nad samą sobą.

- Ach, jakże mogłeś być tak okrutny dla mnie? - Łkała. - Czyż nie wiesz, że

kochałam cię nad życie? Nikt, nikt na świecie tak cię nie kochał!

- Kochana! Obsypywał ją pocałunkami.

- Nie, nie - broniła się.

Odwracała twarz, szukał jej ust, szepcząc oderwane słowa miłości. Nic z tego nie słyszała, ale w zwartych jego ramionach czuła się jak zgubione dziecko, powrócone szczęśliwie na matczyne łono. Jęczała z cicha. Oczy jej były przymknięte, a twarz, zroszona łzami. A gdy znalazł jej usta i przywarł do nich łakomie, żar niebieski przeniknął ją całą, zdało się, że spali ją na popiół. Stała w płomieniach. Jedyne w swych tęsknych snach zaznała takiej rozkoszy. O Boże, cóż on z nią uczyni teraz? Nie wiedziała, co się z nią dzieje, nie była już kobietą, była uosobieniem pożądania. Uniósł ją, jakże lekka mu była! W zapamiętaniu rozpaczy i miłości przywarła do jego ramion; głowa jej opadła na poduszkę, a wargi Karola przylgnęły do jej ust.

LXXVI

Kryjąc twarz w dłoniach, siedziała na brzegu łóżka.

- Może trochę wody?

Potrząsnęła głową. Wziął szklanekę z umywalni i napełnił wodą. - Chodź, napij się, zaraz ci będzie lepiej.

Przyłożył szklanekę do jej ust, wysączyła ją powoli. Potem wlepiała przerażone oczy w Karola. Stał przy niej, nieco pochylony, patrząc na nią z błyskiem chełpliwego zadowolenia w oczach.

- No i cóż? Czy jeszcze ciągle uważasz mnie za takiego nędznika? - zapytał.

Spuściła oczy.

- Tak. Ale wiem już teraz, że ani o włos więcej nie jestem warta od ciebie.

Boże, jakże się wstydzę!

- No wiesz, jesteś bardzo niewdzięczna.

- Może byś już poszedł sobie?

- Prawdę powiedziawszy, czas już na mnie. Niedługo Dorota wróci.

Spreżystym krokiem wyszedł z pokoju.

Kitty pozostała przez chwilę na brzegu łóżka w bezmyślnym odurzeniu.

Dreszcz ją przeniknął. Wstała z trudem, powlokła się do toalety i upadła na krzesło. Wpatrzyła się w lustro. Oczy, nabrzmiące od łez, twarz zbrukana, na policzku, gdzie przywarł do niej twarzą Karol, czerwona plama. Z przerażeniem patrzyła na swoje odbicie. Ta sama twarz. Spodziewała się ujrzeć na niej jakąś zmianę, jakieś piętno upadku.

- Świnio! - rzuciła obelżywie swej podobiznie. - Świnio!

Po czym, opuściwszy głowę na ramiona, zapłakała gorzko. Co za wstyd! Jakim sposobem mogło dojść do tego? Okropność! Nienawidziła Karola, nienawidziła siebie. Utonęła w rozkoszy! Jakie to wstrętne! Nie będzie mu już nigdy mogła spojrzeć w oczy. Miał rację, że nie chciał się z nią żenić, była mniej warta od pierwszej lepszej prostytutki. One przecież oddają się z nędzy, dla chleba? I w dodatku jeszcze tu, w domu Doroty, która zaopiekowała się nią pocziwie w jej smutku i opuszczeniu! Plecy jej drgały od łkania. Wszystko teraz przepadło. Wmawiała w siebie, że zaszła w niej zupełna zmiana, że wróciła do Tching-Yenu jako silna i opanowana kobieta; nowe myśli roily się w jej mózgu jak małe żółte motylki fruujące w słońcu, spodziewała się, że stanie się o wiele lepsza w przyszłości; przyświecała jej wolność, a świat wydawał się obszerną równiną, po której kroczyć będzie dumnie lekką stopą. Była pewna, że wyzbyła się na zawsze wszelkiej chuci, wszelkich niskich namiętności, że żyć będzie czystym, zdrowym życiem ducha, porównywała siebie do owych białych czapli płynących nad polami ryżowymi o zmroku, których lot jest jak wzlot myśli harmonijnej i ukojonej. A oto okazało się, że

jest niewolnicą. Słabe, bezsilne stworzenie. Daremne próby. Nic już z niej nie będzie. Jest zwykłą flądą. Nie pójdzie na obiad. Posłała służącego, by zawiadomił Dorotę, że ma silny ból głowy i woli pozostać w swoim pokoju. Dorota przyszła, a widząc jej czerwone, opuchnięte oczy, starała się ją rozerwać lekką potoczną rozmową. Kitty wiedziała, iż Dorota jest przekonana, że płacz został spowodowany myślą o Walterze, i jako kochająca żona współczuła serdecznie, i była pełna szacunku dla jej bólu.

- Wiem, jak ci jest ciężko, moja kochana - rzekła na wychodnym. - Ale musisz się starać mężnie znosić swoje nieszczęście. Jestem pewna, że twój drogi małżonek by sobie nie życzył, byś się tak poddawała rozpacz.

LXXVII

Nazajutrz Kitty zerwała się wcześniej i pozostawiwszy Dorocie karteczkę, że wychodzi za interesami, pojechała tramwajem do niżej położonej części miasta. Poprzez tłumne ulice zatłoczone samochodami, rikszami i lektykami, wśród których roił się barwny tłum Europejczyków i Chińczyków, dotarła do biura okrętowego. Pierwszy parowiec odchodził za dwa dni, postanowiła, że musi jakimkolwiek bądź kosztem odpłynąć na nim. Gdy urzędnik powiedział jej, że wszystkie kajuty są już zajęte, zażądała rozmowy z głównym agentem. Posłała swój bilet i agent, który znał ją osobiście, wyszedł sam do niej i zaprowadził do swego biura. Znał jej położenie i gdy powiedziała mu, o co chodzi, kazał przynieść listę pasażerów. Odczytał ją, zastanawiając się nad tym, co by tu poradzić.

- Błagam pana, niech pan uczyni, co tylko jest w pańskiej mocy - prosiła Kitty.

- Sądzę, że nie ma w kolonii człowieka, który by nie uczynił wszystkiego na świecie dla pani, pani Fane - odpowiedział.

Posłał po jednego z urzędników i zadawszy mu kilka pytań, oświadczył z ukłonem:

- Przesunę parę osób. Wiem, że pani pilno do domu, i uważam, że obowiązkiem naszym jest pani dopomóc. Będę mógł dać pani małą oddzielną kajutę. Myślę, że to będzie przyjemniej dla pani.

Podziękowała mu i opuściła biuro ze znacznie lżejszym sercem. Ucieknie! Posłała depeszę ojcu, zawiadamiając go, że Walter umarł, po czym wróciła do Townsendów, by powiedzieć Dorocie o swoim postanowieniu.

- Ogromnie nam przykro będzie rozstać się z tobą - rzekła poczciwa niewiasta - ale rozumiem naturalnie, że pragniesz jak najprędzej znaleźć się przy matce i ojcu.

Od czasu przyjazdu do Tching-Yenu Kitty nie mogła zdobyć się na odwagę zajrzenia do swego domu. Lękiem przejmowała ją myśl o spotkaniu oko w oko ze wspomnieniami, które dom zaludniały. Ale nie miała teraz wyboru. Townsend zajął się sprzedażą mebli i wystarał się o lokatora, który przejął kontrakt. Ale były tam jeszcze ubrania jej i Waltera, gdyż mało co zabrali ze sobą do Mei-tan-fu, poza tym fotografie, książki i różne drobiazgi. Kitty, zobojętniała na wszystko i rada odciąć się jak najzupełniej od przeszłości, rozumiała jednak, że wzięto by jej za złe w kolonii, gdyby te rzeczy razem z meblami puściła na licytację. Trzeba je było zapakować i wysłać do Anglii. Wybrała się więc zaraz po śniadaniu do swego dawnego mieszkania. Dorota ofiarowała się z pomocą, ale Kitty prosiła, by jej pozwolono pójść samej. Zgodziła się jedynie na to, by dwaj boye Doroty pomogli w pakowaniu.

Dom pozostawiony był na opiece jednego z dawnych służących, który jej otworzył. Dziwne to było uczucie wejść tak do własnego domu jak obcy przechodzień. Wszystko było w porządku, wszędzie czysto posprzątane. Pomimo ciepłego, słonecznego dnia z milczących komnat wiało chłodem i smutkiem. Meble stały na zwykłych miejscach, pozbawione kwiatów wazony na stolikach; książka, którą Kitty położyła kiedyś otwartą grzbietem do góry, leżała tak samo, nieporuszona. Mogłoby się zdawać, że dom został opuszczony dopiero przed chwilą,

ale chwila ta zdała się mieć wagę wieczności i trudno było sobie wyobrazić, że kiedykolwiek w tym domu będą rozbrzmiewały rozmowy i śmiechy. Nuty fokstrotu na pulpicie fortepianu zdawały się oczekiwać, by je ktoś zagrał, a jednak nie mogła oprzeć się wrażeniu, że gdyby uderzyła w klawisze, nie wydałyby tonu. Pokój Waltera był jak zwykle starannie utrzymany. Na komodzie stały dwie duże fotografie Kitty. Na jednej była w balowej sukni, na drugiej -w ślubnym stroju.

Boye przenieśli z lamusa kufry i pod dozorem Kitty rozpoczęli pakowanie. Robota szła szybko i sprawnie. Kitty obliczała, że przez te dwa dni, pozostające do wyjazdu, wszystko będzie należycie zapakowane, Tylko nie rozmyślać. Zresztą nie będzie na to czasu. Nagle usłyszała kroki za sobą, a odwróciwszy się, ujrzała Townsenda. Chłód śmiertelny ścisnął jej serce.

- Czego pan sobie życzy? - zapytała.

- Czy nie zechciałaby pani przejść ze mną do salonu? Pragnąłbym pani coś powiedzieć.

- Jestem bardzo zajęta.

- Tylko pięć minut. Nakazawszy boyom, by nie przerywali pakowania, weszła w milczeniu do przyległego pokoju. Nie usiadła, zaznaczając tym chęć jak najkrótszego załatwienia rozmowy. Czowała, że jest strasznie blada, serce jej biło pośpiesznie, ale stała przed Townsendem na pozór spokojna, mierząc go zimnym, wrogim spojrzeniem.

- O co panu chodzi?

- Przed chwilą dowiedziałem się od Doroty, że pani wyjeżdża pojutrze.

Powiedziała mi, że pani udała się do swego mieszkania, by zająć się pakowaniem, i prosiła mnie, bym dowiedział się, czy nie mogę być pani w czymś pomocny.

- Dziękuję panu, ale mogę dać sobie radę sama.

- Tak też myślałem i nie z tym pytaniem przyszedłem. Chcę wiedzieć, czy nagły wyjazd pani został spowodowany wczorajszym zajściem?

- Państwo byliście oboje nadzwyczaj uprzejmi dla mnie. Nie chciałam

nadużywać waszej dobroci.

- To nie jest szczerą odpowiedzią.

- Cóż panu na tym może zależeć?

- Bardzo wiele. Byłoby mi przykro wiedzieć, że w jakikolwiek sposób przyczyniłem się do przyśpieszenia pani wyjazdu.

Stała z pochyloną głową przy stole. Spojrzenie jej padło na „Sketch”. Był to numer sprzed dwóch miesięcy. Ten sam, w który wlepił oczy Walter owego strasznego wieczoru, gdy - a Walter teraz... Podniosła głowę...

- Czuję się bezgranicznie upodlona. Niepodobna, by pan mną gardził więcej, niż gardzę sama sobą.

- Ależ ja nie gardzę panią wcale. Skądże? Zapewniam, że w tym, co mówiłem wczoraj, nie było krzty fałszu. I po cóż ta ucieczka? Czyż nie możemy być przyjaciółmi? Strasznie mi przykro, że pani widzi moje postępowanie w tak złym świetle.

- Dlaczego pan nie pozostawił mnie w spokoju?

- Do diabła! Nie jestem przecież z kamienia! Jakże można być tak nierozsądną! Sposób, w jaki pani zapatruje się na to wszystko, jest po prostu chorobliwy. Myślałem, że po tym, co zaszło między nami wczoraj, będzie pani usposobiona dla mnie bardziej życzliwie. Ostatecznie wszyscy jesteśmy ludźmi.

- Nie czuję w sobie teraz nic ludzkiego. Mam wrażenie, że jestem zwierzęciem, świnia, królikiem czy suką. Nie mam panu nic do zarzucenia. Zachowałam się nie lepiej od pana. Uległam, bo pożałowałam pana. Ale to nie było moje prawdziwe ja. Nie, ta wstrętna, lubieżna, zwierzęca istota to nie ja. Odżegnuję się od niej. To nie ja leżałam na tym łóżku, wijąc się w pożądaniu, gdy mąż mój nie zdążył jeszcze ostygnąć w grobie, a pańska żona była tak dobra, tak niewysłowienie dobra dla mnie. To nie ja byłam, to było tylko zwierzę we mnie, ciemne i straszne jak zły duch. Wyrzekam się go, nienawidzę go, gardzę nim z całej duszy. Ilekroć wspomnę o tym, dławi mnie w gardle, zbiera mi się na wymioty.

Zmarszczył się i z sarkastycznym uśmiechem rzucił:

- No, wie pani, jestem dość wyrozumiały, ale doprawdy mówi pani rzeczy, które mnie rażą.

- Żałuję bardzo, ale niech pan już lepiej odejdzie. Pan jest małym i nie nieznaczącym człowiekiem i nie powinnam brać pana na serio.

Milczał przez chwilę, oczy jego pociemniały, widziała, że jest rozgniewany. Odetchnie na pewno z ulgą, gdy umieści ją na parowcu. Bawiła ją myśl o tym, jak podając mu rękę na pożegnanie i wysłuchawszy jego życzeń szczęśliwej podróży, będzie mu z wyszukaną grzecznością dziękować za gościnność. Ale nagle wyraz twarzy Townsenda się zmienił.

- Dorota powiedziała mi, że pani spodziewa się dziecka.

Czuła, że się rumieni, ale nie drgnęła.

- Tak jest.

- Czy przypadkiem nie ja jestem ojcem?

- Nie, nie, to dziecko Waltera. Odpowiedziała z mimowolnym naciskiem, ale jednocześnie czuła, że ton jej nie był przekonywający.

- Czy pani jest tego zupełnie pewna? - Uśmiechnął się łobuzersko. -

Ostatecznie była pani zameżna kilka lat i nic się nie zdarzyło. Daty się zgadzają. Myślę, że to raczej moje niż Waltera.

- Wolałabym się zabić, niż mieć dziecko z panem.

- Dajże spokój tym nonsensom, Kitty. Byłbym niezmiernie zadowolony i dumny. Chciałbym, żeby to była dziewczynka. Z Dorotą miałem samych chłopaków. No, nie pozostaniesz długo w niepewności, moja droga: moi trzej chłopcy są podobni do mnie jak dwie krople wody. Odzyskał dobry humor, nietrudno było zgadnąć dlaczego. Jeśli był ojcem jej dziecka, nie umknie mu, choćby go już nigdy ujrzeć nie miała. Wpływ ojca nieodwołalnie zaciąży nad całym życiem matki.

- Pan doprawdy jest najbardziej próżnym i zarozumiałym z ludzi, jakich miałam nieszczęście spotkać na swej drodze - rzekła.

Gdy statek przybył do Marsylii, Kitty, przyglądając się poszarpanym malowniczo zarysom brzegu, gorejącym w słońcu, spostrzegła złoty posąg Najświętszej Panienki, ustawiony na szczycie kościoła Sainte Marie de la Grace, opiekunki marynarzy. Przypomniała sobie, jak siostry z klasztoru w Mei-tan-fu, opuszczające swój kraj na zawsze, uklęknęły, gdy posąg zniknął w dali, świecąc zaledwie drobnym złotym płomieniem na tle błękitu, i w modlitwie szukały ulgi dla przejmującego bólu rozstania. Złożyła ręce, wznosząc je błagalnie ku nieznannej potędze.

Podczas długiej, spokojnej podróży Kitty rozmyślała nieustannie o swoim ostatnim przejściu. Było to takie niespodziane, że nie rozumiała wprost samej siebie. Jakże się to mogło stać, że gardząc Karolem i nienawidząc go z całego serca, dała się porwać namiętności i poddała się jego haniebnym uściskom? Porywał ją szalony gniew i czuła wstręt do samej siebie. Nigdy nie zapomni tego poniżenia. Płakała. Lecz w miarę oddalania się od Tching-Yenu oburzenie jej malało. Miała wrażenie, że wszystko to zdarzyło się w jakimś innym świecie. Była jak człowiek chwycony nagłym obłąkaniem, który po wyzdrowieniu martwi się i wstydzi z powodu dziwacznych, popełnianych w czasie ataku czynów, które sobie niewyraźnie przypomina. Ale wie, że był wtedy niepoczytalny, więc czuje, że przynajmniej we własnych oczach zasługuje na pobłażliwość. Kitty pocieszała się myślą, że dla serc miłosiernych byłaby godna raczej litości niż potępienia.

Ale smutkiem przejmowała ją myśl, że wiara we własną moc ducha została zdruzgotana. Przekonała się, że szlak jej przyszłości, który uważała za tak prosty i jasny, jest kręty i pełen wilczych dołów. Widok szerokich przestrzeni i tragiczne

piękno zachodów słońca nad Oceanem Indyjskim były wypoczynkiem dla skołatanej duszy. Zdawało jej się, że jest unoszona ku nieznanej ziemi, gdzie nic już nie będzie zagrażać wolności jej ducha. Dla odzyskania szacunku do siebie gotowa była stoczyć najcięższą walkę i wierzyła, że znajdzie w sobie potrzebną do tego odwagę.

Wiedziała, że czeka ją przyszłość samotna i pełna przeciwności. W Port Saidzie otrzymała list od matki w odpowiedzi na depeszę. List był długi, pisany fantazyjnym pismem, którego uczono młode damy za czasów młodości jej matki. Nadmierna ozdobność listu czyniła wrażenie nieszczerości. Pani Garstin wyrażała żal z powodu śmierci Waltera i należyte współczucie z powodu zmartwienia córki. Lękała się, że Kitty została bez odpowiednich środków do życia, ale Urząd Kolonialny naturalnie wyznaczy jej pensję. Cieszyła się, że Kitty wraca do Anglii i rozumie się, że musi pozostać u rodziców aż do przyjścia na świat dziecka. Potem następowały różne rady i wskazówki, do których Kitty ma koniecznie się zastosować, i rozmaite szczegóły położu Doris. Chłopczyk jej ważył tyle a tyle i dziadek jego (ze strony ojca) powiada, że nigdy nie widział równie pięknego dzieciaka. Doris jest znowu w błogosławionym stanie i mają nadzieję, że będzie to też chłopiec, co by na wszelki wypadek zabezpieczyło dziedziczenie tytułu barona.

Kitty zmiarkowała, że głównym celem listu było ściśle określenie czasu jej pobytu u rodziców. Widocznie pani Garstin nie miała zamiaru obarczać się na stałe owdowiałą córką o tak skromnych środkach. Kitty przypomniała sobie, jak matka ubóstwiała ją niegdyś, a teraz, rozczarowana jej niepowodzeniem, uważa po prostu za niepożądany ciężar! Jakże dziwne są stosunki między rodzicami i dziećmi! Gdy dzieci są małe, rodzice nie widzą świata poza nimi, najłżejsza choroba napawa ich śmiertelnym lękiem, a dzieci lgną do rodziców w miłości i uwielbieniu. Lata przechodzą, dzieci podrastają i obcy ludzie stają się dla nich ważniejsi od ojca i matki. Obojętność zastępuje zaślepioną miłość lat minionych. Każde nowe spotkanie staje się źródłem nudy i irytacji. Dawniej już myśl o rozstaniu się na parę tygodni przejmowała ich smutkiem, dziś z obojętnością godzą się na kilkuletnią rozłąkę.

Niepotrzebnie matka się troszczy; ona na pewno postara się jak najprędzej urządzić sobie własną siedzibę. Ale musi mieć na to trochę czasu. Wszystko obecnie jest jakby za mgłą, niepodobna utworzyć sobie jakiegoś określonego obrazu przyszłości. Może umrze przy wydaniu na świat dziecka? Byłoby to najlepsze rozwiązanie powikłanej sytuacji.

Gdy przybyła do Marsylii, wręczono jej dwa listy. Ku zdziwieniu Kitty jeden z nich pisany przez ojca. Był to pierwszy list, jaki w ogóle od ojca otrzymała. Donosił, że pisze zamiast matki, która zachorowała i musiała przenieść się do kliniki, gdzie ma się poddać operacji. Prosił, by Kitty nie przerażała się tą wiadomością i nie zaniechała zamiaru odbycia dalszej podróży morzem. Podróż lądem jest znacznie droższa i nie ma się co śpieszyć, bo pod nieobecność matki w domu na Harrigton Gardens i tak nie miałyby odpowiedniej wygody. Drugi list był od Doris i miał nagłówek „Kitty moja kochana!” nie dlatego, by Doris pałała szczególną miłością do siostry, ale dlatego, że w ogóle do wszystkich swoich znajomych zwracała się w ten sposób.

Kitty moja kochana!

Ojciec zapewne ci już pisał, że mama musi poddać się operacji. Okazuje się, że była już od roku chora, ale wiesz przecież, jak nie cierpi lekarzy. Zażywała jakieś patentowane środki. Nie wiem nawet dokładnie, co jej właściwie jest, gdyż otacza całą sprawę tajemnicą i wpada w pasję, gdy ktoś o tym napomknie. Wygląda w ostatnich czasach wprost okropnie. Gdybym była na twoim miejscu, opuściłabym parowiec w Marsylii i dalszą drogę odbyłabym jak najspieszniej. Ale nie daj poznać po sobie, że radziłam ci przyśpieszyć przyjazd, bo mama utrzymuje wciąż, że nic jej nie jest, i nie życzy sobie, byś przyjechała do domu przed jej powrotem z kliniki. Wymogła na lekarzach obietnicę, że nie przetrzymają jej dłużej niż tydzień.

Uściski Doris

PS. Ogromnie jestem zmartwiona śmiercią Waltera. Musiałaś się porządnie nacierpieć, biedaczko. Nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo pragnę cię zobaczyć. Jakie to zabawne, że obie jednocześnie spodziewamy się dziecka. Będziemy mogły podtrzymywać się nawzajem.

Kitty stała przez jakiś czas zamyślona na pokładzie. Nie mogła zupełnie wyobrazić sobie matki chorej. We wspomnieniu widziała ją zawsze pełną życia i energii; wiecznie czymś zajęta i ruchliwa, niezbyt cierpliwie odnosiła się do cierpień innych ludzi.

Nagle zbliżył się do Kitty lokaj okrętowy i podał jej depeszę.

Z głębokim smutkiem donoszę, że matka umarła dziś rano.

Ojciec

LXXIX

Gdy Kitty zadzwoniła do domu rodziców, powiedziano jej, że ojciec jest w swoim gabinecie. Otworzyła cichutko drzwi do jego pokoju. Siedział przy kominku, czytając wieczorną gazetę. Podniósł głowę, położył dziennik i nerwowo zerwał się z krzesła.

- Kitty! Sądziłem, że przyjedziesz dopiero wieczornym pociągiem.

- Nie chciałam trudzić ojca jazdą na stację po mnie i umyślnie nie oznaczyłam w depeszy pociągu, którym przyjadę.

Podsunał jej policzek do ucałowania, jak to zwykł zawsze czynić.

- Zajrzałem tylko do dziennika - rzekł - od dwóch dni nie czytałem gazet.

Widocznie uważał, że zajęcie się potocznymi sprawami wymagało usprawiedliwienia.

- Rozumie się - rzekła Kitty. - Ojciec musi być strasznie przemęczony. Lękam się, że śmierć mamy była dla ojca niespodziewanym ciosem.

Wydawał jej się teraz znacznie starszy i szczuplejszy. Drobny, pomarszczony, wyschły starzec o pedantycznych ruchach.

- Chirurg od razu uważał jej stan za zupełnie beznadziejny. Od roku już czuła się niedobrze, ale za nic na świecie nie chciała zasięgnąć rady lekarza. Doktor utrzymywał, że musiała cierpieć nieustannie i że wprost niepodobna pojąć, w jaki sposób mogła wytrzymać takie bóle.

- Czyż nie skarżyła się nigdy?

- Mówiła, że się nieszczęśliwie czuje, ale o bólach nigdy nie wspominała.

Przerwał i spojrzawszy na Kitty, zapytał:

- Czy bardzo jesteś zmęczona?

- Nie bardzo.- Czy chciałabyś pójść na górę zobaczyć matkę?

- Jest tutaj?

- Tak. Przywieziono ją tu z kliniki.

- Dobrze. Pójdę teraz na górę.

- Czy życzysz sobie, żebym ci towarzyszył?

W głosie ojca zabrzmiało coś, co zwróciło uwagę Kitty. Odwrócił z lekka od niej twarz, jak gdyby nie chciał, by mogła mu zajrzeć w oczy. Kitty w ostatnich czasach nabrała wprawy w odczytywaniu cudzych myśli. Nie darmo dzień po dniu natężyła swoje siły umysłowe, by z przypadkowo rzuconego słowa odgadnąć skryte myśli męża. Domyśliła się też od razu, co ojciec usiłuje przed nią ukryć. Po prostu czuł ulgę, niesłychaną ulgę, i sam przeląkł się tego niespodziewanego uczucia. W ciągu trzydziestu lat był dobrym i wiernym mężem, nigdy nie wypowiedział słowa nagany pod adresem żony i teraz powinien smucić się jej zgonem. Zawsze postępował tak, jak tego po nim oczekiwano. Uważałby to wprost za

nieprzyzwoitość, gdyby najmniejszą wzmianką, a nawet poruszeniem powieki zdradził, że jego uczucia nie są w tej chwili uczuciami osieroconego małżonka.

- Nie, wolę iść sama - odpowiedziała Kitty.

W obszernym, zimnym i pretensjonalnym pokoju, w którym przez tyle lat sypiała pani Garstin, nic się nie zmieniło. Te same tak dobrze zapamiętane przez Kitty masywne mahoniowe meble, te same sztychy na ścianach według Markusa Stone'a. Drobiazgi na toalecie ustawione z tą samą tak ściśle zawsze przestrzeganą przez panią Garstin dokładnością. Kwiaty wydawały się tu czymś obcym, nieharmonizującym z całością. Pani Garstin na pewno uważałaby umieszczenie kwiatów w swej sypialni za głupią i niezdrową afektację. Ich zapach nie pokrywał cierpkiej, stęchłej woni jak gdyby świeżo upranego płótna, która w pamięci Kitty stale łączyła się z pokojem matki.

Pani Garstin leżała na łóżku z rękoma złożonymi na piersiach, w tak niezwyklej dla niej pozie pokory. Zaostrzone rysy, wychudzone cierpieniem policzki i zapadłe skronie dodawały jej twarzy powagi i czyniły ją prawie piękną. Śmierć wyrugowała z jej lica pospolitość, pozostawiając piętno silnego charakteru. Wyglądała jak rzymska imperatorowa. Dziwna rzecz. Ze wszystkich umarłych, jakich zdarzyło się dotąd widzieć Kitty, matka jej była jedyną, która zachowała piętno ducha; niepodobna było wątpić, że ta powłoka ziemską zawierała kiedyś duszę. Kitty nie czuła w tej chwili smutku. Gorycz stosunków z matką nie pozostawiła miejsca na uczucie głębszego przywiązania. Spoglądając wstecz na swe lata dziewczęce, Kitty zdawała sobie sprawę z tego, że to matka uczyniła ją tym, czym była. Ale patrząc na tę leżącą tak cicho i spokojnie ambitną i władczą kobietę, której dążenia zniweczyła śmierć, Kitty odczuwała tragizm jej istnienia. Zabiegała, intrygowała przez całe życie, dążąc wytrwale ku jakimś niskim, niegodnym celom. Któż wie, czy teraz z innego świata nie spogląda ze zdumieniem na swą ziemską wędrownicę?

Weszła Doris.

- Pomyślałam, że przyjedziesz tym pociągiem i wpadłam na chwilę, by cię

zobaczyć. Czy to nie okropne? Biedna, kochana mama. Wybuchła płaczem i rzuciła się w objęcia siostry. Kitty ją ucałowała. Wiedziała, jak dalece matka zaniedbywała młodszą córkę i jak szorstko się z nią obchodziła, dlatego jedynie, że była mniej ładna i mniej zdolna niż starsza, w której pokładała całą nadzieję. Ciekawa rzecz, czy nadmierna żałość okazywana przez Doris była szczerą? Ale Doris zawsze łatwo poddawała się wzruszeniom. Było jej przykro, że nie może płakać. Doris będzie ją uważała za strasznie nieczułą. Ale Kitty przeżyła zbyt wiele, by móc udawać żal, którego nie czuła.

- Czy chcesz widzieć się z ojcem? - zapytała, gdy wybuch żałości Doris nieco się uciszył.

Doris otarła oczy. Kitty zauważyła, że ciąża pogrubiała rysy jej twarzy, a jej silnie poszerzona postać w czarnej sukni była niezgrabna i ociężała.

- Dam temu lepiej pokój. Rozpłakałabym się znowu. Biedny staruszek z taką rezygnacją znosi swoje nieszczęście.

Kitty odprowadziła siostrę do drzwi, po czym wróciła do ojca. Stał przed kominkiem, gazeta leżała starannie złożona na dowód, że jej nie czytał.

- Nie przebrałem się do obiadu - rzekł - nie uważałem tego za potrzebne.

LXXX

Podczas obiadu pan Garstin opowiadał Kitty szczegółowo o chorobie i śmierci matki, o zarządzeniach pogrzebowych, o dowodach współczucia, otrzymanych od przyjaciół i znajomych. Stosy listów kondolencyjnych leżały na jego biurku; wzdychał ciężko na myśl, że będzie musiał odpowiedzieć na to wszystko.

Wrócili do gabinetu; był to jedyny pokój, w którym napalono. Pan Garstin

machinalnie wziął fajkę, leżącą na kominku, i zaczął ją napełniać tytoniem, ale rzuciwszy zmieszane spojrzenie na córkę, odłożył fajkę.

- Czemu ojciec nie pali? - zapytała Kitty.

- Twoja matka nie znosiła dymu fajki po obiedzie, a cygar wyrzekłem się podczas wojny.

Odpowiedź ojca wzruszyła Kitty. Żeby sześćdziesięcioletni człowiek nie śmiał zapalić fajki we własnym gabinecie!

- Lubię zapach fajki - rzekła z uśmiechem. Oblicze pana Garstina rozjaśniło się z lekka; z widoczną ulgą zapalił fajkę. Siedzieli naprzeciw siebie po obu stronach kominka. Ojciec poczuwał się do obowiązku skierowania rozmowy na osobiste sprawy córki.

- Otrzymałaś zapewne list matki, adresowany do Port Saidu? Wiadomość o śmierci Waltera była dla nas ciężkim ciosem. Był bardzo sympatycznym człowiekiem.

Kitty nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć.

- Matka mówiła mi, że spodziewasz się dziecka.

- Tak jest.

- Kiedy ma to nastąpić?

- Za jakieś cztery miesiące.

- Będzie to wielka pociecha dla ciebie. Warto, żebyś poszła zobaczyć dziecko siostry. Pyszny chłop. Rozmawiali ze sobą jak ludzie obcy, spotykający się po raz pierwszy, może nawet sztywniej. Wobec nowej znajomości pan Garstin okazywałby na pewno więcej zainteresowania i ciekawości, ale wspólna przeszłość wzniosła między nimi mur obojętności. Kitty wiedziała zbyt dobrze, że niczym nie zasłużyła sobie dotąd na miłość ojca. Nikt nie liczył się z nim w domu, uważano go jedynie za patentowaną siłę roboczą, której obowiązkiem było dostarczać utrzymania i którą gardzono z racji nie dość zbyt kownego zaopatrywania rodziny. Ale że był jej ojcem, uważała za pewnik, że ją kochać musi i przykro jej było, gdy zrozumiała, że w sercu

jego nie było żadnego przywiązania do córki. Pamiętała, że wszyscy w domu uważali go za nudziarza, ale nie przyszło jej nigdy na myśl, że i jemu obcowanie z rodziną mogło ciążyć. Był uprzejmy i cichy jak zawsze, ale zdobyta kosztem tylu cierpień przenikliwość Kitty pozwoliła odkryć na dnie serca ojca nieświadomą może, ale dość żywą niechęć do córki.

Fajka nie chciała się palić i pan Garstin rozglądał się za jakimś patyczkiem. Może pragnął ukryć w ten sposób swoje zdenerwowanie.

- Matka twoja życzyła sobie, żebyś zamieszkała u nas aż do przyjścia na świat dziecka.

- Wiem o tym. Postaram się nie przyczyniać ci kłopotu.

- Nie o to chodzi. W tych okolicznościach dom rodzicielski jest oczywiście dla ciebie najodpowiedniejszym miejscem pobytu. Ale ofiarowano mi posadę prezesa sądu na Wyspach Bahama, którą przyjąłem.

- Ach, tatusiu! Jakże mnie to cieszy. Winszuję ci serdecznie.

- Niestety, propozycja ta przybyła za późno, biedna matka twoja nie doczekała się wiadomości, która by jej sprawiła tak wielkie zadowolenie.

Gorzka ironia losu! Po tylu daremnych wysiłkach, intrygach i upokorzeniach pani Garstin umarła, nie dowiedziawszy się nawet o tym, że jej ambicja, utemperowana nieco doznanymi rozczarowaniami, osiągnęła jednak upragniony cel.

- W pierwszych dniach przyszłego miesiąca muszę wyjechać. Dom i urządzenie zostaną naturalnie sprzedane. Bardzo mi przykro, że nie będę cię mógł umieścić tutaj, ale jeśli zechcesz wziąć coś z rzeczy, by umeblować sobie mieszkanie, chętnie je pozostawię do twego rozporządzenia.

Kitty patrzyła w ogień na kominku. Serce jej silnie biło. Z trudem opanowała wzruszenie, głos jej drgał, gdy przemówiła.

- Czy nie mogłabym pojechać z tobą, ojcze?

- Ty? Ależ, kochana Kitty! - Twarz jego zachmurzyła się tak wyraźnie, że ją to uderzyło. -Wszyscy twoi bliźsi znajomi są tutaj, i Doris też tu przecież jest. Myślę, że

czułaś się znacznie szczęśliwsza, pozostając w wynajętym mieszkaniu w Londynie. Nie wiem dokładnie, jakie jest twoje położenie materialne, ale chętnie opłacę komorne.

- Mam dosyć pieniędzy na utrzymanie.

- Wyjeżdżam do dalekiej, egzotycznej miejscowości, nie mam pojęcia o życiu, jakie mnie tam czeka.- Przywykłam już do pobytu w egzotycznych krajach. Londyn obecnie nie pociąga mnie zupełnie. Brak mi tu powietrza.

Przymknął na chwilę oczy. Zdawało się, że się rozpłaczę. Twarz jego przybrała wyraz niewypowiedzianego przygnębienia. Serce Kitty ścisnęło się. Spostrzeżenia jej były widocznie trafne. Śmierć żony napełniła serce pana Garstina uczuciem ulgi i z radością uchwycił nadarzącą się sposobność zupełnego zerwania z przeszłością. Po tylu latach ucisku i upokorzeń nareszcie widział przed sobą nowe, wolne życie, miraż szczęścia i spokoju. Kitty uświadomiła sobie ogrom cierpień, które uciskały serce ojca w ciągu tych trzydziestu lat. Gdy podniósł powieki, wyrwało mu się westchnienie, którego nie zdołał stłumić.

- Oczywiście, jeżeli pragniesz jechać, rad będę zabrać cię z sobą.

Biedaczek! Poczucie obowiązku zwyciężyło. Wymawiając te słowa, zrzekał się nadziei pielęgnowanej w głębi serca. Wstała z krzesła, uklękła przy nim, ujęła jego rękę.

- Nie, ojcze. Nie pojedę, jeżeli naprawdę nie zapragniesz tego. Dosyć już tych poświęceń. Jeśli wolisz jechać sam, nie myśl o mnie, proszę.

Uwolnił jedną rękę i gładził bujne włosy córki.

- Ależ naturalnie, pragnę, byś mi towarzyszyła. Przecież jestem twoim ojcem, a ty - samotną wdową. Jeśli rzeczywiście chcesz jechać ze mną, byłoby nie do wybaczenia, gdybym ci odmówił.

- Nie, nie roszczę sobie żadnych praw do ciebie jako córka. Nie masz żadnych wobec mnie obowiązków.- Ależ drogie dziecko...

- Żadnych - powtórzyła gwałtownie. - Serce mi się ściska, gdy sobie

przypomnę, jak wyzyskiwałyśmy cię przez całe życie, nie dając nic w zamian. Nic, nawet odrobiny czułości. Wiem, że wiodłeś niezbyt szczęśliwe życie. Pozwól mi naprawić błędy przeszłości.

Zmarszczył się nieco. Wzruszenie córki mieszało go.

- Doprawdy nie rozumiem, o co ci chodzi. Nigdy nie dawałaś mi powodu do niezadowolenia.

- Ojczy drogi, przeszłam tak wiele, byłam tak bardzo nieszczęśliwa. Nie jestem już tą dawną Kitty. I dziś może nie mogę pochwalić się wielką siłą ducha, ale w każdym razie nie jestem już tą plugawą istotą, jaką byłam przed wyjazdem. Nie mam nikogo na świecie prócz ciebie. Pozwól mi zasłużyć na twoją miłość. Jestem tak samotna i nieszczęśliwa; tak bardzo pragnę twej miłości!

Ukryła twarz na jego kolanach i płakała, jakby jej serce miało pęknąć.

- Kitty, moja mała Kitty! - wyszeptał. Podniosła głowę i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Tatusiu, bądź dobry dla mnie! Bądźmy dobrzy dla siebie nawzajem!

Pocałował ją w usta jak kochanek, twarz jego była zalana łzami.

- Zabiorę cię ze sobą.

- Ale czy czynisz to chętnie? Czy naprawdę szczerze pragniesz tego?

-Tak.

- Jakże jestem wdzięczna za to!- Dziecko drogie, nie mów tak do mnie, znasz mnie doprawdy.

Wyjął chusteczkę i otarł jej oczy. Nigdy jeszcze nie widziała na jego twarzy takiego uśmiechu. Zarzuciła mu ponownie ręce na szyję.

- Zobaczysz, tatusiu kochany, jak dobrze nam będzie razem; nie masz pojęcia, jak wesoło będziemy sobie żyli.

- Nie zapominaj, że będziesz miała dziecko.

- Rada jestem, że moja mała urodzi się nad morzem, pod szerokim błękitem nieba.

- Oho, postanowiłaś już, jak widzę nieodwołalnie, że to ma być dziewczynka.

- Życzę sobie bardzo dziewczynki, którą bym mogła tak wychować, żeby nie popełniła moich błędów życiowych. Gdy przypomnę sobie, jaka byłam w latach dziewczęcych, wstręt mnie przejmuje. Ale nie moja w tym była wina, tak mnie wychowano. Uczynię z mej córki wolną i samodzielną kobietę. Czyż mam wydać na świat córkę, otaczać ją miłością i staraniem i wychować to tylko, by kiedyś pierwszy lepszy mężczyzna tak silnie zapragnął z nią spać, że dlatego zdecydowałby się dać jej utrzymanie na całe życie?

Spostrzegła, że ojciec zeszywniał. Nigdy nie mówił o takich rzeczach i raziły go te słowa w ustach córki.

- Ojczy, pozwól mi raz w życiu być szczerą. Byłam głupia, zepsuta i godna wzgardy. Zostałam strasznie ukarana. Postanowiłam uchronić swoje dziecko od podobnego losu. Chcę, żeby była odważna i szczerą, chcę, żeby umiała panować nad sobą, stała się niezależna od innych, chcę żeby przystąpiła do życia, jak przystępuje do niego wolny mężczyzna, by umiała dać sobie z nim radę lepiej ode mnie.

- Ależ, dziecko moje, mówisz, jakbyś miała co najmniej lat pięćdziesiąt. Masz jeszcze całe życie przed sobą. Nie powinnaś upadać na duchu.

Kitty potrząsnęła głową, uśmiechając się lekko.

- Nie jestem przygnębiona. Jestem pełna odwagi i nadziei. Niech umarli grzebią swoich umarłych. Nie wiem, co mnie czeka, ale wstępuję w nowe życie z lekkim i pełnym otuchy sercem. Jest tak wiele rzeczy, które pragnę poznać, pragnę czytać, pragnę uczyć się. Widzę przed sobą tyle radości, ludzi, muzykę, taniec, widzę przed sobą piękno świata: morze, palmy, wschody i zachody słońca, i noce pełne gwiazd. Wszystko to miesza się i spływa ze sobą, ale mogę już rozpoznać niewyraźne zarysy. Widzę niewyczerpane bogactwo, tajemniczość i niesamowitość wszystkiego, co nas otacza w życiu, widzę Drogę i Pielgrzyma i na końcu tej drogi może - Boga.